
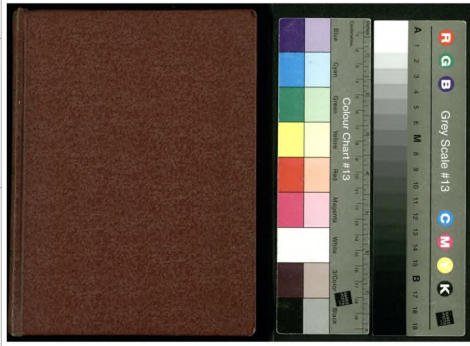


<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p>Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii „Śląsk”</p>		
<p>Ilość stron oryginału 200</p>	<p>Ilość skanów 199</p>	<p>Liczba plików publikacji 199</p>
<p>Autor Gustaw Morcinek</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny Wydawnictwo Polskie „R. Wegner”,</p>	<p>Skan okładki</p> 
<p>Miejsce wydania Poznań</p>	<p>Rok wydania / Data powstania 1933 r.</p>	
<p>Sygnatura ---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.) książka</p>	
<p>Wymiary (wys x szer) 21 x 13,5 cm</p>	<p>Stan zachowania ---</p>	<p>Charakterystyka skanowanego obiektu</p>
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce)</p> <p>lata 962-1933, Michał Grażyński, Eugeniusz Kwiatkowski, Piastowie cieszyńscy, ród Habsburgów, Paweł Stalmach, ks. Józef Londzin, Juliusz Ligoń, Karol Miarka, Julian Ochorowicz, Imko Wisetka, księżna Elżbieta Lukrecja, Kazimierz Brodziński, Józef Koźdoń, św. Jadwiga, Ignacy Mościcki, Józef Lompa, Jerzy Dobrzycki, Górny Śląsk, Śląsk Cieszyński, Cieszyn, Ustroń, Wisła, Pszczyna, Dziegieleń, Puńców, Kończyce Małe, Warkowice, Skoczów, Mysłówice, Tarnowskie Góry, Katowice, Beskid Śląski, Nierodzim, Bielsko, Bieruń Stary, Wodzisław Śląski, Łaziska, Warszawice, Żory, Mikołów, Królewska Huta, Knurów, Chorzów, Łąka, Piekary Śląskie, Repty, Koszęcin, Lubliniec, Rybnik, Koniaków, Grodziec Śląski, Górk Wielkie</p>		<p>monografia z serii „Cuda Polski. Piękno przyrody, pomniki pracy, zabytki dziejów”, ilustrowana licznymi fotografiami, obejmująca historię Śląska na przestrzeni lat 962-1933 we wszystkich jej aspektach (w 5 częściach, 9 rozdziałach); przedmowa: Eugeniusz Kwiatkowski, b. Minister Przemysłu i Handlu; wydawnictwo dedykowane dr. Michałowi Grażyńskiemu, wojewodzie śląskiemu, autor – Gustaw Morcinek (1891-1963) – przedstawiony jest tutaj jako Laureat Literackiej Nagrody Śląska</p>
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuznia, letnicy itp.)</p> <p>„Śląsk zielony”, „Śląsk czarny”, „Śląsk biały”, historia, krajoznawstwo, turystyka, kultura materialna, kultura duchowa, Ślązacy, Cieszyńscy, lud śląski, ziemia śląska, pomniki, kościoły, działacze narodowościowi, kolonie robotnicze, góry, budownictwo, pasterstwo, miasto, wieś, zabytki, osiedla miejskie, religia, obrzędy, przemysł, ubiór, tradycja, praca, przestrzeń publiczna, przyroda, człowiek, krajobraz, strój ludowy, region, tożsamość regionalna, odrębność regionalna, szkolnictwo</p>		
<p>Prawa autorskie ---</p>		

R

G

B

Grey Scale #13

C

M

Y

K

DANES
PICTA
COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

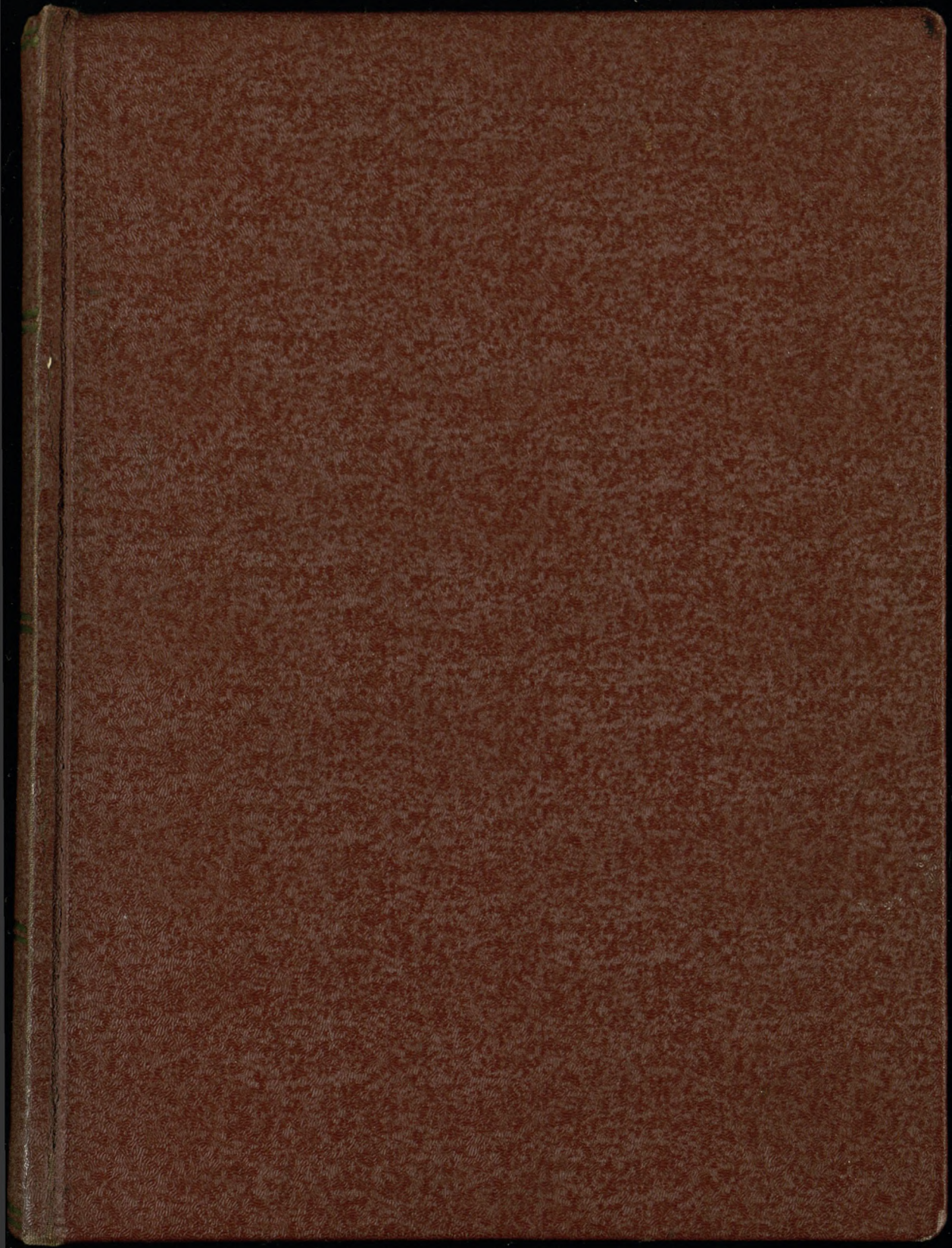
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black



DANES
PICTA
COM



C U D A
P O L S K I



Wieża Piastowska w Cieszynie

PIĘKNO PRZYRODY / POMNIKI PRACY

ZABYTKI DZIEJÓW

„To Polska —
to ojczyzna nasza“

ALEKSANDER FREDRO

76 / II

GUSTAW MORCINEK

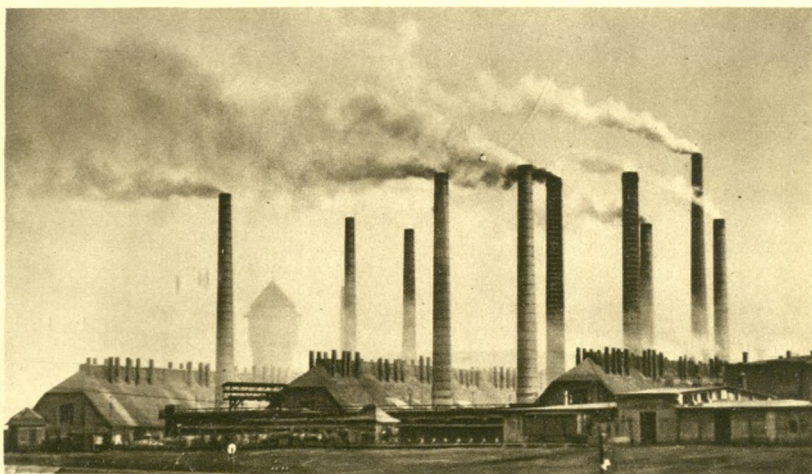
LAUREAT LITERACKIEJ NAGRODY ŚLĄSKA

ŚLĄSK

PRZEDMOWĘ NAPISAŁ

EUGENJUSZ KWIATKOWSKI

B. MINISTER PRZEMYSŁU I HANDLU



WYDAWNICTWO POLSKIE

< R. WEGNER >

POZNAŃ

WSZELKIE PRAWA ZA STRZEŻONE

*

Druk rotograwurowy wykonały Zakłady Graficzne
BIBLIOTEKI POLSKIEJ W BYDGOSZCZY

*

MAPKI WEDŁUG PROJEKTU T. RYBOTYCKIEGO

*

Okladka wielobarwna rysunku
T. ROZANKOWSKIEGO

*

Printed in Poland

*

DR. MICHAŁOWI GRAŻYŃSKIEMU
BOJOWNIKOWI IDEI PAŃSTWOWEJ NA ŚLĄSKU



Kościół w Czerwionce



Szkoła powszechna w Dzięgielowie

CUD NAD ODRA



Z pow. pszczyńskiego

Jest jedna niezwykle piękna i głęboka w pomyśle rzeźba A. Rodin'a: „Les Bourgeois de Calais“ („Obywatele z Calais“). Grupa ludzi, jak gdyby codziennych, szarych, niepomnikowych, ludzi dawnych, a przecież żywych, stojących bez pozy wielkości, bez teatralnego bohaterstwa, prawie wśród tłumu współobywateli, ludzi wążących w duszy i w sercu, w myśli i w milczeniu konieczność największej ofiary na rzecz swej ojczyzny i swych braci w obliczu nieprzyjaciela.

Niezniszczalne to żywe świadectwo i odwieczny, powszechny symbol poświęcenia się jednostek dla idei społecznej.

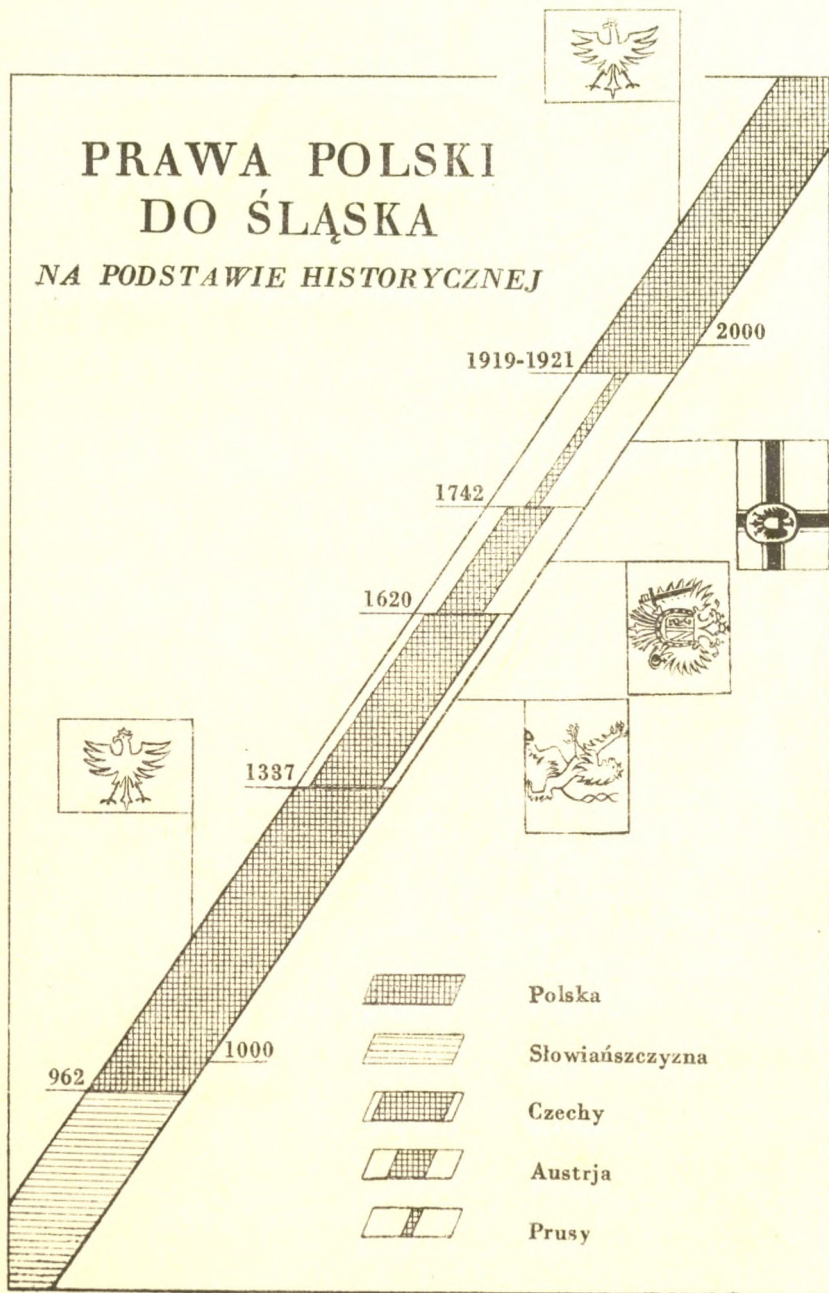
Podobny obraz budzi się w duszy człowieka, gdy czasem nad Odrą lub Olzą, albo wśród murów Katowic czy Cieszyna ogarnia jednym rzutem myśli historję tej ziemi piastowskiej. Gdzieś jeszcze w średnio-wieczu, przed pięciu wiekami z okładem, Śląsk został oddzielony od swej jedynej i prawowitej matki, od Polski. Wszystko też zwarło się tu w jednym szeregu, w jednym froncie przeciwko tej coraz mniej uchwytnej, niewidocznej, niematerjalnej idei, która tliła się tylko głęboko w sercu i mowie matczynej, a zwała się Polską. Wszystko zdawało się sprzysięgać, by wygnać ją z chaty rodzicielskiej, by odebrać jej wszelką, choćby tylko moralną wartość. Walily w nią jakby taranem: i czas, i przyzwyczajanie, i oportunizm, i wypadki polityczne i ekonomiczne; kruszyły ją systematycznie i zawzięcie władze państwowe i kościelne, szkoły i urzędy, wojsko i więzienie, słowo drukowane i siła fizyczna, prawo i bezprawie, węgiel i żelazo, ołów i cynk, pieniądź i perspektywa kariery.

A przecież ani długowieczny czas, ani przemożny zespół tylu sił nie zdołały złamać tych ludzi szarych i małych, którzy od tylu pokoleń zrosli się organicznie z tą ziemią i może właśnie z niej wywodzili stalowy hart dusz i płomienny żar swych serc dla przyszłej śnionej, wolnej i zjednoczonej Polski. A gdy w ostatniem stuleciu wydawało się, że



PRAWA POLSKI DO ŚLĄSKA

NA PODSTAWIE HISTORYCZNEJ



akcja przeobrażenia oblicza narodowego ziemi śląskiej odnosi wreszcie triumfy, to właśnie zjawiają się tacy polscy „obywatele z Calais”, jak Józef Szafranek, Karol Miarka, Józef Lompa, Damrot, a w Cieszyńskiem Paweł Stalmach i wielu, wielu bezimiennych i imiennych współbraci ludu śląskiego, by rozbudzić ducha polskiego nad Odrą i Olzą na nowo, by spotęgować i rozpaścić poczucie jedności narodowej.

Nikt też przez długie lata nie zdawał sobie sprawy z wielkości i żywiołowości odrodzenia ducha polskiego na Śląsku, najmniej zaś rozumiały ten ruch lawinowy władze pruskie, zdolne jedynie w działaniu do prześladowania każdego objawu polskości, a w uczuciu jedynie do lekceważenia i pogardy.

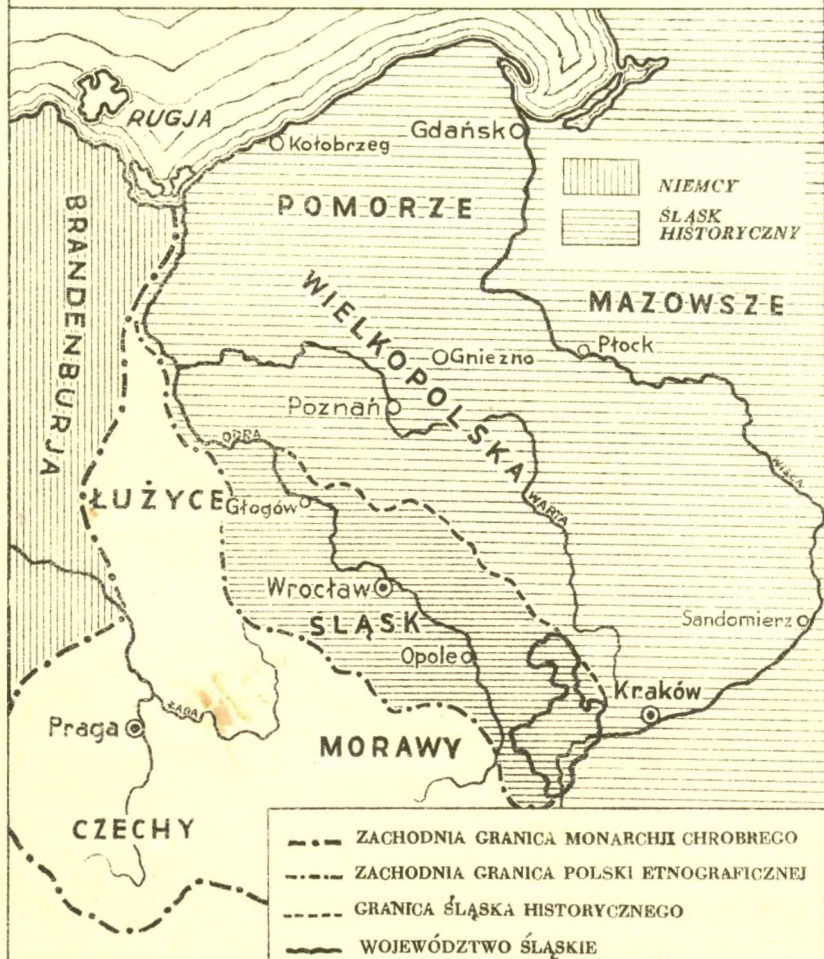
„Trudno rzecz” mówi o Śląsku jeden z wybitnych polskich publicystów — J. Kucharzewski „czy dzieje świata znają drugi przykład takiej wytrzymalności narodowej”.

To samorzutne i masowe odrodzenie świadomości narodowej w ciągu jednego pokolenia, wbrew wszystkim obiektywnym warunkom zwycięstwa, dokonane jedynie w imię prostej wiary w słuszność sprawy przypięczętowało swą drogę ku wolnej i zjednoczonej Polsce obficie wylaną krwią. Gdy bowiem głowę poczęły podnosić intrygi dyplomatyczne, gotowe zawsze traktować półtora miliona ludzi jako balast lub dodatek do węgla i żelaza, zerwały się kolejno trzy coraz potężniejsze i coraz groźniejsze powstania na Śląsku Górnym w latach 1919, 1920 i w dniu 3. maja 1921, oraz powstania na Śląsku Cieszyńskim, które swym zwycięskim entuzjazmem i siłą swego rozpędu uniemożliwiły dokonanie nowej, wielkiej grabieży praw Polski.

W wyniku tej żelaznej wytrwałości wobec przemocy i w wyniku krwawych ofiar powstańczych wróciła do Polski spora część tej bezcennej dzielnicy, pięknej cudami przyrody na południu i pięknej ogromem pracy ludzkiej w swych okręgach centralnych. — Czyż można zapomnieć kiedykolwiek te wzniosłe dni czerwcowe 1922 r., gdy wśród odgłosów pieśni polskiej, wśród okrzyków radości i obfitych łez szczęścia płynęły przez tysiączne tłumy ludzi sztandary polskie od Szopienic ku Bogucicom, Katowicom, ku Hucie Królewskiej, ku Tarnowskim Górcom

PRAWA POLSKI DO ŚLĄSKA

NA PODSTAWIE HISTORYCZNEJ



ZIEMIE ZACHODNIE MONARCHII BOLESŁAWA
CHROBREGO

NA PRZEŁOMIE WIEKU X. i XI.

PRAWA POLSKI DO ŚLĄSKA

UZNAJE NIEMIECKA NAUKA



OTO WYJĄTEK Z WYDANEJ W FIRMIE JUSTUS PERTHES
W GOTHA

NATIONALITÄTENKARTE DER ÖSTLICHEN
PROVINZEN DES DEUTSCHEN REICHES
NACH DEN ERGEBNISSEN DER AMTLICHEN VOLKS-
ZÄHLUNG VOM JAHRE 1910.
ENTWORFEN VON ING. JAKOB SPETT

i ku Lublińcowi, ku Pszczynie i ku Rybnikowi, gdy płynęły na zachód mocne i zwarte kolumny wojska polskiego pod dowództwem generała Szeptyckiego, niosąc tej ziemi wyzwolenie i pokój.

Po tylu wiekach powróciła w obręb Rzeczypospolitej dzielnica terytorjalnie mała, bo stanowiąca pod względem powierzchni zaledwie jedną setną część państwa, a pod względem cyfry mieszkańców prawie jedną trzydziestą część Polski, ale jakże wartościowa, ważna i cenna. Właśnie ta dzielnica, jak żadna inna w państwie, reprezentuje niezwykle walory moralne i materialne.

Śląsk właśnie dał całej Polsce przykład wytrwałości i niezłomności w służbie idei narodowo-państwowej.

Śląsk wykazał, że w chwilach ważnych i decydujących całe polskie społeczeństwo umie się zdobyć na jednomysłność w karnem działaniu, a wówczas zwycięża wszystkie zapory i trudności.

Śląsk postawił przed Polską konieczność rozstrzygnięcia nowych, wielkich problemów, wciągnął całe społeczeństwo jeszcze silniej i zdecydowanie w orbitę cywilizacji zachodu.

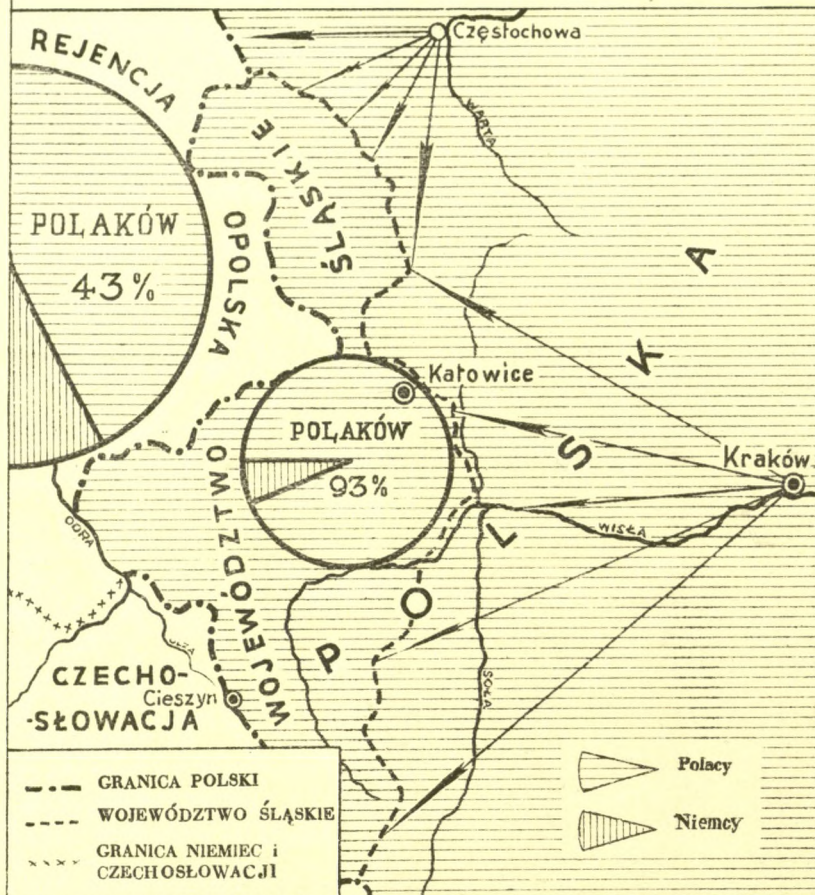
Śląsk właśnie wywołał konieczność szybkiej rozbudowy Gdyni u połączenia wybrzeża morskiego Polski bezpośrednią siecią komunikacyjną z całą Rzeczpospolitą.

Śląsk narzuca Polsce konieczność rozwinięcia struktury rolniczo-przemysłowej t. j. tej jedynej formy, w której Polska może istotnie stać się wielkim i ważnym państwem w Europie.

Gdy więc dziś obracamy się wstecz i spoglądamy z oddali kilkunastu lat na początek odbudowy nowej, państwowej Polski to widzimy, że po zakończeniu wstrząsów wojennych pozostaliśmy wolni w Ojczyźnie tak zniszczonej, tak zrujnowanej, tak wszechstronnie obrabowanej z wartości materialnych, jak żaden inny naród w Europie. Rolnictwo, przemysł, handel, wiele miast, komunikacje, szkoły, kościoły, mosty, system pieniężny i kredytowy, organizacja pracy i życia — wszystko to leżało w gruzach. Żadnych odszkodowań nie otrzymaliśmy, na żadną obcą pomoc nie mogliśmy rachować. Ale przecież z tego wielkiego rozrachunku dziejowego wyszliśmy posiadając dwa szczerozłote dukaty.

PRAWA POLSKI DO ŚLĄSKA

NA PODSTAWIE NARODOWOŚCIOWEJ



SPIS LUDNOŚCI W POLSCE w r. 1931:

WOJEWÓDZTWO ŚLĄSKIE POLAKÓW 92%
 NA TERENIE GÓRNEGO ŚLĄSKA POLAKÓW 93%

SPIS LUDNOŚCI W NIEMCZECH w r. 1925:

REJENCJA OPOLSKA (ZNIEMCZONA
 W SWEJ ZACHODNIEJ CZĘŚCI) POLAKÓW 43%

Na dorobek. To Pomorze i Śląsk; to dwa realne symbole: przemysłu i handlu światowego. Dwa kamienie węgielne, które mogą się stać podstawą najgruntowniejszej przebudowy naszego państwa, które rozszerzają widnokrąg naszej pracy w nieskończoność.

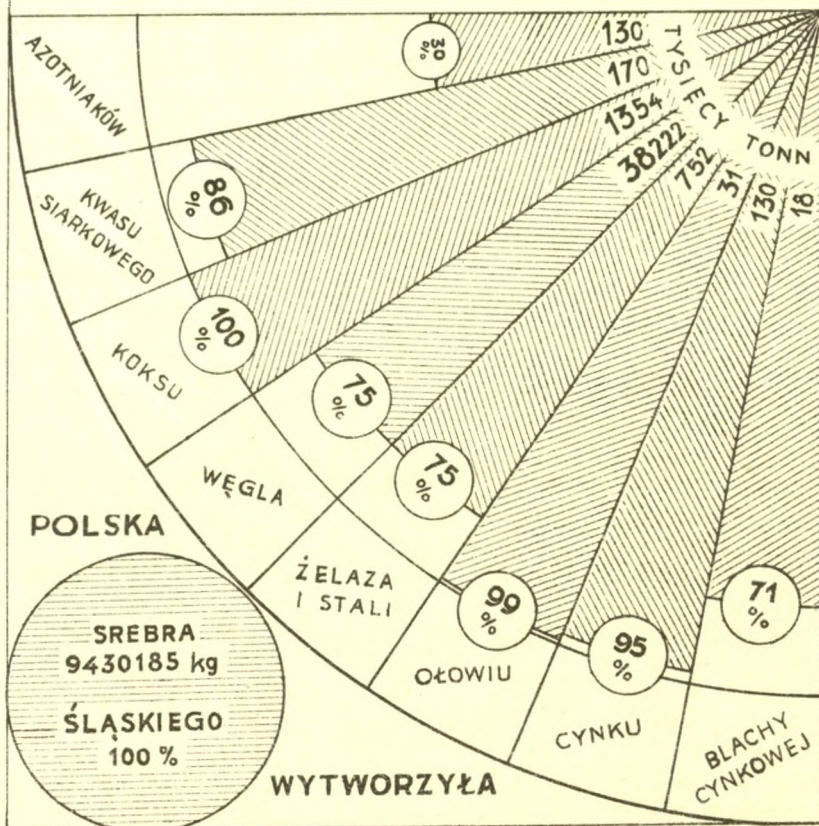
W poprzednim pokoleniu dokonał się Cud nad Odrą przez niespotykane w dziejach świata odrodzenie ducha narodowego na Śląsku. Statystyki urzędowe pruskie i oficjalne mapy rozmieszczenia narodowości wykazywały w latach 1910-1911 na dwa miliony mieszkańców prawie trzy czwarte ludności przynależącej się do polskośći. — Oto pierwszy cud i triumf idei nad uciskiem, wyposażonym we wszystkie środki przemocy.

W pokoleniu nowem, nadchodzącem może się dokonać drugi Cud nad Odrą... Śląsk poznany i zrozumiany przez całą Polskę, Śląsk otoczony należną opieką i życzliwością, Śląsk związany coraz liczniejszymi węzłami z gospodarstwem narodowem Polski może się stać źródłem nowych sił, niedocenianych jeszcze, nowych mocy naszego państwa.

Dlatego uczmy się Śląska, uczmy się dziejów tej dzielnicy i tych ludzi z życia i z książek o Śląsku.

EUGENJUSZ KWIATKOWSKI

UDZIAŁ ŚLĄSKA W PRZEMYSŁE POLSKI W R. 1931 W PRZEGLĄDZIE LICZB ODSE TKOWYCH



W SZCZEGÓLNOŚCI ŚLĄSK DAŁ W R. 1931:

28694260 TONN WĘGLA,	12979 TONN BLACHY CYNK.
1354617 " KOKSU,	31820 " OŁOWIU,
566460 " ŻELAZA I STALI,	153166 " KWASU SIARK.
123900 " CYNKU,	39939 " AZOTNIAKÓW,
9430185 kg SREBRA.	



Cieszyński Piast w cieszyńskim kościele

CZEŚĆ PIERWSZA

DZIEJE LUDU I ZIEMI



*Z pomnika
w Skoczowie*

Poszedł Śląsk na poniewierkę jeszcze za Wielkiego Króla Kazimierza. Najpierw na czeską potem i niemiecką. Po bitwie pod Mohaczem w r. 1526, w której ginie Ludwik, król czeski i węgierski, Habsburgowie zagarniają Węgry i Czechy a z nimi i Śląsk, który pozostaje w ich władztwie przeszło 200 lat. Piastowicze śląscy, którzy się ongiś dumnie nazywali „*Duces totius Silesiae*“, przechodzą powoli w zapomnienie. Rozdrabniają się, ubożeją i wymierają bezpotomnie, a ich ojcowizny dziedziczą rody niemieckie, po kądzieli z Piastami spokrewnione, lub przejmują je Habsburgowie i nadają feudalnej arystokracji, która się do dnia dzisiejszego utrzymała, przyczyniając się w znacznym stopniu do niemczenia Śląska.

W czasie wojny trzydziestoletniej włóczę się po Śląsku wojska cesarskie, saskie i szwedzkie, potem przychodzi dżuma, Śląsk się wyludnia. Nadarzała się sposobność dla Polski odzyskania Śląska zpowrotem za panowania naszego Władysława IV, kiedy francuski Richelieu nakłaniał go do zawarcia pokoju ze Szwedami. Sejmująca szlachta nie doceniła tej myśli, zapominając płocho, podobnie

jak Ludwik z Andegawenów, o ostatnim nakazie Wielkiego króla Kazimierza. A polski żywił, mimo długotrwałego okresu czechizacyjnego, bo kończącego się dopiero w roku 1620, — sięgał wtedy zwartą ławą aż dorzeki Bobr, odgraniczającej ziemie śląskie od Łużyczan, i daleko na zachód poza Nissę. Pozostał Śląsk przy Rakusach, narażony na niem-



Pomnik Mieszka w Cieszynie

czenie, trwające do ostatnich czasów.

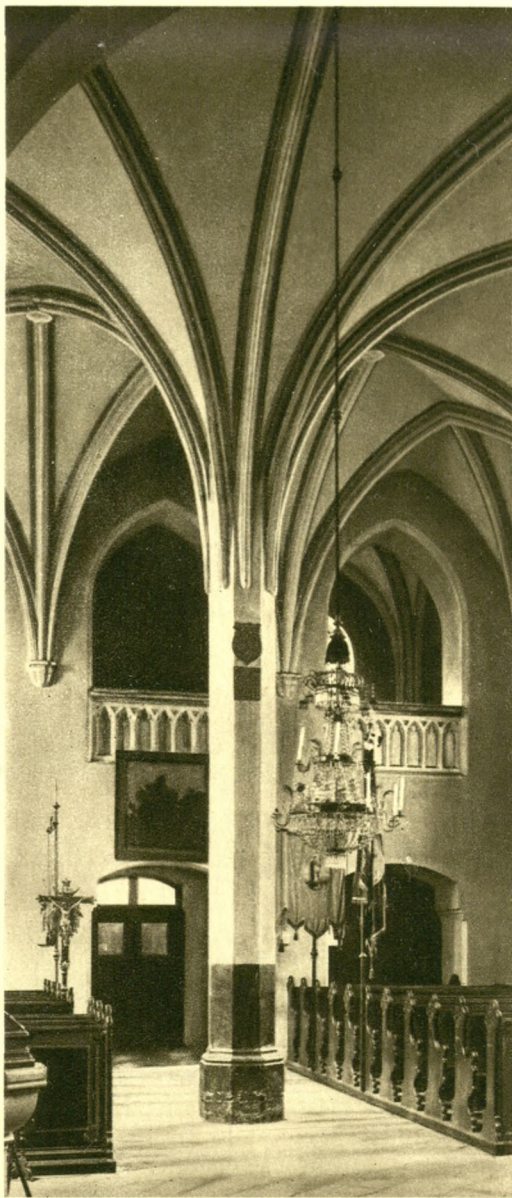
Połąkomił się wkońcu o Śląsk król Prus, Fryderyk II, wielki fałszerz monety polskiej; zabrał go Habsburgom w roku 1742, pozostawiając austriackiej cesarzowej tylko małe okrawki, księstwo Opawskie i Cieszyńskie. Odtąd to losy obu Śląsków, Górnego i Cieszyńskiego, rozeszły się obcemi sobie drogami.

Jedna dola była im tylko wspólna: niemczenie i czechizowanie twardego chłopca, a później jeszcze twardszego robotnika śląskiego. Brama morawska dla Czechów, a brama łużycka dla Niemców stały teraz narozcień rozwarte. Wejścia ich zagroziły jedynie pacierz polski, przez matki Ślązaczki dzieciom przyswajany, i chropowate serca śląskie, co ziemię swą i archaiczny język polski ponad wszystko umiłowały. Poza tem los nie szczędził Ślązakom gorzkiego żywobycia. Głody, czarne mory, pożary miasteczek oraz przemarsze obcych wojsk, kiedy to jeszcze *Anno 1734* *Companie Rusów z bardzo Cudzo Ziemskiego kraju Hismatycy z wielkim uprzykrzeniem ubo-*

gich Miasteczek i narodu Chłopskiego przez Śląsko przeciągali — jak się „lutuje“ kronikarz myślowicki, i gdy armje Napoleona przechodziły raz po raz przez ziemię śląską, zdobywając fortece śląskie i kontrybucjami ostatni grosz wyciskając z ubogiej kalety chłopa i mieszczanina śląskiego.

Na Śląsku cieszyńskim wynaradawianie nie posługuje się takimi środkami, jak na Śląsku Górnym. W Cieszyńskim pozostawiono szkolnictwo polskie, częstokroć z nazwy tylko polskie, urzędy zaś, naczelne stanowiska w przemyśle i w kościele obsadzano Niemcami, Czechami lub renegatami. Tworzyli oni jednak znikomą liczbę wobec tubylczej, polskiej ludności, i jedynym sukcesem akcji wynaradawiającej było rozbudowywanie niemieckich szkół wydziałowych i średnich w Cieszynie, Bielsku i Frysztacie, które zapełniała mło-

Kościół w Puńcowie

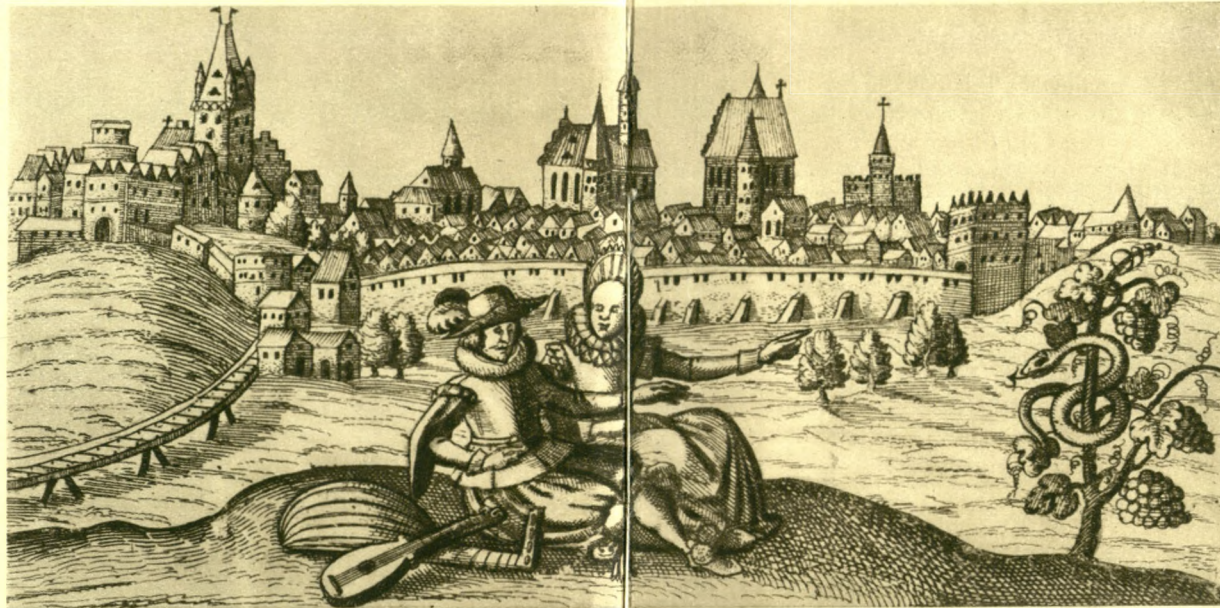


dzień śląska, wychodząca z nich bardzo często już zniemczona o zniekształconych duszach i skrzywionych nazwiskach polskich. Czesi zaś w Zagłębiu karwińskim potrafili dzięki swemu przodującemu stanowi w przemyśle opanować wydziały gminne a w następ-

stwie tego zakładać czeskie szkoły powszechne, zwalczając gorliwie i z nakładem ogromnych zawsze środków „Czeskiej Matice Szkolnej“ wszelkie próby zaprowadzenia szkolnictwa polskiego w zdobytych przez siebie gminach. W okręgu cieszyńskim zaś, skoczowskim i wiślańskim w sukurs przychodziła wszechwładna Komora cieszyńska, uzależniając od siebie ekonomicznie rzesze śląskiego chłopstwa na rzecz niemieckości. I jak długo Ślązak cieszyński pozostał w odrętwieniu narodowym, nic nie przeszkadzało tamtej robocie eksterminacyjnej. Dopiero mizerna książczyzna polska, drobna, niepozorna, dziwnym trafem na Śląsk zabłąkana, dokonała

cudu, o którym Mickiewicz marzył. Dostała się do rąk chłopca śląskiego, wstrząsnęła duszą jego, ożywiła serce obumarłe i nastął najpiękniejszy dzień w dziejach polskości: chłop i robotnik śląski obejmuje zatraconą schedę swych książąt Piastowiczów, co ją za miskę soczewicy przetrwonili, — i rozpoczyna, podobnie jak na Śląsku Górnym, walkę o swobodę narodową.

Na czele działaczy narodowych staje syn chłopca śląskiego, uczeń niemieckiego gimnazjum w Cieszynie, Paweł Stalmach. Za nim idą inni. Cisi, częstokroć nieznanymi, bezinteresowni w swej szlachetnej a ogromnej pracy, jak ks. Ignacy Świeży, pastor ks. Franciszek Michejda, dr. Jan Michejda, nieodżałowanej pamięci Wielki ks. Józef Londzin, nauczycielstwo śląskie i szara, prosta brać robotnicza



Cieszyn

i chłopska. Powstaje „Macierz Szkolna Księstwa Cieszyńskiego“, wspierana szczerze przez szlachetnego przyjaciela i opiekuna Śląska, mecenasa Antoniego Osuchowskiego z Warszawy, powstają za ciężką krwawicę robotnika, górnika i chłopca ochronki i szkoły polskie w za-

grożonych miejscowościach, tworzą się polskie towarzystwa kulturalne i zawodowe, powstaje pierwsze gimnazjum polskie w Cieszynie, potem drugie w Orłowej, Ślązak cieszyński rośnie w siłę, coraz głośniejsze dopomina się swych praw i zwycięża.

Najgorętsza walka wrze w Zagłębiu karwińskim. Prowadzą ją z napierającym żywiołem czeskim OO. Jezuita w Karwinie i Polska Partja Socjalno - Demokratyczna, wiodąca za sobą tysięczne rzesze zorganizowanego górnika śląskiego pod hasłem: „My chcemy chleba i polskiej szkoły!“ — a kiedy wybucha wojna światowa, rozpalają się słodkie nadzieje w narodzie, że to ta wojna, o którą się Mickiewicz modlił. Idzie

śląska młodzież górnicza i hutnicza w Legjony polskie, by walczyć i młode życie kłaść za tę wysnioną Polskę, której nigdy nie znali, ani oni sami, ani ich przodkowie.

Potem, kiedy już wojna światowa dogorywała, kiedy na szeroki świat poszło orędzie Wilsona, zestokrotniała radość górnika i chłopca śląskiego w Cieszyńskim, boć każdy wiedział, że to już kres wszystkiemu, co dla niego krzywdą było. Że wypełniają się proroctwa poety śląskiego, Jana Łyska, co w Legjonach poległ, a który w swych „Śpiących rycerzach“ wróżył: *Idzie chwila, idzie chwila, że usz na czole hnet nie bedzie nosić lud tej koróny cierniowej. Jak sie powali las, co rós na grobie, to sie hnet wszecy ruszom... Tej nocy wykopiom wielki kamień złoty, co tam na wyruszczku gniecie piersi chło-*

pom, a potem zastęp żywych — silno sie podwoi... Chwila ta nadchodziła szybko. Nastąpił przewrót na Śląsku, Austria skonała, a cieszyńska Rada Narodowa z czeskim Narodnim Wyborem zakresliły tymczasowe granice polityczne bez wzajemnego ukrzywdzenia się. Przyszedł pamiętny dzień 5 listopada 1919 roku. W dniu tym miały nastąpić wybory posłów śląskich do Sejmu warszawskiego. Święto przewielkie szykowało się dla narodu cieszyńskiego. I wtedy Czesi nieoczekiwanie napadli na Śląsk. Górnik karwiński i hutnik trzyniecki porwali karabiny w swe czarne, chropowate łapy



Kościół w Warkowicach

i jęli bronić swej ziemi, okupując szczerze życiem jej swobodę. Postroiły się wtedy przydrożne wierzby polskimi wisielcami, konające usta naszeptaly wtedy ostatnich słów w ukrwawioną ziemię śląską — pomnożyły się gromadne mogiły na cmentarzach śląskich. Nie słyszeli oni nigdy o Spartanach pod Termopilami, lecz uczynili to samo, co tamci. Kładli się w umiłowaną ziemię bez patosu, cisi, szarzy, bezimienni, ojciec obok syna, brat

obok brata, aż do chwili, kiedy w trzydniowej bitwie pod Skoczowem wraz z nadbiegłym żołnierzem polskim wstrzymali u Wisły podstępny najeźdźcę.

Całopalenie ich żyć częściowo tylko Bogu się spodobało.

Półowa Śląska cieszyńskiego została przyznana Czechom, wraz z kopalniami, hutami, świętą rzeką Olzą, a przedewszystkiem ze 150 tysiącami Ślązaków, co byli najbardziej zahartowani i najbardziej ofiarni w walce o swą ziemię. Reszta Śląska przyszła do Polski.

A tamci, co dzisiaj poza kordonem zostali, trwają nadal i czekają.

* * *



Obraz oltarzowy w Kończycach Małych — wiek XV



Paweł Stalmach

Furor teutonicus na Górnym Śląsku rozpoczął się od czasu Fryderyka II. Zakreślił plan, rzucił słowo twarde, nieludzkie: — Śląsk musi być zniemczony!... W paragon stały tutaj urzędy, szkoły, wojsko, ogniska przemysłowe, miasta i kościoły. Posypały się odtąd nieprzeliczone ukazy i rozporządzenia, grzywny pieniężne i szykany, rozpętała się złość ludzka ponad wszelką miarę wezbrana potwornie, pełna pogardy i nienawiści do wszystkiego, co polskie. Kapituła wrocławska powoduje, że ostatnie dwie kasztelanje siewierska i bytomska, należące do diecezji krakowskiej, zostają przyłączone do wrocławskiej, nieliczni

księży Polacy zostają przenoszeni na słynne „piaski brandenburskie“, do parafii polskich nasyła się księży Niemców lub renegatów, a w ostatnim dziesiątku lat zbudowano klasztor niemiecki w Panewniku pod Katowicami w tym celu, żeby śląskie pielgrzymki, udające się do Krakowa i do Najświętszej Pani Marji w Częstochowie, w jego podwoje zawrócić i uniemożliwić pobożnemu ludowi śląskiemu utwierdzenie się w polskości. Niemieckie zagony czynią coraz większe szczyby w zwartym dotychczas żywiole polskim, rozsadzają go, zalewają, wchłaniają. Kruszy się ściana polskości od zachodu, niknie w potopie niemieckim, rozprzestrzenia się coraz bardziej ogromne cmentarzysko słowiańskie, świadczące jedynie zniekształconemi nazwami wsi, miast i ludzi, że tam kiedyś Polacy mieszkali. I tutaj, podobnie jak w Cieszyńskim,



Ksiądz Józef Londzin

zabłąkała się dziwną koleją losu drobna, sieroca, niepozorna książczyna polska, by ten sam cud wyczarować, co po „cesarskiej“ stronie. I tutaj pojawia się legjon wielkich i małych, głośnych i prostaczków — budzicieli ducha polskiego wśród krzywdzonego ludu. Powstają towarzystwa, chóry, teatry amatorskie, zaczynają



Wisła pod Skoczowem

wychodzić polskie gazety, pojawiają się nawet książki polskie, pisane przez Górnoszlązaków, krzewi się bujnie chociaż w ukryciu życie narodowe. A na czele jego stawają nieustraszeni a wielcy ludzie, jak poeta i nauczyciel ludowy Józef Lompa, wydawca kalendarzy ks. Antoni Stabik, pierwszy poseł polski do Sejmu pruskiego ks. Józef Szafranek, „apostół Górnego Śląska“ ks. Alojzy Ficek, niemiecki biskup-sufragan w Wrocławiu ks. Bogedain, poeta i uczoney ks. Konstanty Damroth, epik i społecznik ks. Norbert Bonczyk, kowal-poeta Juljusz Ligoń, chłop Jan Kupiec i wielu, wielu innych. A z pomiędzy wszystkich wybija się na czoło wierny towarzysz i przyjaciel Pawła Stalmacha — zniemczony nauczyciel, Karol Miarka, który stał się głównym filarem polskiego ruchu narodowego na Śląsku dzięki właśnie tamtej przybłąkanej książce polskiej.



Kościół w Mysłowicach

Napór niemiecki podwoił się, potroił, zestokrotnił — aż narreszcie przyszła wojna światowa, za nią klęska Niemiec i tutaj dopiero nastąpiło jego załamanie się. I tutaj, podobnie jak w Cieszyńskim, miał nastąpić kres golgotowej wędrówki Górnoślązaka. Górny Śląsk bowiem, zwany także Opolskim, zamierziała Koalicja przyznać Polsce. Stało się inaczej. Niemcy wyżebrali w Wersalu ustępstwo i Koalicja zawyrokowała, że o przynależności jego zadecyduje plebiscyt. Wówczas rozpoczyna się ostatnia faza gehenny śląskiej. Niemcy postanawiają zniszczyć w zarodku wszelki odruch Śląska, zmierzający do połączenia się z Macierzą. Rozszalał się na nieszczęśliwej ziemi bestjałski teror krwawego komisarza niemieckiego Hörsinga, rozszalał się do tego stopnia, że zrozpaczony lud porywa się do pierwszego powstania. Hörsing tłumi je szybko, a czarna ziemia pokrywa się pierwszemi mogiłami. Teren plebiscytowy zajmują koalicyjne wojska, a mimo tego mordy i gwałty niemieckie nie ustają. Wywołuje to drugie powstanie, również szybko stłumione. Mogiły mnożą się, a górnik śląski zapieka się w swym oporze, sękatę dłoń zaciska i zarzeka się: — Choćby pierony biły z jasnego nieba, swoje mu-

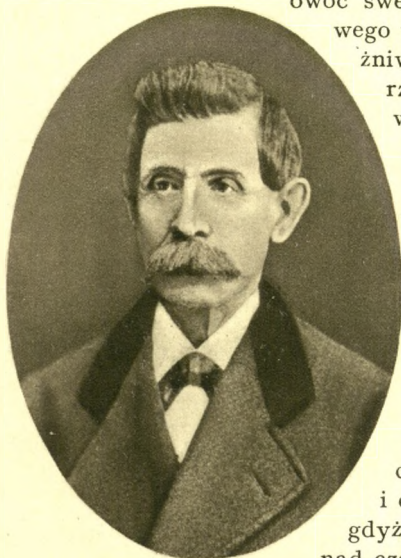
sza zrobić! Następuje plebiscyt. Za Polską pada pół miliona głosów, za Niemcami — 700 tysięcy. Ślązak patrzy z podełba i czeka, gdyż wie, że niesprawiedliwy był ów plebiscyt. Niemcy zaś triumfują. Nadchodzi wieść, że państwa koalicyjne zamierzają przyznać Polsce dwa tylko powiaty: pszczyński i rybnicki. Wybucho wtedy samorzutnie trzecie powstanie w nocy z dnia 2 na 3 maja 1921 roku, największe i zwycięskie już, które zmusiło Koalicję do zmiany pierwotnej decyzji i do przyznania Polsce ziemi śląskiej w jej obecnych granicach. A w dniu 20 czerwca 1922 r. przychodzą wojska polskie i zajmują odwieczną ziemię polską na wieczystą własność. Śląski powstaniec patrzył teraz na



Karol Miarka

owoc swego krwa-

wego trudu, jak uznojony żniwiarz w czasie żniwobrania na snopy pszenicy. Najrzetelniejszy miód przelewał mu się w sercu, a siwe oczy gorzały weselem, jak u dziecka. Bo sumiennie spełnił wobec Polski swój zbożny obowiązek, któremu się jego Piastowicze sprzeniewierzyli haniebnie. Przywiódł do Polski swoją ziemię po sześćsetletniej rozłące, przepojoną szczodrze krwią swej braci, co legła przez wroga pobita, wypełnioną umęczonemi zwłokami, z wyrosłemi na niej mnogimi zbiorowiskami krzyży cmentarnych, z przycichłemi łzami starych matek, żon i dzieci, które już więcej nie płakały, gdyż to wszystko dla Polski było. A ponad czarną ziemią niosło się błogostawiające



Juljusz Ligoń

słonko czerwcowe, szumiały na wiatr rozwiane chorągwie polskie,
a całym światem śląskim szła jedna, radością pijana wieść, że na-
reszcie przyszło wyzwolenie.

* * *

Po tylu wiekach, po tylu walkach.
Zmagała się Polska o swój Śląsk z krwawym Geronem, zwyciężyła



Zagroda w powiecie pszczyńskim

Niemców pod Głogowem i na Psiem Polu, użerała się z królami czes-
kimi, co łakomi Śląska również go zdobyć pragnęli. Wychodziła
z tych krwawych zapasów obronną ręką aż do Bolesława Krzyw-
ostego, co testamentem Polskę między synów podzielił, rozluźniając
stosunek Śląska do Polski. Utworzona przez wnuków jego dynastia
Piastów śląskich z wolna ulegała Niemcom pod względem narodo-
wym, Czechom pod względem politycznym. Aż Kazimierz Wielki
biedą przyciśnięty musiał się wyrzeknąć Śląska. Z żalem to czynił.
Pisał do swego dziedzica Ludwika z Andegawenów, żeby jego
roztomile Śląsko z rąk czeskich do Polski zpowrotem w swej chwale
królewskiej przywiódł.

Lecz Ludwik tego nie uczynił. Ani nikt po nim przez wiele seteklat.
Dokonał tego śląski chłop i robotnik.



Kolonja robotnicza w Murckach

Nie wszystka ziemia opolska dostała się Polsce.

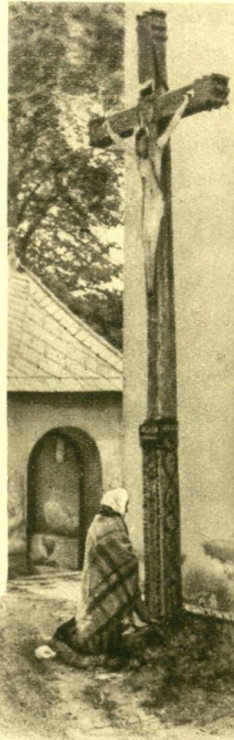
Tamci, co poza kordonem zostali, trwają nadal i czekają.

Połączyły się teraz dwa Śląski, Cieszyński i Górny, i wróciły do Polski, jak tego Kazimierz Wielki przagnął.

Jedną jej część zamienił był człowiek jakoby w robotnicę skrzętną i zapobiegliwą, o spracowanych, twardych dłoniach, co swej najmilszej matce słodki owoc swego szarego trudu po wiekach w gościńcu przynosi. Druga zasię wróciła dodom, jakoby ta dziewczka urodziwa, młoda i radosna, miłość wielką w sercu niosąca. Bo jaką odeszła, taką wróciła. Trzecia znowu, biała, pachnąca słońcem, przestrzenią, rozgrzanemi piachami, chlebem i sosnami.

Ślązak zaś stał się, odtąd podobny do człowieka, co długo spał, ciężkim snem zmożony, a teraz wstał przebudzony i ramiona pręży szeroko a radośnie do idącego dnia słonecznego. Toć trzeba było zakrzętnąć się żywo koło wszystkiego zaniedbania, co niegodne było już wolnego człowieka. Trzeba było wszystko odrobić. Zbiegli się z pomocą ludzie dobrzy, chętni i jęto się zbożnej pracy.

„Ojczyznę, wolność...“





Msza powstańców

W ciągu niewielu lat przeistoczyła się ziemia śląska i jej człowiek, ich dusza i serce. Od Beskidów aż poza Lubliniec porozbiegały się nowe, czarne drogi, powynosiły się pod zadymione niebo nowe kościoły, zaroily się nowe szkoły-pałace mnogim ludkiem dziecięcym, powstały nowe mosty i wiadukt w Beskidach, największy ze wszystkich wiaduktów polskich, zaludniły się nowe dzielnice robotnicze, wypełniły gwarem nowe domki i kamienice, roz tętniło się nowe życie, wartkie a ruchliwe, skrzętne i zapobiegliwe. Mnożą się teraz towarzystwa i skupienia ludzi o sercach na dłoni, powstają spółdzielnie gospodarcze i kulturalne, cieszyńska Macierz Szkolna szczydzi się na równi z górnośląskiem Towarzystwem Czytelń Ludowych, że niema już prawie miejscowości, gdzieby nie istniały ich Koła i biblioteki, teatry amatorskie i chóry śpiewackie, związki młodzieży robotniczej i drużyny harcerskie — wszystko to rośnie w oczach, rozwija się, dyszy nowem życiem polskiem, pulsuje gorącąką tworzenia nowych wartości społecznych i kulturalnych. Nowa szkoła śląska, mogąca śmiało pójść w paragon ze szkołami najbardziej kulturalnych państw zachodnich, nie ustępująca im ani pod względem formy ani ducha, wychowuje w swoich jasnych izbach nowe pokolenie, młody Śląsk radosny, co obejmie po rodzicach zwycięskie ich dziedzictwo i jeszcze głębiej ugruntuje w sobie. Ślązak, co dotychczas znał tylko pośpiech w pracy fizycznej, śpieszy się teraz w zdobywaniu nauki

dla siebie i swoich dzieci, kształci się, mozoli nad książkami w ławach szkolnych i czytelnich, przyswaja z uporem i zawziętością wszystką wiedzę współczesną, wyłania ze swego społeczeństwa coraz liczniejsze kadry inteligencji, umiejącej ustosunkować się do życia nie według książki uczonej, lecz według wymogów szarego dnia roboczego a twórczego. Powstaje nowy typ obywatela polskiego nawskroś demokratycznego o zdemokratyzowanej kulturze światłej. Cieszyńskie Towarzystwo Ludoznawcze i katowickie Towarzystwo Przyjaciół Nauk skupiają w sobie ludzi, co imają się zapleśniałych i zapomnianych szpargałów o wartości historycznej, wydobywają ich treść na światło dzienne publikują, tworzą jakoby nową szkołę historyczną, której zadaniem jest stwierdzenie na podstawie



Dr. Michał Grażyński

ukowej czy artystycznej, świadczącej niezbicie o tem samym, co mówią odkrywane przez historyków akta i dokumenty śląskie: że ziemia ta była zawsze polską i że lud jej był zawsze polskim. Liczne stypendja zaś i subwencje, ustanowione za inicjatywą ludzi, miłujących Śląsk szczerze umożliwiają kształcenie się śląskiej młodzieży w wyższych szkołach polskich; śląska nagroda literacka przyczynia się do rozkwitu rodzimej twórczości literackiej, a w sumie wszystek ten wysiłek zmierza do tego, by Ślązak mógł całemu światu udowodnić, iż jest on członkiem wielkiego narodu polskiego i z chwilą, kiedy po tak długim czekaniu mógł nareszcie przyjść do głosu i kiedy nareszcie może ujawnić tkwiącą w sobie żywotność — potrafi

odkrywanych przez siebie dokumentów, iż ziemia śląska nigdy inną nie była, jak jedynie tylko polską, że język czeski czy niemiecki w urzędach i kościołach śląskich — to był zwiewny naloł, osad, duszący pył niemrawy, który nie sięgał w jądro ludu śląskiego. Cieszyńskie Muzeum i katowickie Muzeum Śląskie zbierają skwapliwie i gromadzą u siebie najdrobniejszą rzecz śląską o wartości na-



Szkoła powszechna w Tarnowskich Górach

przywieść do Polski nietylko swoją ziemię, lecz i nową kulturę duchową i materjalną, mającą być składową częścią nowej kultury polskiej.

Ci zaś, co poza granicami zostali, nie opuszczają bezradnie sprawowanych rąk, aczkolwiek są chwile, w którychby inny człowiek, chociaż najmocniejszy, załamał się zmęczony. Oni przeciwnie. Krzątają się żywo koło zachowania, utwierdzenia i pogłębienia tego, co im najdroższe, — koło umocnienia swego rozbudzonego poczucia wspólnoty z narodem polskim. Książka, gazeta i szkoła są tam dzisiaj jedyną więźbą między Polską i wyzwolonym Śląskiem, a ich Śląskiem pozakordonowym. Jak długo te trzy czynniki istnieć będą, tak długo w sercach tamtego odgradzonego ludu śląskiego będzie Polska, ta sama, jaką widzieli rozmodlonemi oczami i jaką wyniańczyli w swych sercach nasi przodkowie w okresie niewoli i politycznego romantyzmu. W istocie swej nic to nie przeszkadza, że mogą być dobrymi obywatelami tego państwa, w którym pozostali; do Polski jednak zawsze będą tęsknili, jako dzieci do swej daleko będącej matki,

która o nich nie zapomni.



Śląskie Zakłady Techniczne w Katowicach



Czantorja

CZEŚĆ DRUGA ŚLĄSK ZIELONY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

URODA ZIEMI

Ziemia bywa, jak twarz ludzka.

Jedna zbiedzona, jakby zgryzotą w zmarszczki pomięta, o wyblakłym spojrzeniu; inna znowu zamyślona, zamknięta w sobie, nigdy do nikogo się nie-uśmiechająca; a jeszcze insza bezpłodna i surowa, jakby w męce umarła. Gdzie-indziej znowu hyrna i dumna, na ludzkie mrowie, co się po niej gmera, z pogardą patrząca. I jeszcze insza bywa, przeróżna, jak przeróżne twarze ludzkie bywają. Ale takiej ziemi, coby uśmiech dziewczyny młodej przypominała, uśmiech jasny i zamyślony, to mało. Tam jeno powstała, gdzie Pan Bóg w chwili



Sianokosy w Beskidach

jej tworzenia Swemi modreimi oczyma dobrotliwie się zapatrzył i czegoś uśmiechnął. I po dziś dzień taką się ostała, by zafrasowany człowiek mógł oczy troską przyćmione jej urodą sycić, i by w skołataniem sercu mógł wyczuwać napływającą słodycz bezmierną, co się z tamtego Bożego uśmiechu rodzi, i by myśli jego do modlitwy podobnemi się stały i Bogu się podobały.



Czantorja od strony Ustronia

Polska ma taką ziemię. Niewielką, ale ma. W ostatnim zakątku swoim, u podnóża zachodniego krańca Beskidów. Jest nią ziemia cieszyńska i pszczyńska.

Od południa zamknięta ona przed sąsiadem miękką, łagodną a wyniosłą ścianą Beskidów. Od Klimczoka poprzez Stołów, Baranię — rodzicielkę Wisły i Olzy — potem od Czantorji przez Stożek aż po Kozubową i Jaworowy, co już u Czecha zostały, idą sznurem zielone gronia, skąd już bliżej Boga się wydaje. Kiedy człowiek na którymś z nich stanie i słucha, wtedy ucisza się w nim serce, jak dziecko u matki, i dobrze mu. Urzeczone oczy zaś lecą w zamyśleniu w dalekie, rozfalowane doliny Olzy czy Wisły, tak lecą, jakby te ptaki stęsknione, śpieszące w rodzinne gniazdostwa. Pod spojrzeniem rozkłada się ogromna przestrzeń kryształem po wierzch napętniona, na kraj świata w słoneczku idąca, a gdy oczy zamknąć, pod



Dziehcinka

powiekami wynurza się wtórny obraz urodziwej ziemi, w sercu zaś radość wykwita.

I czy w lecie, czy w zimie, z wiosną czy na jesień, zawsze spojrzenie ludzkie napotyka jej krasę. I rozmiłować muszą się w niej oczy człowieka, bo inaczej być nie może.

Wygląda bowiem, jakby kobierzec przedziwny, Boską dłonią uczyniony. Pobok Czantorji wgląd rozwartej naścieżaj doliny snuje się wąski, srebrzysty paseczek Wisły, łuszczy się rozsiażem złotem



Zameczek Prezydenta w Wiśle

słoneczkowem, przewija miękko między wzgórzami i kępami, znika na drobną chwilkę, potem znowu wycieknie srebrem i bieży i bieży, aż w tamtej mglistości pod niebem utonie. Odwrócić się za słońcem, oczy polecą w zieloną głębinę, w urzekliwą dolinę Olzy, którą Czech posiadał. Środkiem jej pomiędzy olszynami przelewa się ciemnawa woda Olzy, świętej rzeki śląskiej, przez poetów umiłowana, w pieśniach sławiona, a w której utopce straszą. Od Baraniej koło Jabłonkowa, gdzie Jackowie mieszkają, i aż po Cieszyn, po wieżę Piastowską, po skalistem, zębatem dnie cieknie i dzwoni szklanym

*Klimczok i Skrzyczne*

szmerem, potem już wędruje polami, powolna, stateczna; mija piastowski Frysztat, mija Bogumin, do Odry się wlewa i wędruje w świat.

Po obu stronach Wisły i Olzy schodzą ze wzgórz łąki i pola. Wydają się z miękkiego atlasu utkane. Pomiędzy polami, w pachnącym cieniu lipowym samotna droga śpieszy. Leci naprzemno przez wzgórze i doliny, bieli się w słońcu, czasem spętlili się w gruby węzeł. Kiedy między białe chałupy zabłądzi, przystanie z niemi na chwilę, a potem znów wybiega truchcikiem i raz wraz szerokim łukiem poza siebie spoglądnie, jakby jej żal czegoś było. I znowu śpieszy w inne zbiegowisko piernikowych chałupek. Czasem ponad rzeką czarnym mostem przebieży, czasem jej w drodze towarzyszy, potem znowu w bok zawróci, potok jeden i drugi przeskoczy i za widnokręgiem gaśnie. W pogodny dzień ponad gęstwą zielonych kęp wspięła się jedna i druga i dziesiąta wieża kościelna, od przyciesi aż po kalenicę z jodłowego drzewa zmajstrowana. Nic nie widać, jeno ten daszek kończysty, a na daszku krzyż żelazny. A koło kościoła domki białe, jakoby paciorki jasne, od niechcenia hojną dłonią po wzgórzowych obłąkach rozsiane.

W nich to się rodzi ta przedziwna twarda moc ślązacza.

*Górale istebniańscy*

Czasem jakieś miasto można dojrzeć z wyniosłych groni beskidzkich. Malutkie domki na gromadkę zgarnięte, w środku w równy czworoboczek wybrane; — to rynek. A potem, jakby ktoś palcem w ich mrowiu przejechał: raz tak, potem zaś owak, nakrzyż, nawspak i ulice gotowe. Ponad ich zbiegowiskiem senne dymy w powietrzu, przejrzyste, fioletowe, i znowu jedna i druga wieżyca z unurzonym w słońcukrzyżem. Tam wyżej jeszcze, ponad wieżycami i nikłemi dynamisłodka cisza podniebna.

A jeżeli zejść z groni w tamte doliny i pójść, gdzie oczy poniosą, spotykają cię co krok nowe uradowania. Pobok ścieżyn górskich napotykasz święte źródelka. Z pod



W nierodzimskim kościółku

zwalistego ka-słońce pijesz. Gdy zejdziesz w doliny, mijasz wsi przeróżne o nazwach od piastowego pomyslenia się wywodzące, a brzmiące w wymawianiu, jak dzwon ze starego złota. Mijasz ustronia, rozkosz dla źrenic zdziwionych, ze wzgórzy patrzysz i widzisz jak ta ziemia nie spoczywa, lecz płynie w łagodnych, miękkich, obłych ogięciach, jak ze stoków napotykanym wzniesień idzie naprzeciwko wdzięczne złudzenie dla serca, że ziemia ta naprawdę do dziewczęcego uśmiechu podobna, że w niej cisza i utajone myślenie o czemś, co radość zgorzkniałemu sercu przynosi.

Ziemia spływa coraz wolniej za Wisłą, wygładza się, ucisza, przemienia w nieobeszłą równinę, gdzie wody w Wiśle i potokach leni-

mienia z szczerbatej szczeliny lub z kępy olbrzymich paproci sączy się struga dzwoniącej wody w podłożone koryto drewniane, z jednego pnia wydłubane. A w powierzchniach wód przegląda się zielone sklepienie drzew na dnie zaś gmerają złociste pętelki połuskanego złota, Woda jest zimna i przynosząca zdrowie, bo gdy ją pijesz — myślisz, że płynne



Ustroń i Czantoria

wieją, a z pomiędzy gęstwy szuwarów czyli t. zw. „szosza“ wychylają się śpiące stawy i rozlewiska, poprzegradzane starymi groblami i starymi dębami. „Żabi kraj“ tutaj się rozpoczyna, jak Wałasi nazywają przekornie oną nizinę nadwiślańską. Człowiek pracowicie osuszył tutejsze moczary i „barzyny“, pozamieniał w pola zboże i ziemniaki rodzące, poodgradzał wielkimi lasami szpilkowemi, w których niedobitki żubrów przytułek znalazły.

Śląsk Zielony, a zwłaszcza Beskidy śląskie stanowią płuca olbrzymiego okręgu przemysłowego, Śląska Czarnego. Gdzieżby człowiek mógł się schronić w wolną chwilę przed temi dymami i sadzą, jak nie do Beskidów? Nadejdzie niedziela czy święto, a zaroją się asfaltowe drogi i szosy śpieszącemi samochodami i motocyklami, przeludniają się pociągi, zmierzające w kierunku omglonych zlekka groni beskidzkich, a same gronia, wszystkie ścieżyny górskie, miedze wążiutkie

i wądolce Dziechcinki, Białej i Czarnej Wisielki zamieniają się jakoby w odpułkowe drogi, któremi wędrują niedzielni pątnicy. Ciche lasy Równicy, Czantorji, Stożka, Baraniej i Klimczoka wypełniają się po wierzch



Schronisko na Baraniej



Widok ze Stożka na pasmo Baraniej

twardym, kanciastym gwarem Górnoszlązaków, schroniska na szczytach krzyczą daleko śpiewem i splątanem nawoływaniem się turystów, niefrasobliwymi śmiechami i baraszkowaniem o dziecinnej jakiejś naiwności i prostocie. Beskidy — to jedno wielkie uzdrowisko dla nerwów ludzkich, wyczerpanych zawrotnym tempem fabryk i dla płuc, zduszonych dymem i czadem, i dla serca, wyjąłwanego twardej warunkami pracy. A kiedy śnieg spadnie i wszystkie tamte szlaki turystyczne zasypie wysoko, drzewa zaś ubierze w czapate płachcie i zsypujące się szrony, kiedy cały ten podniebny obszar zamieni się w jakąś baśń o szklanej górze, w ogród zaczarowany, w którym jeno cisza dzwoni a słońce skrzy się mrowiem migotliwych luseczek — wówczas po skłonach górskich i groniach błakają się rozradowane gromady narciarzy. Leci taki powicher jeden i drugi na wążiutkich deskach, kraje śnieg w zwiewne koleiny, sunie w dolinę na złamanie karku, skacze, zawraca w kunsztownym łuku, wspina się zpowrotem pod słońce, a suchy śnieg dzwoni zlekka pod nartami; czerstwe,





Jedno z licznych źródeł Wisły



Na grzbiecie Klimczoka

mroźne, żywicą pachnące powietrze syci łakome płuca, oczy zaś, urzeczone do ostatka krasą beskidzkiej zimy, skrzą się, zlekka przymrużone, maluchnemi, żywemi drobinami słońca.

Dawniej Beskidy były nieznane. Nieliczni Niemcy bielscy włóczyli się tylko po nich, hałkakując rozgłośnie. Od chwili, kiedy Cieszyńskie przestało być „cesarską stroną“, od chwili połączenia się z Polską, roztworzyły się szeroko doliny beskidzkie, a mądrzy ludzie, co urząd wojewódzki sprawują, czynią wszystko, by ten olbrzymi park udostępnić całemu Śląskowi. Zbudowano kolej do Wisły i do świata ją przybliżono. Obecnie kolej wspina się powoli, krok za krokiem, na wysoką przełęcz Kubalonki, żeby z niej do najpiękniejszej doliny na świecie, do słonecznej Istebnej polecieć. Zamiar śmiały, bo wysokie wiadukty trzeba przerzucać nad poprzecznymi dolinami, w zakosach i skrętach wyłazić na stromą przełęcz. Lecz że audaces juvat fortuna — więc pewnego pięknego, rozświetlonego dnia wydrapie się na nią zasapany pociąg, potem stoczy się w dolinę Olzy i zatrzyma zdziwiony w środku świata, co dotychczas deskami wokółusienko szczelnie był zabity.

Wszystko się robi dla włóczęgi beskidzkiego. Paradzą się dwie skocznie narciarskie, jedna na Przysłupiu pod Baranią, druga



Schronisko na Baraniej górze

w Wiśle, buduje się najpiękniejszą drogę w Polsce, równą, gładką, która od Katowic bieży przez Ustroń i Wisłę, potem w cudacznych a wdzięcznych pętłach wyleci na gronia, a następnie spada już łagodnie do Istebnej, żeby dotrzeć do Koniakowa. A droga tak gładka, że miejscami sprytnie góralczyki w jakiś wymyślny bilard grają sobie na niej. Panoszą się schroniska rozliczne, na Czantorji, Stożku, Baraniej, Równicy, Błatniej i Szędzielnej. Po czeskiej stronie zaś — polskie schronisko — hotel na Kozubowej.

Na zboczu Zadniego Gronia, którądy się na Baranią idzie, szarzy się nadobny pałacyk Pana Prezydenta, zbudowany na miejscu spalonego drewnianego zameczka arcyksięcia Fryderyka. Roztomiały a dostojny Gość lubi wracać do niego na odpoczynek, gdyż i Jego urzekły Beskidy do imentu. U podnoża zaś Beskidów, nad doliną Brennicy, na Buczu, powstał okazały gmach Harcerskiej Szkoły Instruktorskiej. Przemile harcerzyki umiały sobie wybrać miejsce na swoje osiedle. Mają wszystko: lasy, rzekę,



Do szkoły w Istebnej



Dostojny Gość Śląska

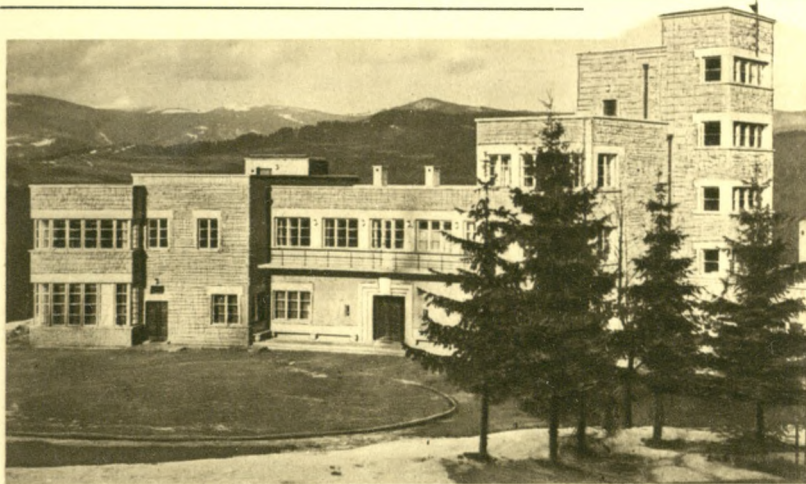
dziwa to ziemia, lecz skąpi swych płodów, aczkolwiek rolnik śląski, pracowity i zapobiegliwy nad podziw dużo pracy i umiłowania w nią wkłada. Począwszy od Beskidów aż gdzieś po krańce lasów pszczyńskich i rybnickich ciężka ona, iłowata, „ślinem“ nazwana, stokrotnego trudu pragnąca. W górach śląskich, z kruchego piaskowca zbudowanych rodzi człowiekowi mały owies, trochę ziem-

powietrze, słońce i serca ludzkie, co za dziwną sprawą potrafią je brać w słodką niewolę. Zbożne to dzieło. Bo kiedy nadejdą wakacje, zaroją się obszerne polany ludkiem harcerskim, rozbielą się namioty, rozśpiewają szeroko i daleko, a gdy przyjdzie kres godom słonecznym, wracają opalone, zdrowe, zahartowane chłopięta do domów, do tamtych dymów i palących się hałd górnośląskich. A na rok drugi obiecują znowu przyjść.

Nabrawszy sił i radości, goście do dom wracają. Na ziemi urodnej pozostają jej gospodarze. Uro-



Osiedle harcerskie na Buczu



Zameczek Prezydenta Rzeczypospolitej

niaków i małowielu lnu, żeby miał sobie z czego przyodziewę utkać. W dolinach zaś nie jest bardziej szczodłą. Pszenicy zbyt nierada, jedynie na ziemniaki łaskawsza, na owsy i żyto, a gdzieniegdzie na jęczmień i tatarkę, którą pono Tatarzy z sobą przynieśli i tyle jedynie dobrego po sobie zostawili. Miejscami zaś piachy ścielą się między lasami, nieużytki i płone wydmuchowiska, co z niechęcią dają człowiekowi zboże i ziemniaki. Człowiek zmusza je do tego zbożnego wysiłku swoją pracowitością. Inaczej nicby nie miał.

Gdzie nie starczyło chleba na ziemi, jęto go szukać pod ziemią.

W Beskidach dobierano się gorliwie do chudej rudy żelaznej, lecz że jej mało było, rychło pogaszono ogniska w małych zagłębieniach w ziemi, w niskich tak zwanych „wilkach“ i nieforemnych piecach hutniczych w Brennej i Ustroniu. Najdłużej jeszcze utrzymały się „hamry“ w Ustroniu, gdzie z przemysłem żelaznym łączy się powstanie miejsca kąpielowego. Gorące żuźle bowiem wkładano do wody w drewnianych wannach w specjalnym domu, zbudowanym przez księcia saskiego i królewicza polskiego, Alberta, „ażeby każdy przechodzień mógł się w nim okąpać“. Było to kiedyś w roku 1802. Na dowód tej wspaniałomyślności księżęcej zachował się jeszcze pod tynkiem napis: *Regius Hanc Princeps Albertus Struxerat Aedem Ut Viatori Ignitis Restituantur Aquis Vires*. Równocześnie jęto grzebać za wapniem, co go znachodzono w bogatych złożach po



Istebniacy ze swym wójtem

lewym brzegu Wisły, od Goleszowa począwszy aż po Żabi kraj w Strumińskim. Jedni zaczęli wypalać wapno, drudzy — co bogatsi — zbudowali ogromną fabrykę portlandzkiego cementu w Goleszowie, która nawet w zamorskie kraje wysyła go w beczułkach drewnianych.

Lasy człowiek mocno przerzedził. W Beskidach tylko i w Pszczyńskim ostały się. Piękne, umiejętnie pielęgnowane i wyzyskiwane. Najpiękniejsze znajdują się na stokach Baraniej, co dało ambitnym Ślązakom asumpt do starania się, by stworzyć z nich park narodowy. Zachowałyby się w nim nieliczne okazy cisów, dyptamów prawie że już wymarłych, limb i olbrzymich paproci; ze świata zwierzęcego zaś głuszce i cietrzewie. Drapieźców już nie uświadczysz w Beskidach, prócz wystrachanego lisa sierocego, lub jedynie tego kulawego niedźwiedzia, co go wędrowny cygan na łańcuchu przywiedzie i wodę w Wiśle pić dozwoli.



Z Golaszowic

Po kępach i dolinach rozpierają się jeszcze miejscami stare dęby o niezwyklej grubości, znajdują się sosny wejmutki, tęgie lipy, „co je Sobieski sadził“, topole, modrzewie czyli brzyzy i jawory.

W świecie drobnych roślinek dopatrzyć się można wpływu południa i północy. Ziemia śląska stała się dla nich rozdrożem, na którym



Kościół w Małej Wiśle (pow. pszczyński)



Istebna — Dom górala

uczyniło się drobne ich zbiegowisko. Z północy przywędrowała tutaj kotewka czyli orzech wodny, *Trapa natans*, — z południa, z dalekich Alp gruszyca polna, bylica skalna i jaskier alpejski, co się jeszcze utrzymały na wschodnich groniach Beskidu śląskiego. W ślad za nimi przyszła nadobna, wdzięczna, wiosnę zwiastująca cieszynianka, roślina prawie już nigdzie więcej na ziemiach polskich niespotykana, a w Europie nadzwyczaj rzadka. Ledwie ciepłe wiatry śnieg zliżą, zakwita żółtawo-zielonawymi kwiatami w trójkącie między Ustroniem — Skoczowem — Cieszynem, a co jest jej zgubą, gdyż dzieci i niańki, łakome jej kraszy, zrywają je garściami. Dostała się na Śląsk, podobnie jak i tamte kwiaty, przez Bramę Morawską, aczkolwiek uparci mieszczanie cieszyńscy twierdzą, że ją przynieśli Szwedzi w czasie swych zbójcekich wypraw na Śląsk w wojnie trzydziestoletniej. Do zupełnie wytępionych roślin należą tutaj storczyki przeróżnego gatunku, a najpiękniejsze z nich storczyk-obuwik i storczyk-kukawka. Podobny los zdaje się być pisany lilii złotogłowej na Tule, Jasieniowie i w Kojkowicach, oraz naparstnicy purpurowej na Szędzielnej, które z powodu ich pokusliwego kwiecica zrywają niemądrzy turyści, włóczący się bez-



Łąka na Podbeskidziu

myślnie i po jarmarcznemu w Beskidach. Taki sam smętny los czeka nieliczne już konwalje w Markłowicach, co je Cieszyniaci z ziemi z korzeniami wydłubują i w doniczkach do domów przenoszą. Z innych rzadszych roślin wymienić należy rosziczkę okrągłolistną rosnącą w zapomnieniu na moczarach koło Chybia i Mikołowa, następnie obrazki, *Arum maculatum*, jako też ziemowity, niecierpiane przez gazdów, bo im siana psują i bydło trują.

Los wytępionych kwiatów podzieliły także niektóre gatunki owa-



Żubry w Pszczynie

dów, jak panoszący się cudnymi skrzydełkami motyl *Parnassius Apollo*, czyli niepylak apollo, potem chrząszczyk z rodziny kózek, nadobnica alpejska, *Rosalia alpina*, oraz biegacz pozłocisty, *Carabus auronitens*.

Żubry w lasach pszczyńskich zostały również ciężko doświadczone. W jesieni roku 1918 było ich jeszcze 74 sztuk; obecnie zaś pozostało zaledwie kilka, gdyż resztę wytępił zły człowiek. Najwięcej ich legło w czasie zamieszek powstaniowych, podczas których bandy kłusowników urządzały na nie niszczycielskie wyprawy.

Niemniej zagrożony jest najpiękniejszy zakątek ziemi pszczyńskiej, słynna Dolina Janiny, ciągnąca się na północ od Mikołowa

w kierunku Panewnika. Prawy jej brzeg został огоłocony z drzew przez pobliskie zakłady przemysłowe Hohenlohego, a wraz z lasem wyniszczono dużo rzadkich roślin, które miały w nim ostatnie jeszcze schronienie. Tutaj to człowiek przestaje być dobrym gospodarzem, a staje się „raubczykiem“, takim samym, co konwalję, narparstnicę purpurową i cieszyńniankę niszczy i żubry pszczyńskie tępi.

ŻYCIE GÓR.

Największą urodę ze wszystkich miejscowości beskidzkich posiada niezaprzecznie Istebna. Położona do słońca, zakryta od wiatrów północnych i wschodnich, przewidziana jest na największe uzdrowisko w Polsce. Wszystko tu jakoś piękniejsze: i ziemia, i lasy, i słońce, i ludzie. Jakie są początki tej radosnej doliny, trudno dociec. Jedni twierdzą, że górale istebniańscy — to potomkowie wołoskich pastery, którzy tu kiedyś przywędrowali z owcami. Drudzy — że to potomkowie chłopów, co razem z Janem Kazimierzem przed Szwedem chronili się w puszczy beskidzkiej, i tutaj już ostali. A inni jeszcze pragną dowieść, że to ten sam lud, co na Podhalu. Prawdopodobnie wszyscy mają potrosze słuszność.

Nazwa Istebna ma się rzekomo wywodzić od powiedzenia „*Iste bene facit*“, którem określano na zamku cieszyńskim jakiegoś pustelnika, co był osiadł w puszczy u źródeł Olzy, i dobroczyнным był.

Ziemia tu uboga. Jak zresztą na całym Podhalu. Owies jeno się udaje, mizerny bardzo i garstka ziemniaków i trochę lnu. To wszystko. Pozatem górale istebniańskiego i koniakowskiego żywią jeszcze nieliczne stadka owiec i praca w lesie państwowym.

Ciężkie bywało życie górala beskidzkiego, to też śpiewa:

*Hej, tu u nas koniec chleba i początek wody,
Nom tu jeny wciąż harować, nie znamy swobody...*

Od XVI wieku począwszy karczował on nieprzebyte puszcze górskie, wzamian za co, na podstawie niepisanego prawa, mógł wypasać swoje owce na wyrębiskach. Znikły też bory ze szczytów i stoków beskidzkich, a na ich miejscach pojawiły się ogromne pastwiska. Górale potworzyli między sobą osobliwe organizacje spółek szalańniczych na prawie ustnej umowy, a każda taka spółka, składająca



Z Istebny



Szalas pasterski

się nieraz z 60 członków, rozporządzała jednym szalasem, obejmującym jeden gron i jego stoki. Był to złoty okres pasterstwa góralskiego. Istebniacy i Koniakowianie opłacali się niewielkimi daninami na rzecz panów cieszyńskich i jedynym urozmaiceniem ich swobodnego życia były częste walki ze słowackimi pasterzami, którzy zapuszczali się na śląski teren, oraz junackie wyprawy zbójnicze w doliny. Granica między Słowaczczyzną a Śląskiem oznaczona była „okrzasami“ czyli zacięciami na drzewach. Z początkiem XVIII wieku wielmożowie cieszyńscy jęli powoli uszczuplać złotą swobodę góralską. Odtąd rozpoczyna się twarda walka między góraliem a Komorą Cieszyńską, dążącą do odebrania szalasów i zalesienia ich.

Dochodziło nawet do tego, że opór krzywdzonych górali łamano nasyłaniem oddziałów wojskowych i że spory sądowe, wynikłe z tego powodu rozstrzygane były kilka razy w Wiedniu z wynikiem niekorzystnym dla górali. Patent cesarski z roku 1853 zlikwi-



z stółki



Na bezkidzkim groniu

dował zupełnie szałasnicze prawa górali, co pociągnęło za sobą ich zubożenie. Żalił się teraz góral: *...nie masz owiec na hali, cudnych szałasów żal, podniebnych cichych hal. Szalase, szalase, gdzieście się podziały...* gdyż naprawdę krzywda mu się działa. Obecnie rząd polski, po przejęciu dóbr Komory Cieszyńskiej czyni starania, by krzywdę tę wynagrodzić.

Wyjście z Istebnej prowadzi doliną Olzy pod przełęcz jabłonkowską, gdzie u jej progę rozsiadło się tuż nad granicą małe miasteczko góralskie, Jabłonków. Tędy bowiem wiodła droga z Węgier na Śląsk. Chadzały nią zbrojne karawany kupieckie od czasów zamierchłych aż do ostatnich; tutaj napadali na nie zbójnikowie śląscy, biorąc suty okup od przerażonych kupczyków; tędy też wdzierali się na Śląsk Madziarzy, Wołosi, Tatarzy, ba nawet Turcy próbowali szczęścia, docierając pod obronne szańce jabłonkowskie, co je Piastowie cieszyńscy usypać kazali. Ostatni raz naprawiano je i wojskiem cesarskiem i góralami obsadzono, kiedy w roku 1683

Turcy zagrażali Wiedniowi. Pierwsze usypiska szańcowe wznosiły się na istebniańskich szczytach, na Ochodzitej i Girowej.

Oprócz Istebniaków osiadł w Beskidach, w dolinie Wisły drugi ród góralski, w dolinie Brennicy — trzeci. W istocie nie wiele się różnią między sobą. Tem tylko może najbardziej, że Wiślanie są przeważnie wyznania ewangelickiego, gdy reszta górali — katolickiego. — „Twardzi my som lutrzy!” — mówią Wiślanie o sobie, gdyż w czasie kontrreformacji nie



Pasterz zwolujący owce



Wisła

ugięli się, a cichaczem, po nocach schodzili się w Malinowskiej skale, gdzie koło dużego kamienia odprawiali swoje nabożeństwa. Kamieni tych w kształcie ogromnego stoła, z wykrzesanym na nich krzyżem i kielichem, znaleźć można kilka w Beskidach.

Dzisiaj Wisła jest jednym z najpiękniejszych letnisk w Beskidach. Odkrył ją dla Polski Julian Ochorowicz. Przez długie lata spędzał wolne chwile w swojej wiślańskiej „kolibie“, żył między góralami, wychowywał ich, starał się uspołecznic, a przede wszystkim na cały świat polski głosił, że Wisła — to najpiękniejsza wieś polska pod słońcem. Dzisiaj zacudowałby się szczerze, patrząc na jej niezwykle rozwój. Zapomniana kiedyś ta wioszczyzna próbuje dzisiaj śmiało konkurować z taką Krynicią czy Zakopanem.



Góral wiślański

Pyszną się teraz Wiślanie ze swej Wisły i hyrni się stawają, że aż na dziwy. A każdemu kto ciekawy opowiadają z zadowoleniem, jakto ich Wisłę założył niejaki Imko, zwany Wiselka, dworzanin książęcego zamku Piastowskiego w Cieszynie. Zadzurzył się bowiem Imko w nadobnej księżniczce cieszyńskiej, głowę jej zawrócił doostatka, a potem uciekł, kiedy ojciec zwiędział się o amorach swej jedynaczki i „na garle“ chciał poka-



Z okolic Wistly

rać nieszczęśnika. Zaszyl się wtedy Imko w lasach u źródeł Wisły, zapomniał o swojej ducisie cieszyńskiej, ożenił z uprowadzoną pasterką góralską, wykarczował kęs lasu na pole i dał początek osadzie Wiśle. Tak mówią Wiślanie.

Niemniej dumni są i z tego, że Bolesław Prus między nimi napisał swoją „Placówkę“, Marja Konopnicka zaś, uproszona przez ks. Londzina, — „Rotę“, którą następnie „Gwiazdka Cieszyńska“ pierwsza wydrukowała.

Pierwsza wzmianka o Wiśle pochodzi z roku 1223.

Drugim miejscem letniskowem, a równocześnie uzdrowiskowem jest Ustroń u przedproża doliny Wisły, między Czantorją a Równicą. Nie posiada już tego charakteru, co wieś Wiśla.

Zbiegają się tutaj ludziska i kurują się w kąpielach mułowych z ciężkiego darcia w kościach. Ustroń też bywa najczęściej punktem wyjścia dla turystów i narciarzy beskidzkich, zachodzących — kto słabszy w nogach — na niewysoką Równicę, kto zaś silniejszy — na Czantorję, gdzie rad czyni popas w schronisku za miedzą cze-

ską, a potem wędruje groniami, wzdłuż kamieni granicznych między Polską a Czechosłowacją, na Stożek, a stamtąd na Baranią. W długiej dolinie Brennicy rozłożyła się Brenna z trzecim rodem góralskim. Niemniej uroczą od Wisły i Istebnej, nie jest jeszcze dzisiaj dla szerszego świata odkryta. Lecz już czyni się starania, żeby odkrycie to przyspieszyć.

Niewielkie te Beskidy Śląskie, a ileż w nich urody i zdrowia, pojących oczy i duszę, dających krzepotę każdemu, kto latem czy zimą na pobyt osiadzie czy bodaj w paru dniach grzbietem powędruje. Pokusa tam na krawędziach wysokich wielka, że nie sposób zejść w niemniej uroczone doliny. Więc głodny szerokiego spojrzenia i oddechu turysta na noc przystaje w schronisku a jest ich moc wszędy, jak i znaków, które na dobrą drogę wywiodą.



Na odpuscie w Brennej



Olza w Cieszynie — dziś graniczna

ROZDZIAŁ DRUGI

POKRZYWDZONE MIASTO



*Latarnia
z pow. rybnickiego*

Z groni beskidzkich, patrząc na zachód, można dojrzeć szarą, zębatą wieżę Piastowską, wysterkującą z ogromnej kępy drzew na Górze Zamkowej w Cieszynie. Tyle tylko — co ta wieża — zostało z dawnego cieszyńskiego zamku Piastów. Góra ta usypana, jak mówi podanie, przez Tatarów, do niewoli wziętych, wznosząca się stromo nad Olzą, i ta wieża szara, najstarsza ze wszystkich prawie budowli na Śląsku. Zresztą bo i Cieszyn jest najstarszym miastem śląskiem.

Na jednej z wąskich, spadzistych ulic, biegnących do Olzy, stoi pod załomem szarej ściany legendarna Bracka studnia z polskim, niemieckim i łacińskim napisem, że „*Roku 810 wiaropodobne założenie miasta Cieszyna przez trzech*



Studnia Bracka

synów Leszka III, króla polskiego. Trzej bracia książęta: Bolko, Leszko i Cieszko zesłi się po długiej wędrówce przy tem źródle i ciesząc się zbudowali na pamiątkę miasto, które miano Cieszyn otrzymało.“

Trudno dociec, czy podana data jest prawdziwa. Pierwsza bowiem wzmianka historyczna pochodzi z roku 1155, wspominająca o kasztelanie cieszyńskim. Zamek wraz z miastem, opasanym murem, posiadali jakiś czas Benedyktyni z Tyńca, poczem przenieśli się do Orłowej. Cieszyn zaś staje się od roku 1290 stolicą odrębnego księstwa z pierwszym księciem cieszyńskim Mieszkiem I. Piastowie wóldarzą tutaj ze zmiennem szczęściem. Włości ich przejmują Habsburgowie po śmierci ostatniej księżnej cieszyńskiej, Elżbiety Lukrecji, zwanej w podaniu „Czarną księżną“, a której zwłok nie chciała ziemia przyjąć, wyrzucając je kilkakrotnie. Dlaczego ją taka kara po śmierci spotkała, podanie nie mówi wyraźnie. Tyle jeszcze dodaje, że zdeperowani pogrzebnicy złożyli trumnę ze zwłokami na wóz, zaprzę-



Podcienia w rynku cieszyńskim



Seminarjum nauczycielskie w Bobrku

żony w cztery, czarne woły, i puścili je samopas. Woły pojechały z trumną aż do wsi Cierlicka, gdzie się zapadły wraz z wozem i trumną w ziemię. Na tem miejscu zaś zbudowano kościół. Działo się to w roku 1653.

Według innej legendy miała to być księżna wielce litościwego i dobrotliwego serca, aczkolwiek akta skoczowskie zdają się temu zaprzeczać. Kiedy bowiem w roku 1643 sąd miejski skoczowski skazał niejakiego niesławetnego Pilutkę na rozczwiartowanie, „gdyż za wiele wygadywał i pisał na władze miejskie“, wtedy „Czarna księżna“ ulitowała się nad nim i w drodze swej łaski zamieniła mu karę na powieszenie.

Częste pożary, wojny i mory wyludniały niejednokrotnie Cieszyn w ciągu wieków. Najwięcej ucierpiał podczas wojny trzydziestoletniej i siedmioletniej. Kontrybucje, nadmierne podatki i świadczenia, oblężenia i zdobywanie miasta dawały się Cieszyniakom we znaki.

Zdarzały się czasem chwile, że ludek cieszyński miał radosne urozmaicenie w swojej udručę, jak naprzykład wtedy, gdy Jan Kazimierz uchodził przed Szwedami przez Cieszyn w roku 1656. „Przybył do Cieszyna — pisze kronikarz — 20 grudnia o 10 przedpołudniem z 2000 ludźmi na koniach, zjadł śniadanie w domach rezydencyjnych książęcych, poczem sankami pojechał przez Jabłonków na Węgry.



W dawnym stroju



Jaz na Olzie pod Cieszynem

Podczas śniadania wolno było każdemu być obecnym.“ Niemale zaś zdziwienie oraz jeszcze większe uradowanie wywołało w Cieszynie pojawienie się skrzydlatej chorągwi pancерnej Sieniawskiego, śpieszącej na odsiecz Wiedniowi. Główne siły Sobieskiego ciągnęły zaś przez Mysłowice, Piekary i Tarnowskie Góry na Racibórz i Opawę. „Przechód doborowego żołnierza polskiego trwał przez

8 dni — pisze ówczesny kronikarz w „Knize weypowiedi“. — Ci goście dopuścili się tu i ówdzie ekscesów, ale płacili za wszystko gotówką i w aktach sądowych nie przechowała się żadna skarga na nich. Widać, Cieszyniacy byli z nich zadowoleni.

Szukali tu także schronienia niedobitkowie Konfederacji Barskiej, której generalicja mieszkała w domu na Wyższej Bramie tak długo, dopóki rozkaz cesarski nie wymógł jej gościny. W czasie wojen



„Bóg zapłać“

napoleońskich wielokroć przechodziły przez miasto wojska cesarskie, napoleońskie i księcia Poniatowskiego. Znajdował się między nimi; także poeta Kazimierz Brodziński, który zanotował w swym pamiętniku, że „przez piękne miasto Cieszyn tylkośmy przejechali“. Wówczas ksiązę Józef Poniatowski przez 6 tygodni bawił w Cieszynie, mieszkając w gospodzie „Pod złotą kulą“ na rynku, poczem wyjechał po swoją śmierć w Elsterze.

Cieszyn do ostatnich czasów posiadał charakter miasta niemieckiego. A równocześnie tutaj ogniskowało się narodowe życie polskie Śląska cieszyńskiego. Najgłośniejszą była walka, jaka toczyła się o upaństwienie polskiego gimnazjum w Cieszynie, którego głównym rzecznikiem i obrońcą był ks. Józef Londzin.

Przy rozgraniczaniu Śląska Cieszyńskiego przeprowadzono granicę przez środek miasta. Od-tąd rzeka Olza stanowi płynną miedzę graniczną. Przemysłowa część miasta, t. zw. Saska Kępa wraz z dworcem kolejowym została u Czecha, starsza część miasta z rynkiem, kościołami, koszarami i gmachami szkolnymi dostała się Polsce. Dzisiaj na dwóch mostach stoją po obu stronach budki straży granicznej i celnej, a ruch między obu połowami miasta odbywa się za przepustkami. Granica ta biegnąca przez wsi śląskie, stanowi



Zamek w Cieszynie



Rynek Cieszyński

pewnego rodzaju curiosum, nigdzie chyba na świecie nie spotykane. Przepołowione zostały częstokroć nietylko pola uprawne, należące do jednego właściciela, lecz i podwórza gospodarskie, tak że dom mieszkalny został naprzykład w Polsce, a stodoła w Czechosłowacji, lub odwrotnie. Albo że z gospody po czeskiej stronie podaje się przez okno piwo w kuflach kamratom, stojącym pod ścianą, ale już po polskiej stronie.

Główna linja kolejowa, biegnąca przez środek Śląska, została również po czeskiej stronie. Wskutek tego Cieszyn czeski rozwija się, nasz Cieszyn znowu zamiera powoli, zamieniając się w miasto emerytów, ciche, spokojne, „idące spać z kurami“. Ks. Londzin, który na kilka lat przed śmiercią burmistrzował polskiemu Cieszynowi, starał się i zabiegał, żeby



Koronkarki

zamienić je na lotnisko. Miejsce tu bowiem wymarzone na odpoczynek. Samo miasto, malowniczo położone na prawym brzegu Olzy, wspinające się amfiteatralnie na wzgórze nadolziańskie, z ogromnemi parkami na Górze Zamkowej i wzdłuż Olzy „przy trzecim jazie“, słynne ze zdrowego klimatu i z dobrego piwa zamkowego, czyste, wytworne, o wybitnych cechach piastowskiej kultury, ze swemi spadzistemi uliczkami, zaułkami, „schódkami“, „młynówkami“, „przykopami“ i „podcieniami“, ze swem podobieństwem do minjaturowego Krakowa śląskiego pod względem zabytków, z gromadami młodzieży śląskiej szkół średnich, a w niedziele i święta pyszniący się śląskimi strojami dziewczyn i gaździnek — wszystkie te przymioty czarują do tego stopnia wędrowca, że jeżeli ma wyjechać, żal u niego wielki i kęs serca zostawia w Cieszynie. Ślązak zaś każdy twierdzi, że Lwów jest piękny, Wilno jeszcze piękniejsze, ale takiego miasta, jak Cieszyn — za nic nie uświadczysz na świecie. — „Chyba może Wenedyk bydzie piękniejszy — zaznacza — ale i to bodej“.

A kiedy na wzgórze wyjść, ku Krasnej, gdzie to ta legendarna grusza do góry korzeniami rosła, lecz teraz już uschła — i spojrzeć pod słońce w dolinę, widzi się z jednej strony omglone, niebieskawe sylwety groni beskidzkich, potem dalekie, przejrzyste dymy hut trzynieckich, z drugiej strony zaś rozfalowaną nizinę z kominami Karwiny na widnokręgu, — a na tle przeciwnych wzgórz o miękkich, obłych konturach, nurza się w słońcu kwadratowa wieża Piastowska i bodzie niebo wyniosła wieża kościoła ewangelickiego, co na wzgórze, ponad miasto wyrósł, a pomiędzy niemi piętrzy się załamuje i schodzi do Olzy wielkimi krokami mrowisko dachów najeżone wieżami, wieżyczkami, wykuszami, załomami i gzymsami. A wszystko to spoczywa w przejrzystej, lekko niebieszczącej ciszy, przesianej słońcem i nasyconej zapachem Beskidów.

Z rynku cieszyńskiego, od jego średniowiecznych podcieni, rozbiegają się drogi na caluteńki Śląsk. Jedne pod graniczny szlaban niechętnie podłążą, drugie lecą

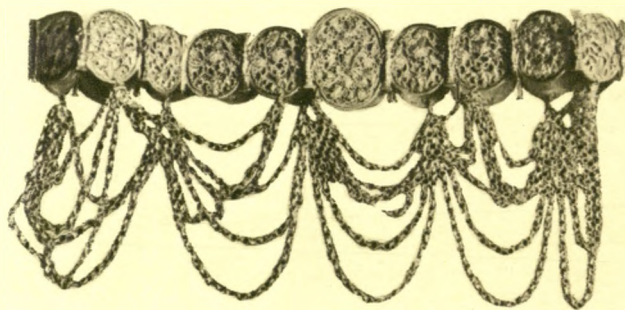


Przejsie z rynku do fary

jasne, proste, równe, szczerze smołą moszczone i ogromnemi walcami gładzone. Prowadzą przez ziemię, co zdaje się być wielkim parkiem, który jakiś wielemożny pan dla uciechy założył. A najpiękniejsza z tych dróg, to już chyba ta „cesarsko cesta“, co do Bielska prowadzi. Biegnie przez kępy i doliny, raz wyniesie człowieka wysoko, drugi raz zanurzy go w cienisty wądolec, wykręci się czasem, każe spojrzeć na Beskidy, zadziwi oczy dymiącą na biało fabryką cementu w Goleszowie, potem zaś wzrok powiedzie na szarzącą dolinę pszczyńską i rybnicką, a wciąż kusi człowieka do beztroskiej włóczęgi. Kto zaś jedną z nich Cieszyn opuścił i znów doń po latach powraca, jak urzeczony wraca na jedno zawsze miejsce. Zrazu krokiem szybkim, a potem zwalniając jakby w obawie jakiejś czy zasromaniu. Ku mostowi go ciągnie na Olzie, ku rzece, która przez lat tysiąc łączy te oba brzegi, a dziś: to twoje, od tamtego zasię!

Podchodzi, przystaje — odszedł ze zwieszoną głową. Poczem wspina się na Zamkową Górę w obrończy cień jej wieży.

Stamtąd więcej napatrzy się ziemi naszej, nie naszej.



Dziewczęcy pas w Cieszyńskim



Park w Pszczynie

ROZDZIAŁ TRZECI

OSIEDLA MIEJSKIE

W poprzek drogi, nad Wisłą, położył się Skoczów. Nieduże to miasteczko. Kroniki skąpo mówią o jego przeróżnych dziejach, bo zgorzały wraz ze skrzynią zamczystą i ratuszową wieżą podczas jednego z licznych pożarów. Jedynie zafrasowany kronikarz cieszyński lub strumieński wspomni czasem i jakoby od niechcienia — o „miasteczku nad rzeką“, kiedy wypada się martwić, że pobili się skoczowianie ze sąsiadami z powodu piwa, co oni sami nawarzyli, a sąsiady pić go nie chciały, lub kiedy w czasie reformacji kościołami szachrowano. Najgłośniej zaś o Skoczowie nie z tego powodu, że zachowała się jego najstarsza pieczęć z roku 1267, lub że go założył jakiś Skocz naprzekór legendzie, co twierdzi, że miasto „skoczyło“ z grodziska nad Bładnicą na obecne miejsce, lub że jakoby w tem miejscu skoczyła królowa Wanda do Wisły, aczkolwiek trudnoby było się jej w takiej skromnej Wiślinie utopić, — lecz jedynie z tego powodu, że tutaj urodził



Głos Skoczowa

się błogosławiony Jan Sarkander w roku 1576, kiedy pożar trawil nieszczęsne miasto, a matka przyszłego Jana schroniła się w przyratuszowej piwnicy na rynku. Z tego są dumni Skoczowianie i ku jego czci postawili barokowy pomnik z piaskowca na rynku, oraz kapliczkę na wyniosłym wzgórzu, gdzie się dzisiaj doroczne odpusty odbywają. Jan Sarkander pochodził z szlacheckiej rodziny polskiej Góreckich. Posądzony o zdradę stanu w czasie zawieruchy wojennej, kiedy to król Zygmunt wysłał Lisowczyków na pomoc cesarzowi Ferdynandowi II, długo był męczony w Ołomuńcu, gdzie i śmierć męczeńską w r. 1620 poniósł.

Dzisiaj słynie Skoczów z tego, że mieszczaństwo nabożni na-

Poza tem sławny Skoczów z tego, że w słoneczne dni letnie wyludnia się i przenosi na „kamieniec“ wiślany. Tutaj, w Wiśle, tańczą się pospólnie: dzieci na kolor wypieczonego chleba opalone, mieszczaństwo brzuchaci, stateczne mieszczki w długich koszuliskach, nadobne dziewczyny, stada gęsi i kaczek, krowy i cielęta, a co starsze chłopczyka pod brzegami paluchami grzebią, łapiąc ryby i raki do dłoni.

Poza tem posiada jeszcze owo miasteczko tę sławę, że tutaj zrodził się plugawy ruch „ślązakowski“, rozpoczęty przez osławionego rene-gata Koźdonia, i że tutaj wychodziło jego piśmidło, „Ślązak“,



Skoczów

pędzili z miasta nagiego Neptuna barokowego, zwanego tutaj „Jonaszem“, co kiedyś na rynku stał i z trzymanej ryby na plecach wodą bluzgał w „czyszczarnię“ a który teraz smęci się w krzakach na wzgórzu za miastem, z odtrąconym nosem i ramionami oraz że znajduje się w najpiękniejszym położeniu ze wszystkich miast śląskich, przeciw czemu żywo protestują Cieszyniacy.

pisane po polsku a w duchu niemieckim. Po wojnie, w czasie naszych walk z Czechami, przeszedł jurgieltnik Koźdoń na stronę czeską, gdyż tam mu więcej zapłacono, a jego „ślązakowszczyzna“ powoli szczyła.

Ze starszych zabytków ostał się skromny zamek piastowski, w którym urzędowali jedynie burgrabiowie książęcy, oraz jeszcze jedna legenda, opowiadająca o dawnym Skoczowie, co znajdował się nad Bładnicą w dzisiejszym Piekiełku, lecz który się zapadł na skutek przekleństwa jakiejś popędliwej babiny, co jajka stłukła przy olodowacialej czyszczarni, czyli studni miejskiej. Później nowy Skoczów powstał tuż przy Wiśle.

Poza Skoczowem przechodzi już Wisła w ninie, w tak zwany „Żabi kraj“, którego stolicą jest mizerna miejscina Strumień. Przez długie wieki był on tylko wioską, leżącą na odludziu między borami, mokradłami i stawami. Dopiero pod koniec wieku XV Mikołaj Brodecki z Brodku uzyskał dla Strumienia przywileje miejskie i odtąd miejscowość ta pyszni się mianem miasta.

Mieszczanie strumięńscy niczem prawie innem nie zajmowali się, jak hodowlą ryb w okolicznych stawach. Rybami handlowali, płacili, świadczenia składali, rybami się żywili, rybami nawet — według ich mniemania — Matka Boska w stajence betlejemskiej karmiła się, które jej maluchny Jezusek do garści łapał. Według

jednej z ich kolend, Matka Boska odczuwa głód przy żłóbku i sndałaby, gdyby „rybki“ miała

Wtedy Jezusek troskliwie ją pociesza:

„Poczekaj matko na chwilke, na małą godzinke, aż jo do morza zojdym, mocka rybek znójdym. Wstąpił Jezusek do morza, chycił za ocas węgorza...“

Ryby wkońcu tak dalece wszystkim się przejadły, że nawet czeladź godząca się od Nowego Roku na służbę do mieszczan, wymawiała sobie w umowie kilka dni w tygodniu, w których nie wolno jej było



„Jonasz“



Matka Ślązaczka

dawać ryb na obiad. Rybami całe miasto na milę już zalatywało, ryby przeszły w słownictwo miłosne, kiedy to zamiłowani w sobie chłopiec i dziewczyna mianują się tkliwie rybeczkami, i „złotemi rybkami“; ludzie mieszkają nie przy ulicy, lecz „za wodą“ lub „przy



Stare Bielsko — Ołtarz tryptyk

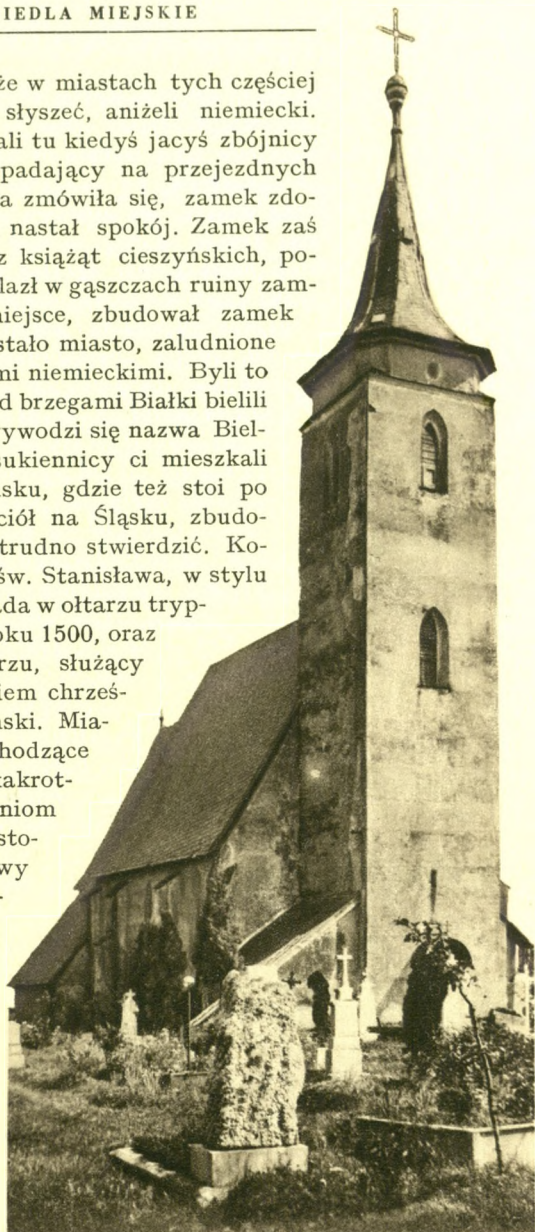
wodzie“, przybierają nazwiska, pochodzące od ich zajęcia, jak „Sodzawiczny“, „Cedziwoda“, „Pidło“, stawy zaś wszystkie i podmiejską Wisłę zaludniają utopcami, które „ludzi smykają“, przybierając postać ryby, żaby lub małego chłopca w czerwonej czapeczce. Niefortunne miejsce obrali sobie Strumieniacy dla siebie. Bo każdorocznie wylewała Wisła, dobijając się gniewliwie do drzwi w domach na rynku i wypędzając przerażonych mieszczan na strychy i kalenice. Pożary również nie szczędziły ich chudoby, do pożarów przyłączały się przeróżne włości wojskowe, kontrycje, przemarsze obcych dragonów i kirasjerów, husarów i gwardyj, łupiących bezlitośnie ubogich mieszczan.

Dzisiaj odetchnęli z ulgą, bo nowa linja kolejowa, idąca z Pawłowic na Górnym Śląsku przez Chybie do Skoczowa, nareszcie zbliżyła ich miasteczko do świata i zapewniła lżejsze żywobycie.

Na wschodnim krańcu Beskidów, nad rzeką Białką, rozdymiły się dwa miasta: Bielsko na Śląsku, Biała w Małopolsce, obydwa dawniej ziemczone, cudzoziemskie. Niemcy zasiedzieli się w nich już kiedyś od XIII wieku, sprowadzeni przez książy śląskich, jako koloniści. Za nimi przyszli Żydzi, łatwo niemczący się, żywiół polski zaś nieliczny bywał, jakkolwiek zapiski kronikarskie z początku

XVIII wieku zaznaczają, że w miastach tych częściej można było język polski słyszeć, aniżeli niemiecki.

Według podania mieszkali tu kiedyś jacyś zbójnicy w warownym zamku, napadający na przejezdnych kupców. Ludność okoliczna zmówiła się, zamek zdobyła, zbójców powiesiła i nastał spokój. Zamek zaś popadł w ruinę. Któryś z książąt cieszyńskich, polując w tych okolicach, znalazł w gąszczach ruiny zamku. Upodobał sobie to miejsce, zbudował zamek nowy, a koło zamku powstało miasto, zaludnione sprowadzonymi kolonistami niemieckimi. Byli to sami sukiennicy, którzy nad brzegami Białki bielili swoje płótna, skąd pono wywodzi się nazwa Bielsko i Biała. Pierwotnie sukiennicy ci mieszkali w dzisiejszym Starem Bielsku, gdzie też stoi po dziś dzień najstarszy kościół na Śląsku, zbudowany w roku 1169. Datę trudno stwierdzić. Kościół ten pod wezwaniem św. Stanisława, w stylu gotyckim wzniesiony, posiada w ołtarzu tryptyk szkoły krakowskiej z roku 1500, oraz zamurowany pień w ołtarzu, służący kiedyś przed zaprowadzeniem chrześcijaństwa za ołtarz pogański. Miasto jedno i drugie, przechodzące różne koleje, ulegające kilkakrotnym pożarom i zniszczeniom w czasie wojny trzydziestoletniej i podczas wyprawy tureckiej na Wiedeń, stanowią dzisiaj potężny przemysłowy ośrodek tekstylny. Liczebność żywołu niemieckiego nie uległa tej zmianie pod rządami polskimi jak w miastach wielkopolskich, gdyż w Poznańskim był to żywoł napływowy, ten zaś tutaj zdawna osiadły został i stał się lojalnym ele-

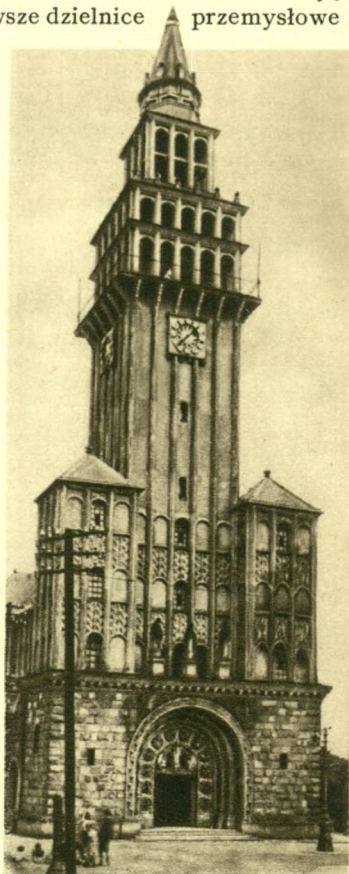


Kościół w Starem Bielsku

mentem Rzeczypospolitej. Stary, okazały zamek Sułkowskich w Bielsku i poszczególne, wąskie, strome uliczki, wspinające się na rynek z podcieniami i starami domami, nie nadawają miastu cechy starożytności, gdyż nowsze dzielnice przemysłowe i liczne fabryki sukna przykrywają ją skutecznie. Pamiętek polskich w Bielsku nie znajdziesz; niema ich prawie, gdyż nawet ostatni właściciele Bielska, książęta Sułkowscy, ci sami Sułkowscy, z których jeden z ich rodu zginął pod piramidami w Egipcie, walcząc pod rozkazami Napoleona - zniemczyli się, wyrzekli świadomie Polski, oddając się w opiekę Austrii za czasów Marji Teresy. Dwór wiedeński zaprzawnom starczył za Ojczyznę.

Żywił niemiecki w obu miastach, zbyt agresywny i zadzierzasty, prowokował często - przed wojną światową -

staremi dębiskami. Potem dopiero grobelnicy wpadli na pomysł, żeby im tutaj pod ich groblą z dębami dobrze było osiąść. Prośli więc któregoś z książąt o tę łaskę, a ten się zgodził pod tym warunkiem, że mu będą dawać „biernię“ czyli daninę. I od owej „bierni“ powstała osada Stary Bieroń, a jak drudzy chcą - Stary Bieroń.



Kościół w Bielsku

ludność polską, wskutek czego dochodziło do poważnych zamieszek ulicznych tłumionych skwapliwie przez niemiecką straż miejską w pikelhaubach. Dzisiaj już zgodni, usatkwowani.

Najbardziej zaś polskim miastem, a raczej miasteczkiem na Śląsku - to Stary Bieroń. Powstał między stawami podobnie jak Strumień. I podobnie jak Strumień, żywił się, handlował, płacił i świadczenia uiszczal rybami. Podobno najpierw został usypany olbrzymi wał nie wiadomego przeznaczenia, długi na dwa kilometry, obsadzony dzisiaj



Kościół w Starym Bieruniu



Z rynku pszczyńskiego

Według zaś drugiego podania piorun uderzył w święty dąb w pobliżu świątyni pogańskiej, poczem kapłani zostali śmiercią pokarani, gdyż wzbudzony lud uważał to za gniew bogów, spowodowany rozwiązaniem życia ich sług. I tak piorun, czyli zwykły górnośląski „pierón“ miał dać początek nazwie Bieroń czy Bieroń.

Poza tem mówi podanie o najeździe tatarskim, podczas którego zmarł w Bieroniu jakiś ich wielmoża. Pogrzebany leży do dziś dnia, pod „kopcem“ na którym po nocach coś straszy, gdyż długi czas stała tam szubienica miejska. „Kopców“ takich zresztą można sporo znaleźć nie tylko koło Bieronia. Na całym Śląsku.

Miasto, zasłonięte groblą, wiodło pokutniczy żywot nad brzegami rzek Klecznej i Gostyni, nikt o niem nie wspominał, jak raz tylko jakaś kronika z roku 1387. Aż dopiero od roku 1430 częściej o niem mówią zapiski i dokumenty historyczne, a które najwięcej wspominają o srogich pożarach, najezdach nieprzyjacielskich, trzęsieniach ziemi i o zalewach miasta przez okoliczne stawy, zwłaszcza wówczas, „kiedy się grobel przerwała i nastał taki potop, że nawet ryby w sabatnikach pływały.“ Bierunia-
nie dumni są ze swego kościółka drewnianego z XVII wieku, poświęconego św. Walentemu, gdzie wielu chromych i chorych uprosiło sobie zdrowie. Oprócz tego niemniej dumni są i z tego, że w czasie plebiscytu prawie wszyscy oddali głosy za Polską. Nie skusił ich więc przykład



Stare domy w Pszczyńie



Żubry w lasach pszczyńskich

Sułkowskich bielskich, co się Polski wyrzekli. Inaczej stało się w Pszczynie, gdzie tylko jedna czwarta wszystkich głosów padła na Polskę, reszta za Niemcami.

Pszczynę wspomina już Długosz w swojej kronice, nazywając ją „Plschyna, miasteczko nad rzeczką tego samego miana“. Ziemia pszczyńska, stanowiąca niegdyś udzielne księstwo, wydzielone z księstwa raciborskiego, przechodziła z rąk do rąk. Mieli ją Piastowie opolscy, potem cieszyńscy, po nich Thurzonowie, następnie przez dwa wieki Promnitzowie, a obecnie pozostaje w rękach rodziny Hochbergów, mianujących się „księżętami na Pszczynie“ i używających w aktach publicznych imienia tylko i liczby. Do roku 1848 posiadali prawo wymiaru sprawiedliwości, własne wojsko, odbierali przysięgę od poddanych i hołd od szlachty.

W ich nieprzejranych lasach znajdują się ostatni potomkowie żubrów, w czasie powstań mocno przetrzebionych. Pochodzą one z żubrzych chmar Puszczy Białowieskiej, ofiarował je ongiś Henrykowi XI car Aleksander II.

Najpiękniejszą ozdobą architektoniczną Pszczyny — to zamek książęcy, zbudowany w roku 1734, oraz park zamkowy z dębami, lipami i wiązami. W zamku tym w czasie wojny światowej, od roku 1915 do 1917 znajdowała się główna kwatera armji niemieckiej, co

było powodem licznych, wiernopoddańczych pielgrzymek niemieckich, pragnących ujrzeć cesarza Wilhelma II i jego generałów.

Ciche to miasto, rolnicze, jakby zapatrzone w dawną swą chwałę, na chwilę tylko bywa gwarne, gdy rozpoczną się polowania w okolicznych lasach.

Z pamiątek, przypominających Polskę czy polskość — to tylko grób zacnego biskupa niemieckiego Bogedaina, żarliwego obrońcy języka polskiego w szkołach górnośląskich, i niepozorny pomnik,



„Wspomoźyciele“ w kościele św. Jadwigi w Pszczynie

zbudowany na pamiątkę Henryka Walezego, który przez Pszczynę uchodził z Polski do Francji. Tu go bowiem pościg polski dogonił, tutaj przeniwierczy Walezjusz płakał przed panami polskimi i sumitował się gorliwie, że wróci, aż panowie polscy ulitowali się i puścili go.

Moczarowata, podmokła, lesista równina pszczyńska podnosi się zlekka, aż dojdzie pod Mikołów. Ogromne lasy książęce rozrzedzą się tutaj, cofną, a stare miasto wyrzży na świat boży. Miało tu

kiedyś bywać obozowisko mołdawskich handlarzy bydła, soli i wódki. I oni mają być — jak zapewnia podanie — pierwszymi założycielami Mikołowa. Osada musiała to być w każdym razie stara, kiedy pierwszy dokument, co o niej wspomina, pochodzi z roku 1228. Wówczas „comes Andreas castellanus des Miculow“ podpisywał się jako świadek na dokumencie Kazimierza, księcia opolskiego. Potem długi czas wszelkie dokumenty i kroniki milczą, tak że tylko domyślać się można, iż stary Mikołów został zniszczony, a kasztelanja przeniesiona do Pszczyny. Dopiero kiedyś w wiekach średnich następuje wzmianka o nowym Mikołowie, który zbudowano opodal starego miasta wśród bagien dla łatwiejszej obrony. Nie wiele to jednak pomogło, gdyż przyszli Szwedzi w roku 1620 i nowy Mikołów doszczętnie spustoszyli. Pożar, jak wszędzie, również nie oszczędził ciężko doświadczanego miasta, i zniszczył je wraz z ratuszem i archiwem municypalnym.

W czasie walki o polskość Górn. Śląska od Fryderyka II począwszy aż po ostatnie dni, odgrywał Mikołów wybitną rolę, jako miasto, w którym drukowano książki polskie. Szły stąd na świat śląski słynne kalendarze Miarki, książki do nabożeństwa, wydawnictwa „zabawne“, literatura straganowa, odpustowa i jarmarczna, śpiewniki przeróżne, tajemnicze senniki, żałośliwe historie o Genowefie, „żarty“, poradniki i sekretarze miłosne, książki mądre i naiwne, budujące i czasem ogłupiające, aleć zawsze — co jest ich wszystkich zasługą wielką — speł-



Św. Jadwiga — Kościół w Pszczynie



Rynek w Wodzisławiu

niające zaszczytną rolę stróżów języka polskiego na Śląsku. Wszystkie te książki, książczydła i książeczki, od Żywotów Świętych ks. Piotra Skargi począwszy, poprzez dzieła Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, przez różne budujące powieści, aż do Czarnoksiężników Bosków i chaldejsko-egipskich senników, — wszystkie te wydawnictwa dzielnie się spisały około utwierdzenia języka polskiego na Śląsku. Ów ruch wydawniczy wszczął Karol Miarka, pisząc tutaj swego „Katolika“ i „Monikę“ i zakładając największą drukarnię polską na Górnym Śląsku. Wydawaniem literatury straganowej zaś zajmował się drukarz Nowicki.



Uliczka w Strumieniu

Nad rzeką Rudą, między lasami i mało urodzajnymi ziemiemi, powstał Rybnik. Była to osada książęca, dostarczająca ryb i strzegąca stawów zamkowych. Pierwsza wzmianka o niej datuje się z roku 1282, kiedy Rybnik przypadł wraz z Raciborzem księciu Przemysławowi. Do roku 1532 pozostaje własnością książąt opolskich, następnie przejmują tę osadę, będącą już miastem, Habsburgowie. Niewielkie było to miasteczko, podobne do wielu innych. Dopiero z chwilą odkrycia węgla i założenia kilku kopalni, szybko zaczęło się rozwijać. Tatarzy, którzy w czasie swego najazdu na Śląsk w roku 1241 zniszczyli wiele miast, jak



Zamek w Pszczynie

Mikołów, Pszczynę, Bytom, Cieszyn i Rybnik, ocknęli się także pod Wodzisławiem, maluchnem miasteczkiem, gdzie ponieśli klęskę. Dopomogło Wodzisławianom do zwycięstwa ogromne mokradlisko, w które chcąc nie chcąc zapuścili się Tatarzy i haniebną śmiercią skończyli w błotach. Radlinianie bowiem, przywołani na pomoc załodze podrybnickiego zamku Grodziska, przyjechali na klaczach, które rychło zwęszyły ogiery tatarskie, po drugiej stronie bagien stojące. A na ogierach siedzieli Tatarzy. I to było ich klęską. Reszta Tatarów rozbiegła się po okolicznych lasach i ich dolinach, pozostając już tutaj na zawsze. Potomkowie ich rzekomo mają jeszcze mieszkać we wsi Mszannej. Wielu bowiem mieszkańców Mszanny nosi jeszcze dzisiaj nazwę „Tatańczyki“, a rysy ich mimo zmieszania się z krwią polską, świadczą o obcym pochodzeniu.

Tak mówi podanie wodzisławskie.

Wodzisław, podobnie jak Rybnik, nieszczególnie spisały się w czasie plebiscytu. Do narodowości polskiej przyznawała się w nich zaled-



Młody Śląk

wie jedna piąta część mieszkańców, reszta o nazwiskach takich, jak Sojka, Drózd, Kawka, Mietlorz itp. uważała się za Niemców. Po przejęciu tych miast przez Polskę dużo istotnych Niemców wyemigrowało do Niemiec, ci zaś, co zostali, — tak zwani „przeskoczki“, nawrócili się.

Wodzisławianie nie mogą się pochwalić starszemi budowlami czy innemi zabytkami z dawnych czasów. Tem chyba jedynie, że posiadają kościół katolicki z XV w. a za kościołem szczątki starych miejskich murów.

Drugim miasteczkiem, podobnym do Wodzisławia, to Żory, założone w r. 1272 przez księcia raciborskiego Władysława. Dobrze się jemu powodziło, boć siedziało na drodze handlowej między Polską a Zachodem i Węgrami. W ciągu wieków przybierało różne nazwy, jak Żary, Żar, Żarów, Żarnów. Obecna nazwę Żory pragną

siedzi w Wodzisławiu, również nie mają się czem chwalić. Mają jednak kościół z XVI wieku, w nim jednometrową monstrancję złotą, kunsztownie zmaisztowaną, z okresu późnego gotyku, oraz szczątki murów miejskich. Poza tem rosną koło ich miasteczka stare, grube dęby o 5 m przeszło obwodu i niewiele mniej gruba sosna płacząca.

Mieszczanie stanowili do ostatnich czasów mocny żywioł polski pomimo napływu licznych kolonistów niemieckich, osadzonych tu na prawie niemieckim za książąt Piastów. Przed wojną Niemcy wzrosli liczebnie, obecnie zaś miasteczko przybiera zpowrotem swój



Kielich w Żorach

uczeni wytłumaczyć wymowę garową, w której samogłoska „a“ zamienia się na „o“. Samą nazwę zaś wywodzą ludzie od żaru, jaki powstawał w wypalanych lasach trzebionych przez sprowadzonych kolonistów niemieckich celem uzyskania ziemi pod uprawę. Inna wersja głosi, że rodowodu tego szukać można w nazwie rośliny żorawiny, rosnącej obficie na okolicznych moczarach.

Żoranie, podobnie jak i ich są-



Skrzydła oltarzowe w Łaziskach



Kościół w Żorach

Bystrę umiłował serdecznie niezapomnianej pamięci artysta malarz J. Fałat. Osiadł w niej na stałe a motywy do swych niezrównanych akwarel czerpał z ośnieżonych uroczysk beskidzkich. Kiedyś górnicy karwińscy zbudowali tutaj sanatorium dla siebie i swych rodzin, wznosząc olbrzymi gmach ze skąpego grosza, co na czarną godzinę uciuli. Dziś znajduje się tutaj zakład dla pierśiowo chorych oraz uzdrowisko dla ozdrowieńców. Bystra bowiem, leżąca u wrót szerokiej doliny żywieckiej,

dawny charakter polski. Oprócz Ustroń, gdzie przemysłny człowiek założył pierwsze uzdrowisko podbeskidzkie, istniejące już od roku 1802, a gdzie Niemcy i Żydzi do ostatnich czasów byli jedynymi gośćmi, kurującymi swe dolegliwości w kąpielach mułowych, — oprócz rdzennie polskiej Wisły, najznakomitszej stacji klimatycznej w Beskidach oraz niedalekiego Jaworza z wołecznym zakładem i ze starym kościołem ewangelickim z roku 1782, i Grodzca ze zmurszałym zamkiem wymarłej szlachty śląskiej, Grodzieckich — rozsiadła się na wschodnim krańcu Beskidu śląskiego urodziwa wieś Bystra, w której schorowany człowiek szuka również poratowania dla swego zdrowia. Połowa wsi należy do Śląska, druga część — do Małopolski. Śląską



Kruchta kościoła w Mikolowie



Procesja Bożego Ciała w Warszowicach

zabezpieczona przed zimnymi wiatrzyskami, mocno nasłoneczniona, przesycona zapachem żywicznych lasów górskich, z wymarzonemi terenami narcziarskimi w zimie, stanowi słodką pokusę dla zmęczonego i niemocnego człowieka, co zdrowie w żmudnej pracy sterał.

W „Żabim kraju“, nad Wisłą, niedaleko Dziedzic, pomiędzy rozlewiskami ogromnych stawów, pyszni się stary park goczałkowicki, a w parku zakład kąpielowy z solankami jodowo-bromowemi. Podobnie, jak w Goczałkowicach — takie same źródłiska solanek jodowo-bromowych wybiegają z pod ziemi na drugim krańcu ziemi pszczyńskiej, w Jastrzębiu. Okolica już tutaj pagórkowata z głębokimi jarami, przestronny 1000-morgowy las, czyste powietrze nizinne i widok na dalekie, niebieskawe, spiętrzone Beskidy. Uzdrowisko to, posiadające oprócz solanek i kąpiele mułowe, szybko się rozwija i rozbudowuje na modłę zachodnio-europejską. Niedaleko jemu bowiem do centrum górnośląskiego przemysłu, skąd największy napływ ludzi, zniszczonych pracą w kopalniach i hutach. Dla nich też wznosi się tutaj okazałe sanatorium, zbudowane przez Województwo a przeznaczone dla inwalidów pracy.

Zielony Śląsk posiada też takie uzdrowisko, gdzie duszę uleczyć można; nazywa się Pszów. Upodobała sobie Panienska Święta tę wioszczynę i jej kościół, Wizerunek Jej, będący kopją obrazu Cze-



U stóp Śląskiego Beskidu

stochowskiej, rychło zasłynął cudami. Zwiedził się o tem lud prosty i z daleka pątnikował do kościoła pszowskiego, żeby się ze swych utrapień polutować i słodkie pocieszenie znaleźć. Szedł więc rokrocznie z najdalszych stron w przelicznych procesjach, chwając po drodze Boga rozgłośnem śpiewaniem nabożnem, chorągwiami i krzyżem, wieńcami zdobnym. A kiedy się już dowoli uskarżył przed Matką Boską, wracał dodom z cichością w sercu i dobrze mu było.



Kramik śląskie j mieściny



Królewska Huta

CZĘŚĆ TRZECIA ŚLĄSK CZARNY

ROZDZIAŁ PIERWSZY ZIEMIA I PODZIEMIE



Matka Boska z Knuruwa

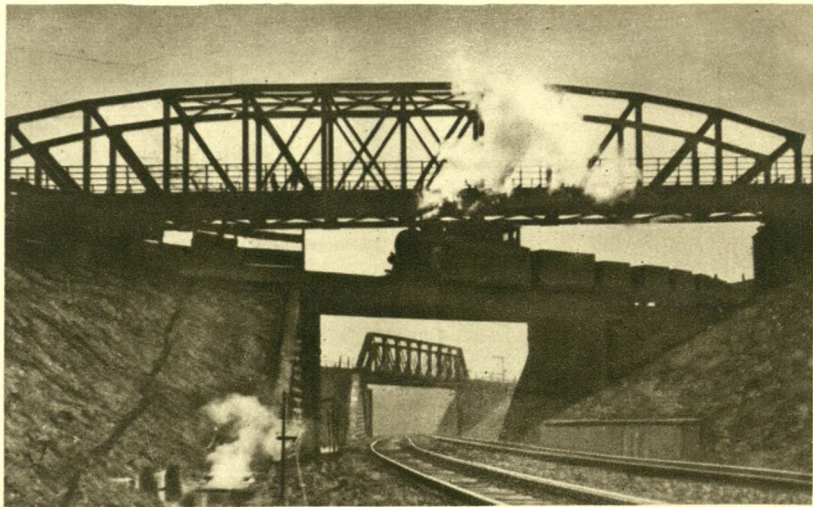
Kiedy po raz pierwszy przybyć na Czarny Śląsk — mając jeszcze w oczach wspomnienie urody ziemi beskidzkiej — wtedy nieodpartym widokiem, który na długo w ludzkie źrenice się wraża, to smukłe czarne sylwety bodących niebo kominów, brudne płachty dymów rozwieszone szeroko pod niskim niebem, ziemia jakaś inna, szara, jakby przez Boga zapomniana i ogromne zbiorowiska ludzkie w czarnych „pułdach z żelaza, szkła i cementu“. A ludzie wszyscy o przyćmionej radości w oczach. Słońce, przesiane przez nieruchome dymy podniebne, przybiera

postać jakoby gromnicy o mętnym blasku, światło jego nie ma tego uroku, co gdzie indziej, kładzie się na czarną ziemię — być może skwarne — lecz wyzbyte doimentu tego wszystkiego, co nieświadome uradowanie w sercu ludzkim nieci, poblądle, ciężkie, bez życia. Nieprzejrzane kłębiska burego dymu, rozpostarte pod nawisem niebem w bezprzeźroc, wiszą nisko ponad spracowaną ziemią i człowiekiem. W nocy toną w nich gwiazdy, wyglądające jak tylko wspomnienie gwiazd.

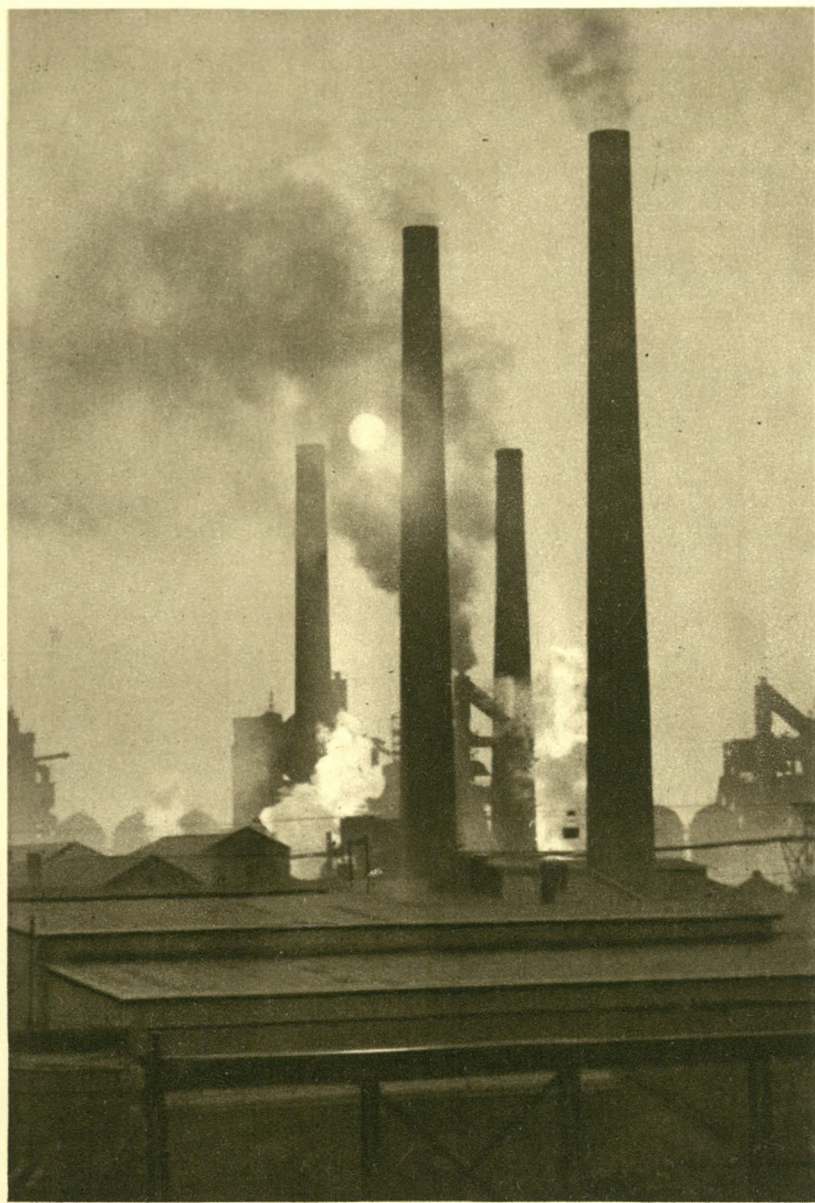
W dzień deszczowy spływa z tamtych dymów senny półmrok na ziemię. Kontury odległych przedmiotów zacierają się w miękką, szarą mglistość. Człowiekowi nawet dobrze z tem się wydaje.

Obok splątanych dróg i gościńców piętrzą się usypiska płonnych skał wyłamanych z podziemi, i hałdy rozżarzonych żużli czyli „oszkwarów“. Stoki ich tłą się gęstwą niebieskawych płomyków. Zwłaszcza w nocy. Tańczące ogniki trzęsą się na powierzchni broczącego żaru, syczą, pełgają niemrawie, trawią zachłannie resztki węgla co się jeszcze ostały, powietrze zaś trują krztuszącym jadem, co kamieniem na ludzkie piersi siada i życie pragnie zdusić.

Wysokie rusztowania wież szybowych, mrowie czarnych zabudowań, krzykliwy, potworny rytm wytężonej pracy mięśni i maszyn, zestokrotniony gwar czarnego zbiorowiska ludzkiego, buchające płomienie z gardzieli pieców hutniczych, skowyt rozgniatanego żelaza,



Na węźle dróg węglowych



Huta Pokoju



Wieża kopalni węgla

niem przy chorej matce. Liście drzew i trawy także przyprószone szarością. Jeżeli je czystą dłonią dotknąć, pogładzić — ślad na dłoni pozostanie.

Niedziwota. Dniem i nocą, dniem i nocą z wiszących tumanów dymnych sypie się niewidoczna dla oka sadza i powleka wszystko na ziemi zmierzchem wieczornej godziny.

Ziemia tu biedna, sponiewierana. Przewłóczona do głębi, opuszczona, stała się podobną do zrudziałego łachmaniska, porzuconego z pogardą na drodze. W zamknięciu usypisk i rumowia skalnego ślepi

syk skołtunionej pary, zgarnięty w jedno wysiłek tysięcy, tysięcy ramion ludzkich i twardych, czarnych, chropowatych dłoni oraz szary trud szarego dnia — to wszystko treść górnośląskiego zagłębia.

Niema ani łąk, ani kwiatów, ani drzew, ani pól takich, jak gdzieindziej.

Wszystko jest, a jednak nie jest.

Szarzyzna, taka widoczna, dotykalna szarzyzna gasi wszelkie barwy, ściemnia je nad podziw. Najkrańsze kwiaty w katowickim parku, może onegdzieindziej krzycząc barwami, prawdziwą orgję kolorów tworzą, — tutaj powleczone szarzyzną bledną w przygaszonym słońku, jakby młode oczy dziewczęce, znużone długiem nocem czuwa-



Ślązak z Piekar

miejscami czarna woda, a wody te, nie mające odpływu, konają w swym bezwładzie, bez blasku, ślepe na skrzyżenie słoneczne. Czekają zmiłowania słoneczkowego, by w czas letniego skwaru wyschnąć, zostawiając tylko rude dno spękane. Ciekące wody lśnią pawiami oczyma rozpuszczonych smarów, brudne, cuchnące. Najmniejszego robaka ni rybki ni żabki nie znajdziesz w nich. Nawet ta trawka nadbrzeżna wieszce pohańbiony żywot, żółta i chora.

To jeden świat.

Drugi pod ziemią istnieje. Jego nieobeszłe kretowisko ganków i chodników wypełnia się codziennie czarnym pogłowiem ludzkim, rozdzwania krzykiem czarnych maszyn, rozrętnia szczękiem pracy, przelewa po brzegi jazgotem żelaziwa i stłumionym gruchotem eksplozji dynamitowych. A wszędy, w puszystym mroku i w czarnej ciszy opuszczonych wyrobisk, i w rozgwarze mozolącego się człowieka chadza czarna śmierć, co na jego życie dybie.

Czy to będzie w słoneczny poranek wiosenny, czy w szarugę jesienną, w skwarne popołudnie sierpniowe, czy w mroźną noc zimową — górnik schodzący w tamte podziemia zawsze ma w spojrzeniu coś z człowieka, który gdziesik daleko, daleko odchodzi. Zawsze spojrzenie jego takim się staje, kiedy z klatki patrzy i tych kilka



Przeładownia węgla

sekund czeka, zanim zlekka się uniesie, nieznacznie zachybotą i w czarną studnię szybową runie. Wtedy mroki zewrą się nagle koło niego, w uszy zaś wali suchy szelest zsuwającej się windy w ujęciu dębowych belek, a w przyćmionych źrenicach gaśnie stopniowo świetlista smuga widzianych rzeczy, co na powierzchni zostały. Chwilkę to trwa. Potem znika wszystko, oczy zaś ślizgają się po szerniałych, betonowych ścianach ocembrowania szybowego, co je gromniczne światelka rozświetlają, poprzeczne belki żelazne migają



Kopalnia w Białym Szarleju

w górę odwróconym płotem, a we wnętrza uszu wpychają się jakby puszyste kłaki. Gdy winda doleci swego kresu, roztworzy się przed oczyma obłe, wybielone, obszerne sklepienie podszybia.

Z podszybia prowadzi szeroki przekop. Kuty raz w caliźnie, drugi raz grzebany w węglu, miejscami sklepiony lub podparty gęsto stemplami, gdzieindziej wyzbyty wszelkich podpór, wiedzie człowieka w odległe przodki, prowadzi do granic kopalni. Biegną w nim z krzykiem czarne, niskie, pękate lokomotywki, wloką za sobą różaniec terkocących wagoników z urobkiem, wołają na ludzkie lampy jazgotliwym dzwonkiem, ślepią przed siebie wyłupiastem, jaskrawem okiem światła, przebiegają z szumem i wichrem, wywalają z pod kół białe tumany rozprężonego powietrza lub błyskają pod stropem wiechciami



Odbudowa filarowa

niebieskich iskier elektrycznych, śpieszą się i krzyczą bez przerwy. Co raz zbiegają ze swego gościńca w boczne chodniki i przepadają, by za chwilę znów wynurzyć się na przekop z nowym łupem węglowym. Ponieważ pokłady węgla leżą przeważnie ukośnie, przekop idzie im naprzeciwko. A gdzie zetknie się z nimi, wybiegają w nie chodniki prowadzone już we węgłu, dochodzą do pochylni, spadają do upadu, rozszczepiają się na coraz drobniejsze bocznicę, chodniki objazdowe, ganki, staczają się nowymi pochylniami, płatają, kołują, zawracają, aż nareszcie docierają do przodka, gdzie już człowiek wyłamuje i kruszy caliznę węglową.

W nikłym świetle migają tutaj czarne, półnagie, czarnym potem oblepione postacie, wyją pneumatyczne wrębiarki i świdry, ryczą potworne, płaskie, przyczapione maszyny, co ścianę podgryzają od spongu kłapiącymi zębami, zgrzytają i skomlą długie ruchome rynny, zawieszane na linach u stropu, podrzucają sobą rytmicznie, szczekają z wysiłku i w swem obłędem ujęciu zsuwają ukopany węgiel do gospody w podstawione



Żony ludzi podziemia



Stemple wspierają strop w filarze

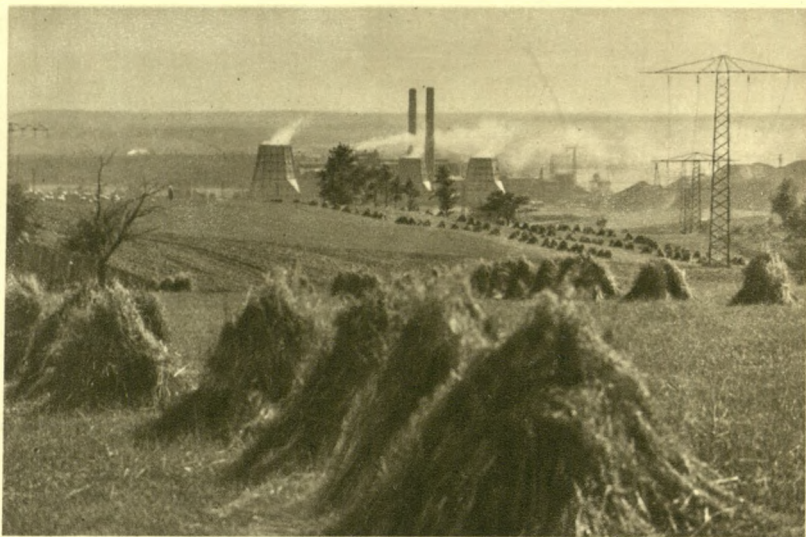
wagoniki, wałą się z hurkotem ławice calizny, wybijają gęstą kurzawę czarnego pyłu, w którym światła przygasają i tlą się rudym, omdlałym blaskiem, chrobocą łopaty, dudnią bijące perliki i stękają ludzie, co ostatek zgarniętego wysiłku wkładają w swój upór. A raz wraz ponad głowami, w jądrze stropu rozleci się głuche tąpnięcie, strzeli krótkim grzmotem, lasy stempli zaś, pachnących żywicą i słońcem, pękają z trzaskiem, wyłamują się kolana, strzępią u swych głowic, wywalają żzute słoje, i również jak człowiek, stękają. Rozparzone, słodkawe powietrze syci z trudem zdyszane płuca, błąka się leniwie gankami, wędruje dalekimi drogami, które mu liczne drzewi wytyczyły, wałęsa się po opuszczonych wyrobiskach, aż wkońcu, wyzute już z sił, zmęczone ponad miarę, strute wyziewami kopalni, dowleka się chodniczkami pod szyb wiatrowy, któredy wychodzi na świat, cyckane ze studni szybowej ogromnemi skrzydliskami wentylatorów.

Tak wygląda praca w niskich pokładach, gdzie się wybiera węgiel ścianami.

W pokładach grubych, liczących czasem do 10 metrów miąższości prowadzi się jego wybiórkę filarami. Od przekopu aż po granicę pokładu, do uskoku, biegną równoległe chodniki połączone napo-



W nieustannym znoju



Okolice Łazisk

przek przecinkami. Pokład taki staje się podobnym do olbrzymiej szachownicy, a raczej do ogromnego pola, podzielonego na zagony, a każdy zagon podzielony znów poprzecznymi bruzdami. Powstają stąd jakby sześciiany, ujęte z czterech stron chodnikami i przecinkami. To są filary. Górnik kopie w nich węgiel, zaczynając od najdalej położonych, od uskoku stanowiącego granicę pokładu.

W filarach niema już tego zgiełku, co w ścianach. Tutaj musi panować względna cisza. Wysoko nad głowami wznosi się strop, podparty całymi sosnami nie poto, żeby podtrzymać ciężar powały, lecz jedynie dlatego, by ustrzegły górnika przed nieoczekiwanym obwałem. Strop długo nieraz wspiera się we własnym spojeniu. Lecz gdy raz i drugi pęknie, obluźni się nieco, może jeszcze trzymać się w swych zazębieniach. Lecz niedługo. Znienacka zarywa się i spada skołtunioną burzą i wypycha powietrze, które łamie drzwi na chodnikach, gasi lampy i uciekających górników rzuca pod ścianę. Ową straszną chwilę ogłaszają stemple. Zaczną trzeszczeć w swoisty sposób, zaczną równocześnie posypywać drobny miał ze stropu — to znak, że w najbliższym okamgnieniu runie z potwornym zgiełkiem i człowieka zmiażdży, jeżeli nie umknie na czas. Dlatego w filarach nie używa górnik zgiełkliwych wrębiarek i rynien.



Domy robotnicze w Murckach

Posługuje się jedynie ręcznymi świdrami pneumatycznymi i dynamitem, którym rozsadza caliznę.

Człowiek tu czujny a chytry, zawzięty i twardy, jak ta sama śmierć, podła i czarna, co wszędy stąpa za nim, czająca się skrycie na jego ycie. Gdy wyjść z tamtych potwornych czeluści, wychylić się na świat boży w nocy i stanąć na szczycie którejkolwiek z wież szybowych, urzeczone oczy zapatrzą się długo w niesamowitą urodę tej dziwnej ziemi. Na niebie widać gorejące łuny szkarłatne i krwawe jęzory pożarów, co opęczniele zwały dymów liżą, a jak daleko tylko okiem sięgnąć, widzi się nieobeszłe, migotliwe mrowisko białych lub rudych świateł elektrycznych, podobnych w swej mnogości i krasie do lśniących pereł, rozsypanych szczydrze po aksamicie nocy.

Wtedy dopiero serce zachwyci i oczaruje owo rytmiczne a potężne tętno zorganizowanej pracy, człowiek zaś rozraduje się cierpkim pięknem i poezją czarnej ziemi.

W ciągu dnia bowiem trudno nie patrzeć z niechęcią na nieprzejrzone korowody ko-



Wieża doświadczalna kopalni „Barbara“

szarowych, okopconych domów czynszowych z nietynkowanej cegły, na ziemię sponiewieraną, wyglądającą jak wymarłe wydmuchowisko pełne dołów i zapadlisk z gnijącymi wodami, i wogóle na cały krajobraz, niemający w sobie nic odświętnego, co ziemia beskidzka, a podobny raczej do zapracowanego robotnika w czarnej, zniszczonej przyrodzie codziennej.

A dziwny w tem wszystkim czar. Bo ten smoluch robociarz pokryty skorupą stwardniałej przyrodzie, któremi kształt oblicza formuje pył węglowy potem w brzdach znoju utrwalony jawi się nam niczem rycerz z bajki — uścisk jego dłoni twardej wiąże, a spojrzenie jasne rozwidnia wszelką nieufność zrodzoną może z nieznamości tego prawego ludu. Tożsamo w krajobrazie. Nie splugawieniem są mu te liczne bruzdy, przewisył pozornie chaotyczne rozsypisko budowli wszelakiego rodzaju i dróg przeróżnych, odrutowanie wszędy splątane — nie, są właśnie wyrazem harmonijącego ładu, nieustannie tętniącego bujnego współzycia ziemi i człowieka. I tu Śląsk jest piękny, innem jakimś pięknem, pięknem pracy.



Z okolicy Gostynia



Królewska Huta

ROZDZIAŁ DRUGI

P R A C A



*Tychy
Pomnik powstańca*

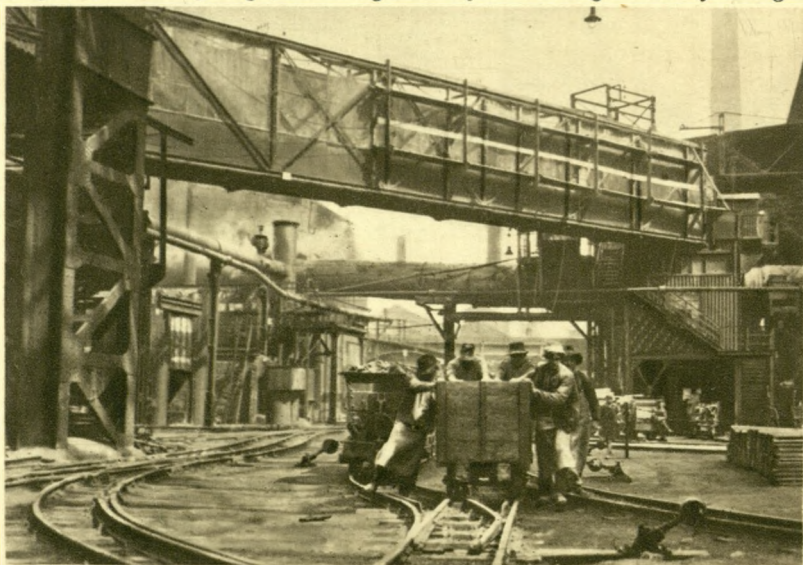
Na małej stosunkowo przestrzeni skupiły się ogromne tłumy ludzi. Okręg katowicki wraz z Królewską Hutą, Hajdukami, Chorzowem, Siemianowicami, Świętochłowicami, Załężem, Mysłowicami, — to jeden olbrzymi kompleks zabudowań, fabryk, hut i kopalni. Trudno odróżnić gdzie kończy się jedna a zaczyna druga osada. Wzdłuż dróg biegną bez przerwy domy i fabryki, płoty, parkany, wille, obdarte rudery, zrudziałe mury, że czynią wrażenie jednej, olbrzymiej ulicy, pełnej gorączkowego gwaru, krzyku i ruchu. Środkiem śmigają skrzeczące samochody i hurkocą tramwaje, śpieszą ludzie na motocyklach i rowerach, przepychają się chodnikami, jedni wracają ze szychty, umorusani, znużeni, drudzy idący z domu na szychte. Z odchylnych okien co raz spotykanej szkoły

powszechnej leci śpiewne skandowanie lekcyj, powtarzanie jakichś refrenów, niefrasobliwe śpiewy. Nawoływania z podwórzy wpadają na drogę; mijają się ludzie o jednakowym typie, szarzy, zafrasowani, nie mający czasu na sąsiedzkie pogwarki.

Tempo ulicy-drogi wzrasta w miarę zbliżania się do takich na przykład Katowic. Zabudowania przydrożne gęstnieją, ruch uliczny wzrasta, a coraz częściej rozstępują się domy, by zrobić miejsce bocznym ulicom, które już wybiegają na kopalniane zapadliska czy rozniesione hałdy. Chude kozy tylko szczypią za nimi skąpą trawę, pobekujące z żalości, że głodne, a jedynie miejscami zazieleni się poletko nacią ziemniaczaną lub rozszumi niewielkim łańcem zbożowym.

W Katowicach na rynku i koło dworca kolejowego tworzą się już zatory ludzkie. Zwłaszcza w godzinach, kiedy wszystko śpieszy do pracy lub z pracy. Dwa te ośrodki przypominają wtedy główną ulicę z jakiejś metropolji światowej. Setki pociągów osobowych przybiegają zdyszane na okopcony dworzec katowicki, wyrzucają z siebie niekończące się mrowie ludzkie, wypełniają po brzegi nowem mrowiem i znowu wylatują w zadymiony świat na wszystkie jego strony.

Niedziwota! Przecież Katowice — to stolica autonomicznego województwa śląskiego, złożonego ze Śląska Górnego i Cieszyńskiego.



Żelazo, para i wola człowieka

Aż do roku 1865 była to zwykła wieś bez znaczenia. Dopiero odkrycie w jej okolicy bogatych pokładów węgla sprawiło, że z wioski o 5 tysiącach mieszkańców urosło w tak krótkim czasie miasto o 130-tysięcznej ludności. Jak wszystkie miasta w śląskim okręgu przemysłowym — prócz Mysłowic i Tarnowskich Gór — Katowice nie posiadają żadnej przeszłości ani tradycji historycznej. Po raz



Kąpiel na ulicy w Katowicach

pierwszy wspomina o nich kronika z roku 1598, jako o wiejskim osiedlu w bagnistej i lesistej dolinie rzeki Rawy. Połączone z rycerskimi dobrami Bogucic przynależne były do Kuźnicy Bogucickiej, do której chłopci katowiccy i boguciccy byli zmuszeni dostarczać furmanek. Właścicielami Kuźnicy Bogucickiej byli Mieroszowscy z Mieroszowic, którzy swoją ojcowiznę bogucicką i mysłowicką zaprzepaścili, sprzedając je Fryderykowi II.

Po przejściu Górnego Śląska przez Polskę w roku 1922 rozwój Katowic postępuje w tempie jeszcze szybszym. Przedewszystkiem rozbudowuje się. Powstają całe nowe dzielnice robotnicze, powstaje olbrzymi gmach województwa, jeden z najpiękniejszych

w Polsce, powstają gigantyczne przemysłowych, wyniosłe do dużej się katedrę i pałac bi nowe place, skwery, pomniki i zwierzyniec. Na wzgórzu, gdzie za niemieckich czasów było jeno śmietnisko i zaniedbane nieużytki bezpieczeństwa, powstaje ogromny park Kościuszki, a za parkiem lotnisko i stacja Radja Polskiego, pobok zaś teren wystawowy.

Największem uradowaniem Katowiczian — to park Kościuszki, Zaludnia się on wieczorami i w dni świąteczne po brzegi, napęlnia stale rozgwarem radosnym dzieci. Wogóle Katowiczanie kochają się w dzieciach. W parku wydzie-

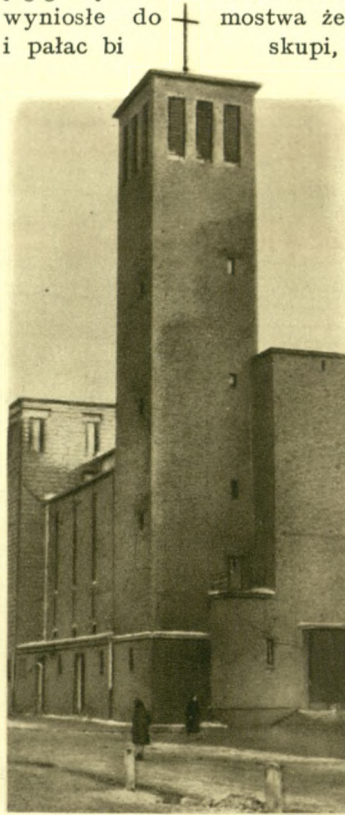
ciałka, pobok zaś, bezpośrednio koło tamtego rozkrzyczanego kiermaszu dziecięcego przewala się bełkotliwy, nerwowy ruch uliczny, śpieszą ich ojcowie i matki do pracy, krzyczą samochody i maszyny. Najpiękniejszy to chyba pomnik, jaki wystawili sobie Katowiczanie. Pomnik z rozradowanych serc dziecięcych.

Drugim miastem, pragnącym również dorównać Katowicom — to Królewska Huta.

W środku miasta rozłożyły się największe na Śląsku zakłady hutnicze. Codziennie, rano i wieczorem, zanurzają się w obrębie ich

zabudowania połączonych szkół mostwa żelazo - betonowe, skupi, tworzy nowe ulice,

lono im duże przestrzenie na zabawy, pobudowano im huśtawki, karuzele oraz tereny saneczkowe na okres zimowy, w środku miasta zaś, obok ruchliwych ulic potworzono na dawnych placach obszerne baseny kąpielowe, w których małe nagusy używają dowoli niefrasobliwej swobody. Hałasuje to małe bractwo, do- kazuje w wodzie, nurza się, cuda wyprawia niewidziane, raduje tą prze- miłą radością dzie- cięcą, opala w na- wiezionym piachu, pokrzepia słońcem swe nagie, pomę- czone, chuderlawe



*Kościół garnizonowy
w Katowicach*

murów czarne tłumy robotników, kłębią się u ich wejścia, huczą stłumionym gwarem, sycą zadymione powietrze ostrym śwędem

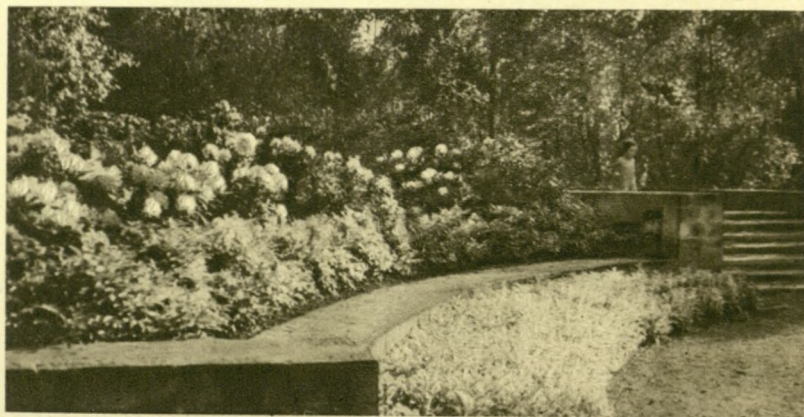


Gmach Województwa Śląskiego

potu, a kroki ich dudnią mnogim, pomierzwionym rytmem w sklepiastej sieni wejściowej. Poza murami kołtuni się krzyczący zgiełk żelaza, maszyn i ognia. Syczą strumienie pary z wąskich wylotów, wyją rozśmigane koła i transmisje, zawodzą jękliwie motory, zgrzytają walce i dźwigi, potworne młoty mechaniczne spadają z pod stropu na podstawione bryły żelaza, rozbijają je na miazgę, miesiąc jak ciasto, piorą wichurą iskier, stękają ludzkim głosem, a zduszone ich echa błąkają się przerażone po zaułkach hutniczych zabudowań.

Wzdłuż przestronnych czarnych, zadymionych hal przepływają leniwie stężałe rzeki roztopionego żelaza, a biały ich żar rożęga po ścianach i na stropie krwawe pożogi. Światło słoneczne gaśnie w nich, zamienia się w szary popiół. Z piekielnych wnęk wyciekają ruchliwe strugi płynnej szlaki w podstawione ogromne tygle, kolebiące się na krępych łańcuchach; z nachylonych sztyj besemerowskich pieców tryskają ryczące pióropusze rdzawo - niebieskich płomieni, biją pod

dach skośnym rzutem, podobne do ognistej burzy, co się w kształcie rozstrzęsionych mietlic na ciemny świat wyrывa; z rozwartych czeluści huczą sine płomienie, skręcają się w opętańcze wiry, napęniają skwarem dyszące płuca ludzkie, rzygają rudem kłębiskiem ciężkich, duszących dymów i trują powietrze swym jadem; a miejscami zastygają potężne bloki stali, co w rozpalonym piachu



Fragment parku w Katowicach



Katowice — Śląskie

Zakłady Techniczne

pokodem leżą, zdychające w swej spiekocie. Gdzieindziej znowu gonią oszalałe smugi ognistych skrętów, trzaskają sobą po żelaznych płytach, przecinają gęste mroki jęczącymi biczami, trzepocą się w zębach karbowanych kleszczy, zakreślają wymierzone drogi i znikają wśród wyjąjących walców.

Czarna rozparzona ziemia dygoce pod ludzkimi stopami.

Pod sufitem, pod rozpiętymi krokiewiami żelaznymi suną terkoczące dźwigi. Zawieszane w ciężkich

mrokach, prawie że niewidoczne, lecą na zębatych kołach, wstrzymują się, cofają, znowu się zrywają i gonią niestrudzenie, podobne do potwornych bestyj, co żeru na ziemi łakomie szukają. Raz wraz opuszczają rozkolebane łańcuchy z sękatemi, nakrzyż złożonymi paluchami, ujmują zanurzony w piachu płomienisty ciężar, zachrzęszczą z wysiłku, podnoszą wysoko i teraz pędzą ponad ludźmi, gdzieś na drugi kraniec hali, w metalicznym szczekaniu radujące się rozżarzonym łupem. A za lejącem w powietrzu żelazem rozlewa się po ścianach ruchomy pożar. Gdzieindziej znowu, z drugiej strony hali, opuszczają się z uwieszonych dźwigów długie ramieniska, zaopatrzone poziomą ostrogą. Pod ścianami czerni się rząd żelaznych koryt, napełnionych złomem i wapnem. Z przodu szczerzą się zadziory. W ich o-gięcia wraża się ostroga, a kiedy utkwi rzetelnie w szczelinie zadziora, wtedy dźwig zaterkoce zębami, podnosi uwieżone koryto, zakreśli niem szerokie półkole i wsuwa w płonąca gardziel rozwartego pieca. Płomienie buchają podartemi jęzorami,



Pijalnia katowickiej ulicy

liżą z poszumem o-smalone ściany, biją skołtuniowym dymem pod dachy, a ludzie cofają się, zasłaniając twarz skórzanym fartuchem. A kiedy z koryta wywali się zawartość wrozbeltaną topiel białego żelaza, kiedy ramienisko wydobędzie ostrogę z korytem z ryczącej czeluści, wtedy opada ciężka zasawa i dusi wydzierające się płomienie.

W głębi hali rozwalają się w czarnym pyłe rozrzucone zlepiska wystygłej lawy. Pomierzwione w ogromne rozwały, czarne z wierzchu, gasnące w opuszczeniu, leżą jak splecione cielska z których życie wy-

cieką. Dyszą jeszcze ostatkiem utajonego żaru. Ponad nimi, pod dachem uwija się chichoczący dźwig. Czepia się i łązi niewidocznymi mackami po gzymsach rozpiętych trawersów, podobny do ogromnego, skurczonego pająka z obwisłym brzuchem. Z podbrzusza jego opuszczają się w dół pęki stalowych lin z zawieszonym kręgiem żelaznym. Pogmera nim w skibowej mierzwie i wywleka wysoko olbrzymią kulę żelazną. Potem szuka miejsca, gdzieby uderzyć. Skoczy tu, skoczy tam, zatrzyma się na chwilę, znowu podleci drobinę — aż znajdzie. A wtedy z pod dźwigu odrywa się nieoczekiwanie tamta kula, spada czarną smugą i z głuchym stęknieniem miazdzy upatrzoną bryłę w dolinie. Rozsypie się wtedy

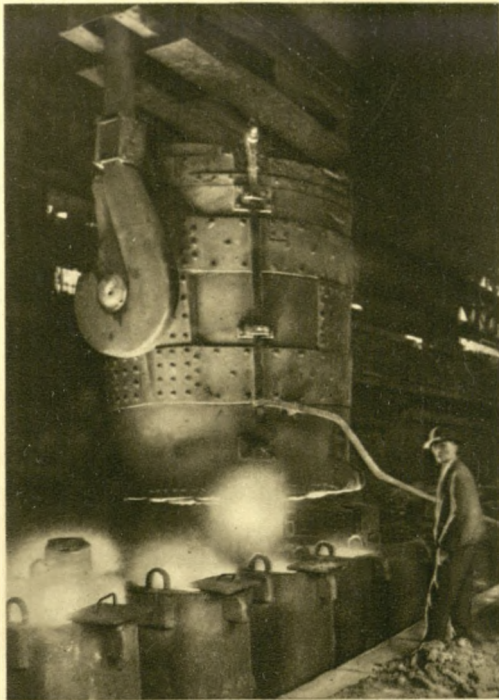


Szczegół z Huty Pokoju

zar, dotychczas w jej trzewiach ukryty, zakłębi czarny pył, rozprysną szkliste bryzgi szerokimi łukami. Kula zaś potoczy się z westchnieniem i przepada w skibach. Dźwig poleci za nią u góry. Opuści macki i zaczyna ponownie szukać. Raz tu, to tam, długo, naosłep. A kiedy ją już znajdzie, zanosi się radosnym jazgotem, podnosi wysoko, przeczeka, aż się uciszy jej kołysanie, aż wypatrzy nową ofiarę, a potem znowu zniecka strąca ją w dolinę.

Czarni ludzie krzątają się wśród ognia i maszyn, mali jacyś, niepozorni, przebiegają zdyszani ruchome kręgi świateł, toną w mrokach, wynurzają się z dymów zziązani, błyszczą potem na spalonych twarzach, jakby rudą oliwą wysmarowani, przybrani w skórzane fartuchy, obdarci, w zetlałych lachmanach. Czasem wychynie człowiek do straszdyła podobny, w ogromnym hełmie drucianym na głowie, z dużemi, ciemnymi szklami na otworach ocznych. Zagłęda przez fioletowe tafelki szklane w szpary opuszczonych zasuw, ślepi czujnie żrenicami w czeluść pieca, mierzy spojrzeniem wysokość zmarszczek żelaznej kipieli, wybiera chochlą rozbeltany metal i śpieszy z nim do próby. Nalewa żelazo w słoiki i czeka, aż zakrzepnie. A gdy z przewróconego słoika wysunie się jego rozżarzony kształt, inni rozklepują go małemi młotkami na placki. Wtedy majster mruży skupione oczy, przygląda się, waży coś w głowie, rozkazy rzuca...

Wysoko nad piecami, za pręcianą balustradą, między dymami, co raz pojawia się kształt człowieka, Unurzany w krwistej poździe, omotany zwojami isker, czarny —



Odlewnia stali

bląka się po niewidocznych ścieżkach, znika za dymami, wychyla zpowrotem, czyniąc niezrozumiałe ruchy w cudacznych pokłonach. Czasem coś krzyczy na ludzi w nizinie, czasem tkwi nachylony nad tygłem, co pod jego nogami przechyła się powoli z płynnym żelazem, czasem podnosi ramiona, daje znaki i gdzieś znika. Za nim przychodzi drugi i to samo czyni, podobny do tajemniczego maga, co złowieszcze zaklęcia nad ogniem sprawuje.

A zbałwanione ognie gżą się pod ich stopami, piorą płomienistymi płachtami, rozdierają z wyciem na strzępy, ciskają w mroki, konają w duszących dymach.

Pod wielkimi piecami warują ludzie. Ślęczą u ich podnóży, pieką się, rozpływają w pocie, a gdy przyjdzie czas, że w małym wzierniku, opatrzonym grubym szkłem fioletowym, dojrzą dostateczną miarę wytopionego żelaza, przebijają otwory w ścianie. Biją w nie żelaznemi, długimi klinami, wykuszają spieczoną glinę szamotową, tłuką młotami o ich spłaszczone główce, wymieniają na nowe, a fundamenty pieca dudnią i dygocą pod naporem rozpetanej burzy ognistej, co w ich wnętrzu rzuca się wściekła. Rozparzone, suche powietrze kłuje oczy i płuca, pot ścieka brudnymi strużkami po ciałach, przemacza czarne koszule, zgarnięte mięśnie napinają się w



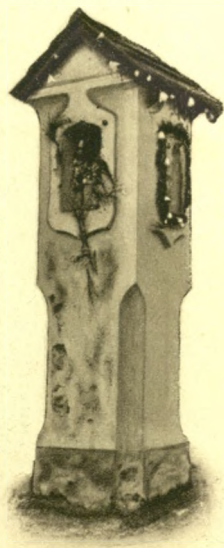
Tysiące szyn



Królewska Huta

oble łuki, przesuwają pod czerwoną skórą, prężą i znowu rozbiegają, a dyszące płuca z trudem chwytają drobinę chłodniejszego powietrza, co się czasem z zadymionym wiatrem pod huczące cielska pieców przybłąka.

Nadchodzi chwila, że znużone uderzenia młota o sztabę trafia na miękkość. Wtedy z otworu wyrzucają niepotrzebne już żelazo, a za niem rzygnie oślepiająca struga białego metalu. A potem już leci płaskim łukiem, bije kaskadą rozbełtanego słońca, spada w wygrzebany rów piaskowy, przemienia się w leniwy strumień, bieży wądolcami do najbliższego zakrętu, wygina się, wspina lekko na piaskowe ściany, wykręca i szuka swej drogi. Oczy zaś zamykają się poniewoli, rażone boleśnie żarem, uchylają się ludzie, po ścianach i stropie rozlatuje się jaskrawa luna, a robotnicy, czatujący z gracami na piaskowych grzędach, wdziewają szybko skórzane rękawice, zapuszczają na twarze skórzane zasłony i czekają przywarowani jak na cenny łup, co im nie śmie się wymknąć z pod ręki. A struga bieży wygrzebanymi koleinami. Szerzy się za nią niepojęty żar, rozbiega coraz większą luną, a czarne postacie nachylają się, wysuwają z ramion długie, żelazne styliska z gracami, zapierają przejścia, zmuszają złą bestję do zawrotu, pro-



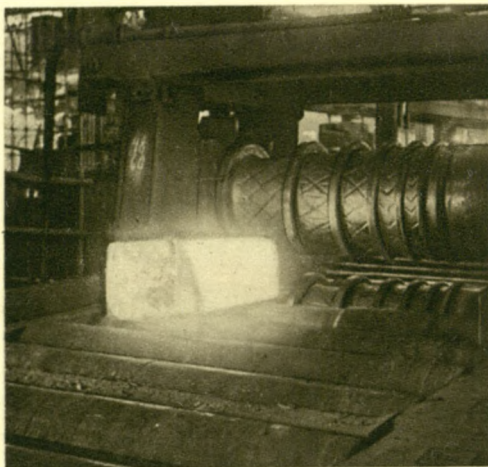
*Przy drodze z Żorów
do Mikołowa*

wadzą bruzdami wymierzonymi, płynący ogień zaś sapie głucho, prycha skierkami, kipi z wściekłości i marszczy się w szepleniące skibki.

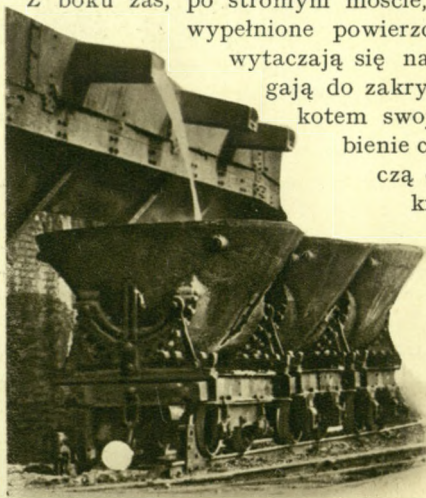
Z czeluści zaś leje się wciąż oślepiająca struga płynnego słońca.

Kiedy wreszcie ostatki wyciekną z otworu, robotnicy zapychają go wałkami wilgotnego szamotu, wypychają je żelaznymi drągami, na piaskowem usypisku zaś konają prostokątne tafle surowca, powlekają się pomału szarością, żar z nich wycieka, roztapia w dławiącym powietrzu, a luny gasną nad niemi. Po kilku godzinach przyjdą ludzie, porozbijają je ciężkimi młotami na „gęsi“ i rozpoczną wrzucać w uwieszane nad głowami wagoniki lub je będą zwalali na dzwoniące usypisko w podstawione wagony.

Z boku zaś, po strzymym moście, wybiegają skrzypiące koleby, wypełnione powierzch rudą, wapnem lub koksem, wytaczają się na wysoką wieżę pieca, podbiegają do zakrytego otworu i wywalają z hurkotem swoją zawartość w dygocące wgłębienie czeluści. Huta tętni pracą. Krzyczą czarne maszyny, tętnią zestokrotnionym rytmem swych ramienisk, ryczą gardziele pieców, skowyczą walce i rozgniatane bloki stalowe, stękają potworne młoty parowe, wyją piskliwe motory i transmisje, zgrzytają łańcuchy dźwigów, klekocą szczerbate zębiska, charczy zduszona para w wylotach, a ludzkie nawoływania



Walcowanie bloków





Piece Martynowskie

Tak wygląda Królewska Huta, koło której rozrosło się miasto, cośkolwiek starsze od Katowic, bo powstało w roku 1798 z przysiółka wsi Łagiewniki w związku z kopalnią węgla i pierwszym wielkim piecem hutniczym. W latach następnych rozwinął się tutejszy przemysł hutniczy i górniczy, podobnie jak na całym Górnym Śląsku, dzięki napływowi kapitału, czerpanego z miliardowej kontrybucji, jaką nałożyli zwycięzcy Niemcy na pobitych Francuzów w roku 1871.

Na wzgórzu, pobok Chorzowa, utworzyli mieszczanie przestronny park a w nim zbudowali ogromny stadion sportowy i baseny kąpielowe.

Naokoło szerokim wieńcem sterczą kominy i biją pod niebo dymy i łuny kopalni i hut żelaza, cynku i ołowiu w Załężu, Bogucicach, Roździenu, Dąbrówce Małej, Szopienicach, Siemianowicach, Wełnowcu, Wielkich Hajdukach, Świętochłowicach, Chropaczowie, Łagiewnikach, Goduli, Rūdzie, Szarleju, Radzionkowie,

bląkają się bezradnie w tamtej piekielnej zawierusze, jak głos dziecka w czarnym lesie, w którym burza szaleje.

A ponad tem wszystkim niosą się pod niebo opečzniałe słupy dymów, które za dnia gaszą słońce, a w nocy rozpalają się rdzawemi pożarami.

Poza murem zaś biegną ulice, przelatują z szelestem wytworne samochody, mijają się tłumy ludzi, dudnią tramwaje, przelewa się bełkot twardej mowy ludzkiej.



Przy prasie parowej

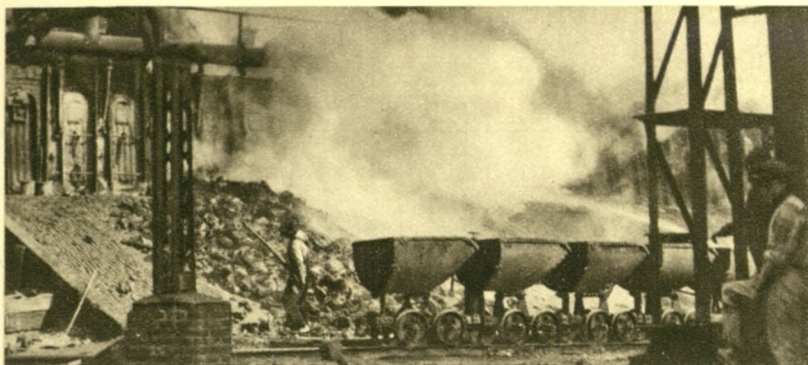
Hucie Pokoju, Hucie Zgody, Czarnym Lesie, Wirkach i Lipinach, centrach przemysłu cynkowego, słynnych przed wojną z największej śmiertelności w państwie niemieckim, powodowanej trującymi wyziewami hut i prażelni cynkowych. Pobok zaś między zabudowaniami na dawnych nieużytkach mrowią się nieprzeliczone miniaturowe ogródki robotnicze, upstrzone altankami i zdobione sierocami garstkami kwiatów i zieleni, najeżone słupami licznych anten.

Z boku zaś „Królhuty” — jak potocznie nazywają Królewską Hutę



Stalownia

— przygarnął się do niej Chorzów, prawdopodobnie najstarsza osada górnicza na Śląsku. W archiwum gnieźnieńskim znajduje się bowiem dokument papieża Inocentego II. z roku 1136, na mocy którego potwierdza się posiadłości i dochody arcybiskupa gnieźnieńskiego, a między temi posiadłościami „*item villa ante Bitom, que Zuersow dicitur, cum rusticis, argenti fossoribus etc.*” Ów „Zuersów” — to Chorzów dzisiejszy, wymienieni zaś w dokumencie „kopacze srebra” świadczą, że była to osada górnicza, istniejąca już przed wyszczególnioną datą. Niektórzy uczeni przypuszczają, że górnictwo na Śląsku istniało już za czasów rzymskich, i że Rzymianie do ziemi, nazwanej przez nich „*Luna silva*” zaliczali także Śląsk Górny. Dzisiaj już tutaj niema srebra. Według Długoszowych zapisków, które można

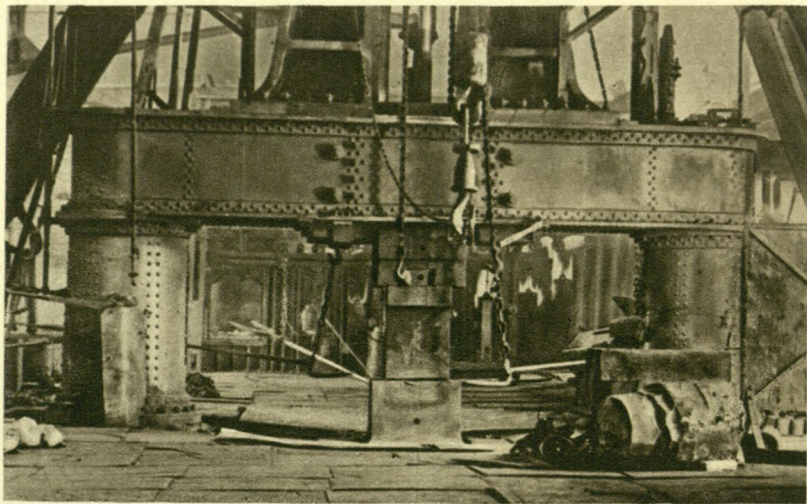
*Koksownia*

włożyć między bajki, srebro to zniknęło za karę, że „mieszczanie bytomscy w swem szaleństwie utopili proboszcza i kaznodzieję w roku 1363“.

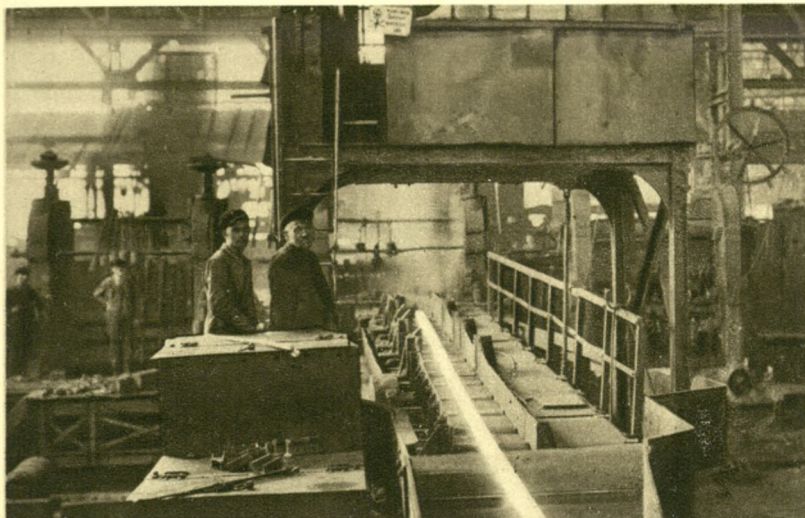
Dzisiaj sława Chorzowa po całej Polsce stąd, że tutaj znajduje się państwowa fabryka azotu, zbudowana przez Niemców na kilka lat przed wojną światową. Poza tem największa śląska elektrownia. Rząd polski przejął fabrykę azotu w dniu 4 lipca roku 1922, a więc jeszcze przed objęciem Górnego Śląska przez wojska polskie. W dniu tym zajechał nieoczekiwanie przed gmach dyrekcji inż. Ignacy Mościcki, obecny Prezydent Rzeczypospolitej, i zażądał od dyrektora Schiecka oddania fabryki pod jego zarząd. Dyrektor Schieck, zaskoczony tem wszystkim, energicznie protestował, i w tym samym dniu zwołał wszystkich inżynierów i urzędników na zebranie do Bytomia, gdzie wymusił od nich przysięgę, iż opuszczą fabrykę azotu

*Typy z Chorzowa*

z chwilą przejścia jej przez rząd polski. I tak się stało. Z 30 inżynierów pozostało tylko trzech, z 250 urzędników — około 50. Majstrowie i robotnicy zostali prawie wszyscy, aczkolwiek Niemcy rozpuszczali między nimi wieść, że Polacy, wskutek nieumiejętnego prowadzenia zakładów, spowodują wysadzenie ich w powietrze. Inż. Ignacy Mościcki, mianowany już teraz dyrektorem, zwołuje przerażoną załogę i uspokaja ją. Pierwszy kamień, rzucony Mościckiemu pod nogi, został usunięty. Lecz teraz dopiero zaczęło się nadludzkie borykanie z przeciwnościami, któreby innego człowieka pokonały. Niemcy byli przekonani, że fabryka może pracować tylko przez 7 dni. Na tyle czasu bowiem obliczone były zapasy wapna, potrzebnego do fabrykacji azotu. Po 3-dniowej przerwie, spowodowanej odejściem inżynierów i urzędników, Mościcki uruchomił fabrykę, zabiega o nowe transporty wapna, zakłady nie wylatują w powietrze. Po trzech miesiącach następuje nowa trudność. Zabrakło elektrod. To już groziło zupełnym wstrzymaniem ruchu. Niemiecka firma, która dotychczas dostarczała fabryce elektrody, odmówiła dalszej ich dostawy. Mościcki radzi sobie w ten sposób, że wykorzystuje zużyte już elektrody, a równocześnie zamawia z Francji nowe ich transport, które jednak okazały się za krótkie. I tutaj znalaziono radę. Krótkie elektrody francuskie zdołano wykorzystać. A fabryka wciąż nie wylatuje w powietrze, jak tego co



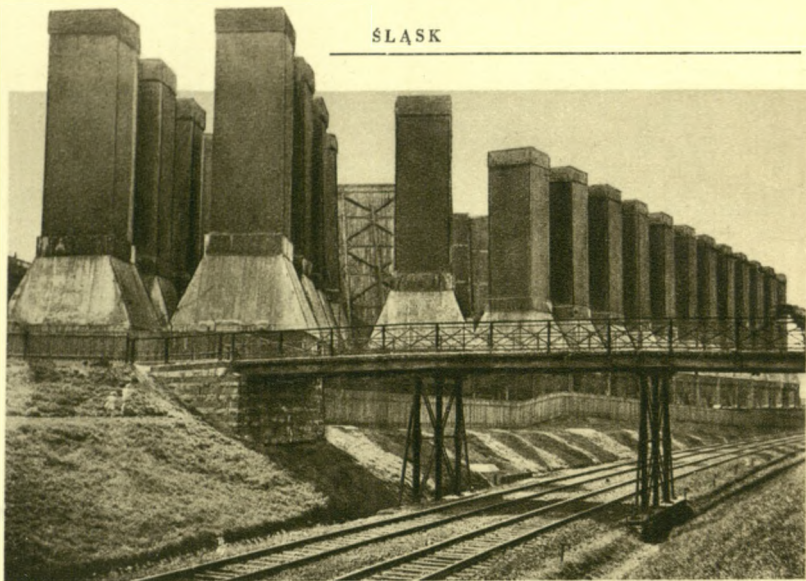
Młot parowy



W walcowni

dnia oczekiwali Niemcy. Następuje teraz rzecz najgroźniejsza. Między załogą znaleźli się przekupieni robotnicy, którzy rozpoczęli próby sabotażu. Niewiadome, obce, zbrodnicze dłonie sypią piasek w łożyska maszyn i starają się wywołać krótkie spięcie w przewodach i maszynach elektrycznych. I znowu zapobiegła nieszczęściu czujność opiekuna powierzonej jemu fabryki. Mościcki wychodzi obronną ręką. Wiernym jego druhem i towarzyszem, pomagającym mu ratować tak ważną placówkę przemysłu Polski — to ś. p. inżynier Feliks Zaleski. Ileż to nocy nie przesпали, ileż to godzin naślęczeli się nad rozłożonymi papierzyskami, ileż to razy załoga nocna patrzyła z podziwem i uznaniem w oświetlone okna pracowni Mościckiego i Zaleskiego, jarzące się niejednokrotnie do świtu, — i powtarzała z szacunkiem: — „Dzisz!... Tam „Stary“ z Zaleskim jeszcze festelnie głowią się nad papierami!... Fajniści ludzie, robotni, że aż okropa!...“ Zdawali sobie sprawę, że za zasłoniętymi oknami czuwają dwa mózgi i dwa serca, że gdy obydwóch nie stanie, ponieważ ich czeka, a zwycięstwo powstańca śląskiego uszczupleje.

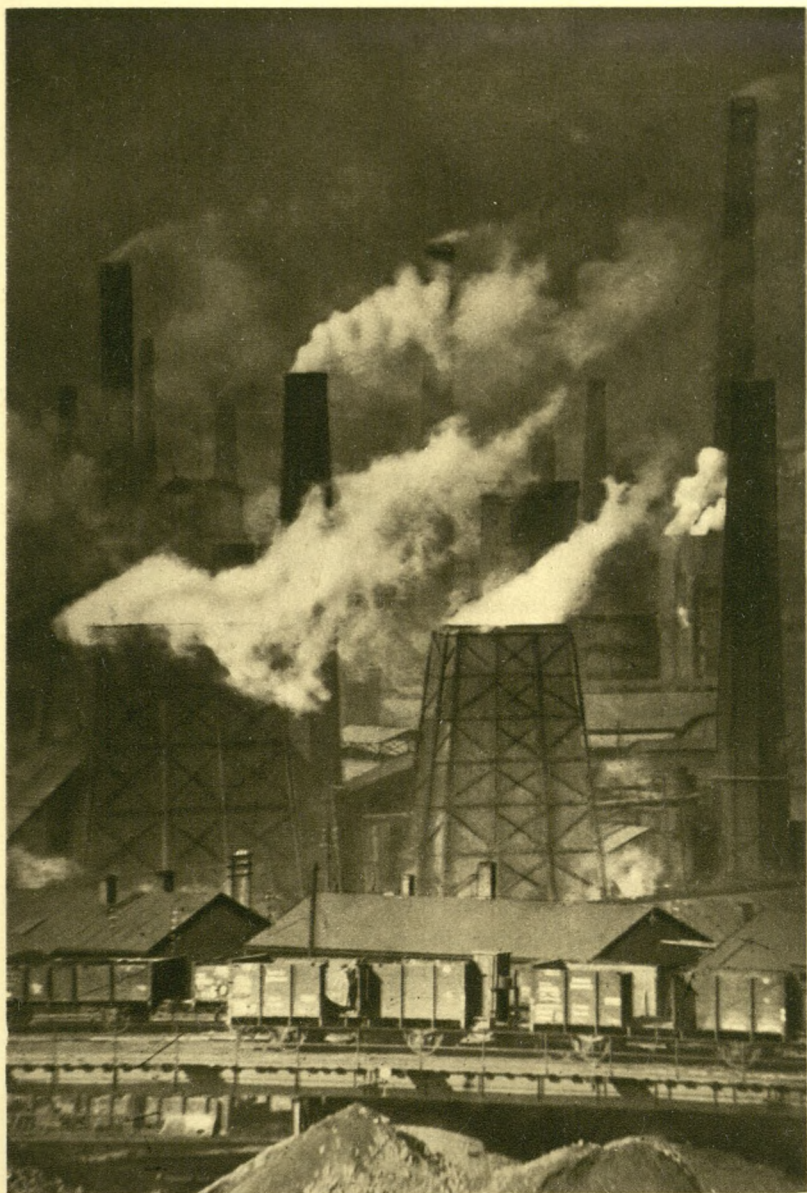
Robotnicy szanowali i kochali swojego „Starego“, jak nazywali między sobą dyrektora Mościckiego. Patrzyli na niego, jak o godzinie 6 rano wkraczał do fabryki w kitlu robotniczym i jak z zakasanymi



Chłodnie w Chorzowie

rękawami pracował przy maszynach i w laboratorium chemicznym wraz z innymi robotnikami, jak obmacywał troskliwie każdą śrubkę, doglądał, troszczył się i strzegł, jak własnego dziecka. A dla wszystkich miał dobre, ojcowskie jakieś słowo i ten dziwnie jasny uśmiech, mądry, wyrozumiały a słodki, co się tylko z serca rodzi. Odzywał się do nich nie inaczej, jak: — „Synu, czego sobie życzysz?” — kładąc przytem swoje spracowane dłonie na ramiona rozmawiającego z nim robotnika.

To też niedziwota, że kiedy odchodził ze swego Chorzowa, by objąć godność Prezydenta Polski, żał ich pomieszany był z radością i dumą, że między sobą mieli tak wielkiego człowieka. A kiedy przyjechał do Chorzowa już jako Prezydent, wystroili się, jak na największe święto, zbudowali „festelną” bramę triumfalną, przedeszli go kęs drogi, radośnie wiwatując, odzwierny zaś w głównej bramie, najbardziej zacna persona w całym zakładzie, mówiąca o sobie w sprawach fabryki w liczbie mnogiej, podbiegł do nadjeżdżającego samochodu, zatrzymał go, jakto zwykł czynić z każdym samochodem i osobą, otworzył drzwiczki i podał dłoń Prezydentowi, potrząsając nią kordjalnie i mówiąc: — „Pieknie ich witom, panie Prezydencie!”... Zazdrościli mu tego wszyscy robotnicy, bardzo zazdrościli.



W Królewskiej Hucie



Huta cynkowa

I dziś jeszcze wciąż wspominają serdecznie swego naczelnego dyrektora, profesora Ignacego Mościckiego i każdemu obcemu z dumą opowiadają, że ich „roztomyły dyrektor“ nie tylko że obronił się przed złością niemiecką i fabrykę utrzymał w ruchu, lecz nawet wprowadził w fabrykację azotu wiele ulepszeń i swoich wynalazków w zakresie produkcji karbidu i azotniaka.

W „Kącie trzech cesarzy“, w miejscu, gdzie Czarna Przemsza swoje czarne wody do szarej Wisły zlewa, gdzie Niemcy wystawili ciężką, nastroszoną „Wieżę Bismarcka“, zasiedział się stary gród piastowski, Mysłowice. Pierwotnie pierwsze osiedle praszczurów myślowickich znajdowało się gdzieś w niedalekich lasach. Ponieważ brakowało im tam wody, jęli się namyślać, gdzieby się przenieść ze swoją chudobą. I tak długo myśleli, aż wkońcu umyślili przenieść się nad Przemszą, która wówczas nie była jeszcze czarną wodą. I swej nowej osadzie nadali miano Mysłowice. Tak mówi podanie, które lubi nieraz różne cuda opowiadać.

Mysłowice posiadają bogatą przeszłość. Po prawdzie — to założyli je Benedyktyni z Tyńca, a pierwsza wzmianka o „Missovicach“



Piece cynkowej huty

pochodzi z roku 1105. Jako miasteczko pograniczne brało niejednokrotnie pośredni udział w większych zdarzeniach Polski. W czasie walk, jakie toczyły się między Zborowskimi, forsującymi na tron polski arcyksięcia Maksymiljana, a Zamojskimi, popierającymi szwedzkiego królewicza Zygmunta, „żołnierze polscy zapalili Miastho. A kiedy Woyna była Roku 1627“ — skarży się kronikarz myślowicki — „Miastheczo też ucierpiało Srodze o czem siła by trzeba pisać Chronikarzom to poleciwszy“. O przejeździe Jana III. Sobieskiego zachowała się wzmianka w aktach miejskich, że „Izraelka odebrała Dług który sie iey pozostał na napoi Piwo Gorzałke co sie dawało Żołnierzom Polskim Adratione dałosie zł 12 gr 5 a co sie wydało napoi w roku 1683 pod czas przechodzącego ludu Polskiego.“

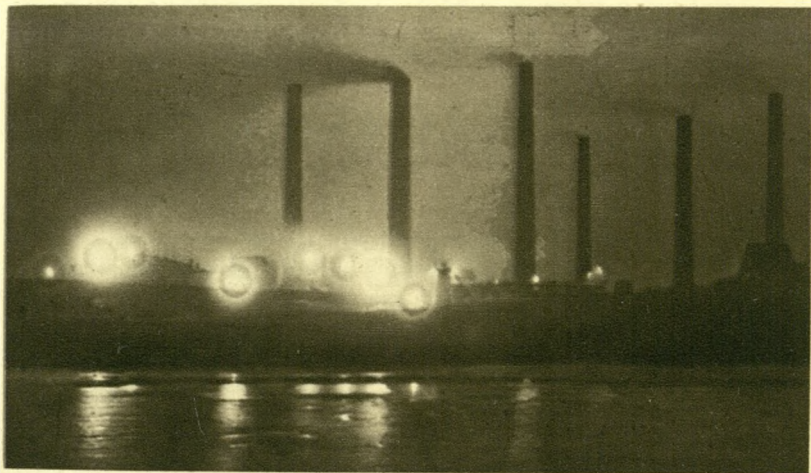
W roku 1697 w lipcu przejeżdżał „Churfürst von Sachsen August II, mianowany Silnym ktorego Polski narod za swego krola obrał. Anno 1734, kiedy w Mislonicach na urzędzie był Jan Janvis Bormistrz Maciey Kudera stanęła Compania Rusów bardzo Cudzo Ziemskiego kraiu Hismatycy z wielkiem uprzykrzyniem ubogiego Miasteczka“ — narzeka znowu kronikarz.

Niewielka odległość Mysłowic od Krakowa sprawiła, że myslowicka młodzież mieszczańska kształciła się na Uniwersytecie Jagiellońskim, tworząc „sławne Muzyki Burze (bursze, dzieci muzy) Oiczw Jezowitow S. Piotra z Krakowa.“ Nosili oni szable i byli przez „Waćpan“ tytułowani. Długie czasy były Mysłowice polskiem miastem, i dopiero wtedy, kiedy z końcem XVIII. wieku „nawiazało sie tu Gorali, Włochow, Niemcow, Biegunow i obieżyświatow“, polski charakter miasta zaczyna zanikać, a od czasów Fryderyka II. niemczenie jego następuje w szybkim tempie.

W czasie powstań śląskich toczyły się zawzięte walki o miasto, które było miejscem wypadu w pierwszym i drugim powstaniu.

Dzisiaj należy ono do jednego z najbardziej uprzemysłowionych miast górniczych na Śląsku. Tutaj rozpoczyna się wschodnia granica Zagłębia śląskiego, a kończy w drugim historycznym mieście górniczym, w Tarnowskich Górach.

Tarnowskie Góry bowiem zamykają od północy Śląsk Czarny swemi kopalniami rudy, srebra i ołowiu. Tutaj były narodziny górnośląskiego górnictwa. Według podania istnieje on od roku 1490, kiedy jakiś chłop wyorał na swem polu pierwszy kawał rudy srebra. W roku 1526 książę Jan opolski nadaje osadzie gwarków przywileje i zamienia ją na „swobodne miasto górnicze“. Przywileje te były wzorowane na polskim prawie górniczym w Olkuszu. Odtąd rozpoczyna się wędrówka górników niemieckich, żłakomionych srebrodajną ziemią tar-



Elektrownia w Chorzowie



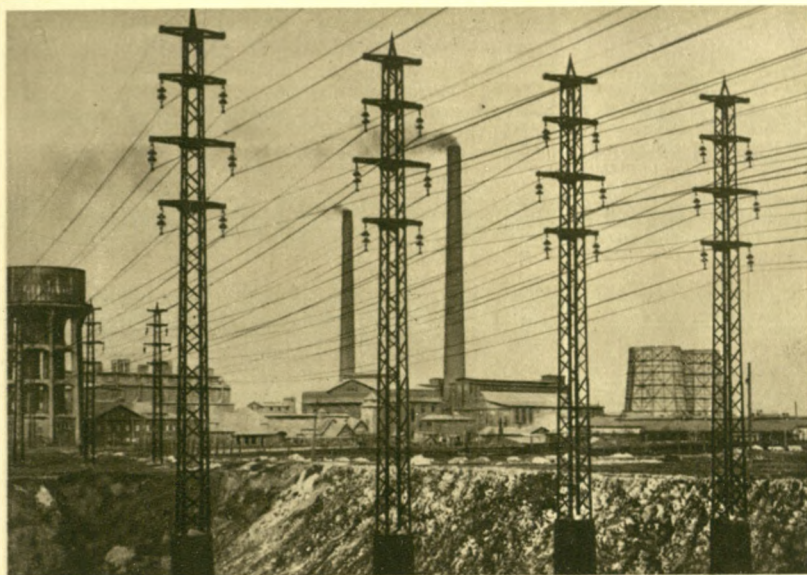
Prof. Ignacy Mościcki w czasie swej pracy w Chorzowie

nogórską. Popierani przez wielmożów rychło uzależnili od siebie ekonomicznie gwarków śląskich, co spowodowało pierwszy strajk górniczy na Śląsku, w roku 1534. Podczas wojny trzydziestoletniej kopalnie tarnogórskie upadają. I długie lata mijają, zanim górnictwo znowu powstanie z gruzów, i tak częstokroć niszczone przez niespodziewane zalewy kopalni.

Górne i chmurne były dzieje miasteczka. Czasem stroiło się odświętnie i radowało niepomiernie, gdy naprzykład Jan III. Sobieski przybywa do niego i przez dwa dni, 20. i 21. sierpnia odpoczywa ze swem wojskiem między mieszczanami i gwarkami. Lub kiedy August II. Mocny zawitał w roku 1697 do Tarnowskich Gór. Zatrzymał się tu dłużej „Churfürst von Sachsen“, ażeby odbyć nabożne rekolekcje przed udaniem się do Najświętszej Pani w Piekarach, gdzie miał jeszcze raz ustnie i pisemnie odnowić swoje wystąpienie z kościoła protestanckiego, uczynić spowiedź przed biskupem u głównego ołtarza i złożyć przysięgę na „pacta conventa“. Rekolekcje w towarzystwie urodziwej hrabiny Aurory von Königsmark i dworaków odbywały się hucznie w winiarni na rynku. Że było mało miejsca, więc łączyły cztery domy, przebijając ściany naprzestrzał. August II. nie turbował się zbyt tajemnicami wiary katolickiej. Chętniej zato zastanawiał się nad jakością marki podawanego wina i nad urodą swojej Aurory. Winiarnię tę otrzymuje od niego na wieczystą własność Czech Sedlaczek, który umiał się przypochlebić Augustowi II. Chodziło w tym wypadku o odpowiedź na zagadkę, postawioną przez Augusta II., którą markę wina on najbardziej



Chorzowscy robotnicy



Elektrownia w Chorzowie

miłuje. Sprytny Czech połapał się, wtrącił swoje trzy grosze i rzekł, że jeżeli chodzi o markę, to August II. najbardziej miłuje królewską markę, Aurorę von Königsmark. Winiarnia Sedlaczkowa do dzisiaj istnieje a dzierżawca jej w łamanym języku pokazuje ciekawym, zaciszny kącik, gdzie August II. lubiał siedzieć w czasie „rekolekcyj“ przy niemodlitewnym szczebiocie Aurory i z puhaem wina w garści.

Następca jego, August III. również przesiadywał w winiarni Sedlaczka i tutaj przyjmował koronę polską i składał przysięgę szlachcie polskiej. Wjazd jego do miasta witali hejnałem z wieży rektor miejski, organista i kantor.

W czasie wojen napoleońskich nastaly dni chmurne dla mieszczan. Trapili ich Francuzi kontrybucjami, trapili i Prusacy, urządzający brankę do wojska. Przezorni mieszczanie kryli się pod łózkami, lecz kiedy przez miasto jeła przeciągać muzyka wojskowa, zlakomili się na nią nieszczęsny i to było ich zgubą. Gapiących się mieszczan łapano na ulicy i wywożono do Wrocławia.

Kopalnie węgla w Tarnogórskim powstają w roku 1754, kiedy pastuszkowie swoje ognisko obłożyli czarnymi kamieniami. Ka-



*Figura Św. Jana
koło Rogowa*

mienie jęły się palić i odtąd gwarkowie tarnogórscy jęli kopać i węgiel po okolicznych polach. Po dawnych kopalniach ołowiu i srebra zostały przeważnie rozorane usypiska, doły i opuszczone kopalnie, zalane wodą. W Strzybnicy tylko grzebią jeszcze za srebrem i ołowiem, gdzie Polska Huta Skarbowa Ołowiu i Srebra przetapia ich skąpe rudy.

Aż do wieku XVIII urzędowym językiem jest język polski. Dopiero Fryderyk II jął się — jak zresztą wszędzie na Śląsku — gorliwej germanizacji Tarnowskich Gór. Z tego okresu zachowało się proroctwo niewiadomego pochodzenia, znalezione w aktach kościelnych z r. 1721. Powiada ono, że „kiedy św. Wojciech na Wielkanoc, św. Antoni na Zielone Świątki i św. Jan na Boże Ciało przypadnie, wtedy świat cały trzęsie pętami, Francja sześć razy zagrzmi, Niemcy ujarzmi, Węgry wyzwoli, Polskę podźwignie z niewoli, Prusy się zachwieją, Rosja zadrży i upadnie, Szwedy łzami się zaleją, Papież całym światem władnie. Przypadnie w czasie od roku 1886 do 1943.“

Mieszczanie tarnogórscy słyną z pobożności. Kiedy w roku 1676 wielka zaraza nawiedziła ich miasto, ślubowali przed Najświętszą



„Kąt trzech cesarzy“.

Wprost Niemcy, na lewo Rosja, na prawo Austrija — dziś wszędzie Polska



W dolinie Przemszy

Panienką Piekarską, że jeżeli wyzwoli ich z ciężkiej obieży, rokrocznie pójdą do Niej z procesją, i chwalić Ją będą całym sercem. Stało się, jak prosili i odtąd nabożni mieszczanie co roku dopełniają ślubów swoich przodków, idąc piechotą do Piekar i śpiewając wdzięcznie po drodze:

<i>O najświętsza Matko Boża,</i>	<i>Bądź od nas pozdrowiona!</i>
<i>Jesteś piękna jako róża.</i>	<i>O Maryjo wstawiona,</i>
<i>O Maryjo wstawiona,</i>	<i>Tyś jest nasza obrona!...</i>

Siła dałoby się pisać o powstaniu tych wszystkich miejscowości w okręgu przemysłowym Górnego Śląska. Prócz Mysłowic, Tarnowskich Gór i Piekar wszystkie inne miasta i osady ludzkie o charakterze miejskim, jakie skupiły się tutaj na niewielkiej przestrzeni, nie posiadają żadnej przeszłości ni nie mogą się szczycić żadnym królewskim czy książęcym bodaj kaprysem lub ich gospodarną zapobiegliwością. Były to najwyżej chudobne ludzkie osiedla, gdzie gromadzili się najmici dworscy i pańszczyźniani chłopi, osiedleni częstokroć przymusowo przez brzuchatych wielmożów na niemniej chudobnej ziemi. A ziemia była tu chyba najgorsza z całego Śląska, nie chcąca użyzyć chleba. Niedziwota też więc, iż zamiast urodzaj-

nych żniw i radosnych dożynek częściej można tu było uświadczyc głód i morowe powietrze, że miasto niefrasobliwych pieśni częściej tutaj śpiewano i gorzkimi łzami przegradzano nabożne suplikacje, w których dopraszano się żarliwie u Bo-



Podcienia w Tarnowskich Górach

Szlachta niemiecka na Śląsku — innej dawno dawno już nie było — stała skargi do rakuskiego dworu w Wiedniu, domagając się królewskiej interwencji w Krakowie a potem w Warszawie, by Polska nie dawała schronu zbiegom śląskim i przyłapanych wymieniała za swoich chłopów, zbiegłych w obręb państwa rakuskiego. Cóż, kiedy Polska nie mogła tej wymiany dokonać, boć jej chłop nie uciekał, a jeżeli już to czynił, kierował się raczej na swobodę Zaporozża.

ga obrony przed głodem, morem i wojną. Pustki dlatego też ongiś tu były, zalesione, piaszczyste, rzadka zaludnione, Ludzie woleli uciekać do Polski, gdzie i pańszczyzna lżejsza była, tam gdzie ziemia łatwiej chleb rodziła.



Procesja w Piekarach

A jeżeli chłopu śląskiemu trudno było uchylić się przekleństwu swego niepodarzonego żywota i uciekać do Polski — buntował się wtedy i okoniem stawał ku zmartwieniu swych nabożnych panów,



Wieża kościelna w Łące

przewidujących męki piekielne dla niego za nieposzanowanie władzy rzekomo przez Boga ustanowionej w takiej właśnie formie. Chłop śląski, głodujący między Tarnowskimi Górami i Mysłowicami czynił więc to samo, co reszta chłopskiej biedoty na dzisiejszym Śląsku cieszyńskim: pisał memorjały ze skargami na złych panów i wysyłał najpierw do Wiednia, a potem do Berlina, za czasów Fryderyka



Dzieckowice

Wielkiego, piechotą wędrował, niosąc w zanadrzu drogocenne pismo swoich braci, gnął za to w więzieniu lub umierał w kazamatach Spielbergu na Morawach, uprawiał bierny opór, łamany nasyłanymi kompanjami żołnierzy, a często — doprowadzony do rozpaczcy —

imał się rzemiosła zbójnickiego, przywłaszczając sobie prawo wymiaru sprawiedliwości, zamieniając się w mściciela chłopskiej krzywdy i opiekuna uciśnionych.



*Ślązaczka
w „purpurce“*

Sporo utrapienia i dożery mieli więc panowie niemieccy ze śląskim chłopem. Trwało to aż do czasu, kiedy jęły się zdarzać dziwy, co już w podanie przechodzą, aczkolwiek zdarzały się one nie tak dawno. Boć jeszcze dzisiaj możnaby odszukać zgrzybiałych, bezzębnych staruszków o wyblakłych oczach, co pamiętają dobrze tamte chwile. Dziwy te wszędzie jednakowo się powtarzały: pasterze niecili ogień i z pustoty wrzucali w ognisko czarne kamienie, wykruszone stępionym pługiem z ziemi. Lub kowalowe dzieci chciały również z pustoty uczynić ojcu naprzeciwność i nasypały na pale-

nisko tamtych czarnych, lekkich i świecących kamieni. Kamienie te paliły się wtedy żywym płomieniem, ludzie patrzyli zdziwieni w ich żar, żegnali się nabożnie, spluwali trzykrotnie poza siebie dla odegnań uroku, a że kamienie wciąż się paliły — zrozumieli, iż to nie czary, ale radosna rzeczywistość. W ten sposób rodziły się kopalnie węgla. Grzebano studnie, odrzucano płytką ziemię, i gromadami wielkimi rozpoczęto czynić węglobranie. Zwiedzieli się panowie o tych przedziwnych rzeczach, zwiedzieli się inni ludziska i jęły teraz powstawać zbiegowiska ludzkie, za zbiegowiskami osady, za osadami miasta. Jedno, drugie, dziesiąte. Takie Świętochłowice, Siemianowice, Katowice, Załęże, Bogucice i tyle, tyle innych jeszcze miast i osad miejskich czarnego Śląska powstały w ciągu ostatnich dziesiątek lat. W oczach rosły i rosną. Jak kiedyś gród zamkowy, dumny kasztel książęcy lub chociażby skromny zameczek stawały się ośrodkiem przyszłego miasta śląskiego, tak teraz wynosząca się wieża szybowa i dymiące kominy



*Strój męski
w Piekarach*



Kapliczka w Jedlinie

kopalni stawały się takim samym ośrodkiem przyszłych miast czarnego Śląska. Podobieństwo między kasztelom książęcym a wieżą szybową było to, że tam i tu były to symbole kapitalizmu, różnice zaś — że tam miasto dusiło się w obrębie murów, tutaj znów jęło się rozszerzać wzdłuż i wszerz, tak że dzisiaj trudno już wyimiarkować, gdzie się kończy granica jednego a rozpoczyna granica drugiego miasta. Wraz z kopalniami węgla powstawały kopalnie rudy żelaznej, srebra i cynku. Chude wprawdzie były ich złoża w czarnej ziemi i rychło się wyczerpujące. Pokłady węgla zato zdają się być niewyczer-

pane, obliczane na sporo setek lat. Teraz niebo, co dotychczas zawsze błękitne było, jak gdzie indziej, szarzało doimentu, słońce zaciągnęło się dymami, ziemia i piachy szczerniały, zjeżone i zryte usypiskami i głębokimi wądolcami, owrzdodziły się i zropiały ślepe, gnijącymi wodami, nad którymi nawet nędzna trawa nie chce się zielenić, wewnątrz ziemi zaś zamieniło się w ogromne kretowisko o niezliczonych gankach i chodnikach, idących w sumie w tysiące kilometrów.

Człowiek zaś pozostał ten sam, co ongiś. Twardy i mocny.

O ile dawniej przeklinał tę ziemię w przystępie rozpaczy, że mu nie chce dać chleba, teraz jej błogosławił podświadomie. Znalazł bowiem ów chleb pod ziemią. Twardy wprawdzie, suchy, ciemny i skąpy, ale zawszeć go więcej, aniżeli ongiś, „kiedy to jeszcze jego starzyczek — Boże mu tam dej światło wiekuiste, amen!... — z powodu jego braku musiał zmelłtą korę i lebiodę przydrożną zbierać, żeby plugawy głód oszukać“.

O ile dawniej przeklinał tę ziemię — czynił to w porywie rozpaczy i zaślepienia, wynikłych z jej niewdzięczności. To samo nieraz czyni przecież i ojciec w stosunku do swych dzieci. Bo mimo wszystko miłował ją, jak każdy inny człowiek miłuje swoją ziemię. W okresie groźnego bezrobocia, jakie rozplenilo się w dobie współczesnej po czarnym Śląsku nakształt tamtych

dawnych klęsk głodu, znowu przemienia się jakoby w dawnego upartego chłopa, co pragnie z niej wymusić drobny kęs chleba.

Dzięki inicjatywie ludzi, a raczej jednego człowieka, gazdującego mądrze na Śląsku, wojewody dr. Michała Grażyńskiego, postanowiono tamte wszystkie nieużytki, wydmuchowiska płone, szczyrzyska hałdowe, piachy i wądolce z gnijącą wodą pozamieniać na użytki. Wymierzono je pracowicie, podzielono na działki i oddano bezrobotnym górnikom i hutnikom na dwudziestoletnią własność. Dokonano tutaj coś w rodzaju średniowiecznej koloni-



Stary wiatrak w Miedzno



W okolicy Rept

zacji z uwolnieniem od danin i świadczeń na tyle a tyle lat. I znowu stała się rzecz dziwna, mnożąca dziwowiska śląskie.

Gdzie dawniej zaledwie chuda koza z żalosnym bekiem mogła się skąpo napaść, gdzie nieliczne stadka gęsi łakomie szczypały drobniutkie piórka żółkłej trawy, rodzą się teraz ziemniaki, kapusta, ba nawet ogórki i dynie. Przyszli robotnicy z łopatami i taczkami, przyszły ich żony z dziećmi, i pospólnie jęto się roboty. Na ogrodzonej działce zaczęto przenosić usypiska w wądolce, wyrównywać, piaski i kamieniste, rude ugory nakrywać warstwą ziemi, zwożoną żmudnie w taczkach skąd się tylko dało, z nad przydrożnych rowów, z wykopywanych gruntów przy budowlach, z odkrywek, ujęto owe poletka w druciane płoty, wygracowano drobne ścieżki, pobudowano z obrzynków desek wymyślne altanki i ozdobne glorjetki, opleciono je fasolą tyczkową, a przede wszystkim nie zapomniano o skromnych grzędach kwiatów, co jedyną osłodą dla znużonych oczu i jedyną krasą dla zszarzałej ziemi, słońca i nieba. Bezrobocie, sprzyjające rozluźnieniu moralnej orga-



*Wejście na cmentarz kościelny
w Studzionce*



*Kościół w Piekarach —
modlił się w nim król Sobieski*

nizacji i dyscypliny wewnętrznej śląskiego robotnika, zostało w ten sposób chociaż nie usunięte, to nieco w skutkach osłabione, a robotnikowi, tęskniącemu za pracą, dostarczono w ten sposób zapomnienia jego ciężkiej doli. Przebywa on chętnie na „swej ziemi” — jak się z dumą wyraża — grzebie w niej z przejęciem i z prawdziwym nabożeństwem, nazywając ją w myślach „swoją świętą, roztomiałą ziemeczką”, rodzącą nietylko ziemniaki i kapustę, lecz przedewszystkiem radość z jej posiadania.

Nierzadko zaś wędruje do Paniarki Maryji Piekarskiej, żeby się Jej poskarżyć i uprosić drobinę pocieszenia w swem ciężkim żywobyciu.

Nietylko bowiem z Tarnogórskiego przychodzą procesje do Piekar, przewanych „śląską Częstochową”. Z całego Śląska wędrują co roku ogromne tłumy, idą samotni pątnicy ludzie skrzywdzeni przez życie, pragnący poratowania boskiego, proszący o różne łaski, dziękujący za widomy cud boży, jaki wyprosili u Matki Boskiej Piekarskiej.

Piekary były ongi osadą służebną, dostarczającą księżę-cemu grodu Bytomiu chleba, podobnie jak Łagiewniki dostarczały łagwi, czyli naczyń

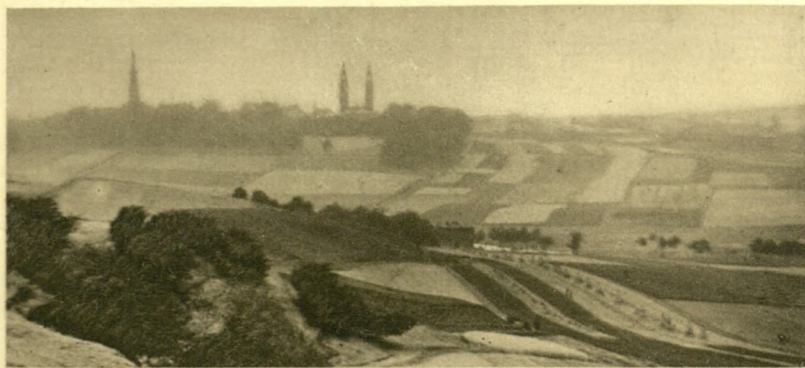
na wodę. Aż do roku 1659 była to cicha, pracowita, ale nieznaną osada. Dopiero od tego czasu zasłynął obraz Matki Boskiej, znajdujący się w bocznym ołtarzu, a o którym niewiadomo skąd pochodzi. „Wymalowany jest na tablicy li-powej, dwa łokcie długiej i do tego odpowiednio szerokiej który to obraz Tęż Boga — Rodzicę Pannę na wszystkie strony oczyma miłosiernymi skromno bardzo patrzącą przedstawia. W prawej ręce



„*Sacerdos eximius*“

i do nabożeństwa zachęcająca pobożność w obrazie tym większa? Modlił się przed nim Jan III Sobieski, ciągnący pod Wiedeń. Przy nim sprawował swe zbożne rządy „apostół górnośląski“, ks. Jan Alojzy Ficek. On to wznosi świątynię piekarską, czarem wymowy wytopia pijaństwo. On to rozszerzał między Ślązakami polskie słowo

trzymając jabłko przy pier-siach, a w lewej piastuje Dzieciątkę — Pa-na Jezusa, który rozkosznie na Matkę swoją spogląda. Jak niezwykle jest żywym wyraz tego Oblicza, że trudno powiedzieć: czy piękność Twarzy, zachwycenie macierzyńskie, majestat albo powaga więcej aniżeli ludzka, czy naostatek tej Twarzy święta układność



Dolina Brynicy pod Piekarami

drukowane, zamieniające Piekary „w śląski Lipsk księgarski“, tłumacząc wiele dzieł religijnych na język polski, wydając ks. Skargę i pisząc nowe książki, oraz redagując „Tygodnik Katolicki“. Sam siebie nazywał „pieskiem Maryji“, napis grobowy zaś nazywa go słusznie „sacerdos eximius“ („kapłan wyjątkowy“).

Piekary i kościół Matki Boskiej Piekarskiej były fundamentalną ostoją, gdzie się utwierdzał — bezwiednie może — duch polskości w okresie największego nasilenia niemieckiej polityki eksterminacyjnej. Książki polskie, kazania, pieśni religijne a przede wszystkim spotkanie się ludu z całego Śląska u ołtarza Matki Bożej, niedaleko granicy Królestwa Polskiego, sprawiały, że wracający pątnicy nieśli do domów to radosne przeświadczenie, żeć przecież siła jest narodu polskiego na Śląsku, którego Niemiec nie potrafi przemóc. Z Piekar szła na calutki świat wieść o królu polskim, Janie III Sobieskim, że się modlił w tym samym kościele, u stóp tej samej Najświętszej Panny, co cały naród śląski. Wieść przemieniała się powoli w cudną legendę o lipach, które Sobieski sadził na ziemi śląskiej, tak że z czasem każda starsza lipa, gdziekolwiek ona rosła, stawała się „lipą Sobieskiego“, o którym matki swym dzieciom opowiadały. Do lip przyłączyły się dęby a wkońcu i gaje brzoźowe i topole. Tak na Śląsku drzewa wszędy stawały się żywymi pomnikami sławy polskiej.



Dziewczyna z Piekar



Białe brzozy znaczą drogi na Białym Śląsku

CZEŚĆ CZWARTA

ŚLĄSK BIAŁY.



Krucyfiks w Cieszowie

Jeżeli wyjść ze Śląska Czarnego, pozostawić za sobą szare słońce, zadymione niebo, ciężkie duszące opary czadów gorejących hałd i hut cynkowych, jeżeli otrząsnąć z serca to dziwne uczucie, na które niema nazwy, a które zrodziło się z widoku skrawka ziemi, na którym skotłował się i spiętrzył trud człowieka i maszyny, jeżeli minąć ostatnie wądolce i usypiska, zapadliny i ślady opuszczonych kopalni — rozewrże się przed człowiekiem nowa kraina o swojej urodzie. Wszystko tutaj inne: powietrze, słońce, ziemia i ludzie.



Palac w Koszęcinie

Samotne drogi lecą w cichości przez lekko pomarszczony płaskowyż, sieroce jakieś, bezludne prawie, nurzają się w nieprzejrzanym lasach, mijają samotne osiedla ludzkie, prowadzą koło drewnianych kościółków, drzemiących w kępach lipowych, przejdą przez miasto statecznie i znowu rozejdą się pod nawisłe niebo, między piaszczystymi polami i szumiącymi lasami. W poprzek drogi sączą się czarniawe wody, leniwe, uciszone i jakby sennie. Cisza spada tutaj na wędrowca i wszędzie już z nim idzie, nieodłączna towarzyska.



Zamek śląskiego wielmoży

Przed oczyma rozwiera się nieobeszła przestrzeń, błękit zaś nad nią jest czysty i głęboki, którą podniebne wichry latają, nie sięgając już ziemi. I nawet chmury nad nią jakieś inne, odświeżone, rozbielone, w zamyśleniu słodkiem po błękitcie wędrujące. Ziemia zaś pachnie przestrzenią, słońcem, rozgrzanym piachem, żywicą i chlebem.

Od wschodnich krańców, w okolicy Woźnik i Lubszy, nadbiegają jeszcze liczne wzgórza wapienne, ostatnie kończy Jury krakowsko-wieluńskiej, a od których ziemia

ta została przezwaną Śląskiem Białym. Wapienniki kurzą białym dymem i to jest wszystko, co jeszcze może Śląsk Czarny przypomnieć, który za lasami został. Potem zaczynają się ponownie ciemne lasy sosnowe, podmokłe łąki, torfowiska i pola piaszczyste, ilowate lub ciężko gliniaste.

Ziemia tutejsza nie rada chleba rodzić. Podłoże gleby składa się z glin nieprzepuszczalnych lub z formacji skalistych, wskutek czego jest mało urodzajna i wilgotna. Połowę obszaru zaś zajmują lasy. Dlatego też ludność nie była nigdy zamożna ani bardzo liczna.

Kiedyś ta część Śląska, nazwana dzisiaj powiatem lublinieckim, należała w niezmienionych granicach do piastowskiego Księstwa Opolskiego. Po rozgraniczeniu — jedną trzecią pozostawiono Niemcowi, reszta wróciła do Polski.

Koło Lubszy wznosi się niewielka „Góra Grojec“, zdobna w legendy ludowe o zakopanych w niej skarbach, poniżej zaś, pobok dawnej drogi handlowej smęci się wieś Psary, która niegdyś była



Kapliczka w Koszęcinie



Drożyna śląskiej wioski

miastem. Lodowce, co ongiś aż po Beskidy zawlokły się, pozostawiły w ziemi wiele swoich granicznych kamieni, przyniesionych z granitowych gór skandynawskich. Dzisiaj, wygrzebane z gliny, tworzą pomniki cmentarne lub przykościelne, albo też słupy przydrożne i podmurowania domów i kościołów. Poza tem z dawnych zabytków przyrody Lublinieckiego ostały się jeszcze dęby, buki, jawory, jesiony, a przede wszystkim „lipy Sobieskiego“, które on i tutaj sadił, jak zapewnia podanie ludowe.

Uboga ta ziemia, posiadająca zaledwie dwa miasteczka, Lubliniec i Woźniki, wydała kilku znacznych ludzi, co w walce o polskość Śląska swe siły sterali. Byli to: Józef Lompa, pogrzebany dziś w Woźnikach, ks. Konstanty Damroth z Lublińca i kowal-poeta Juljusz Ligoń, urodzony w Prędach pod Koszęcinem. W czasie powstań ludność brała czynny udział w walkach o swoją swobodę.

Przemiełem miasteczkiem jest Lubliniec, przypominający swoją urodą dzisiejszy Cieszyn, a raczej Pszczynę. Powstało ono w lesie na piaszczystem szczytysku i w lesie nadal przebywa, ukryte przed światem. Rozbudowane szeroko i rozrzutnie, nie skąpiące sobie miejsca, podobne jest do jakiegoś miasta-ogrodu, do którego lasy włączają wszystkimi ulicami, napierają mocno, zajmują podwórza, place i grządki podokienne, a nawet na rynek zapuściły się śmieie, usadzając pod figurą świętego Jana jedną starą lipę podrutowaną i rozłożystą kasztanowiec, pod którym mieszczanki odbywają kumo-



Z powiatu lublinieckiego



Kościół i plebania w Lublińcu

terskie zebrania. Odwrotnie zaś, idąc z miasta, wychodzi się z ulicy w lasy i w lasach już się godzinami brodzi, zanim dotrze się do ludzkich osiedli. Na głównej ulicy bawią się dzieci, grające w guziki na jezdni, pod domami zaś, na wyniesionych ławeczkach wysiadują mieszczanie, rozprawiający mądrze i statecznie o polityce i sprawach miejskich. Na rynku zaś bywa taka cisza, że z okna swojego domu można rozmawiać z przyjacielem, stojącym w oknie przeciwległego domu. Obcy ludzie rzadko zagląдают do Lublińca, a jeżeli się taki człowiek nieznany pojawi, wtedy z okien wychylają się zdziwione głowy, ludzie wychodzą na ulice patrzeć ciekawie, kumoszki zaś biegną w dyrdy jedna do drugiej, by się dowiedzieć, skąd ten człowiek przyszedł, poco przyszedł, i czy też — Boże opatruj!... — nie jest to jakiś rzezimieszek, przed którym trzeba gęsi i kury spędzać z ulicy do podwórza i drzwi na klucz zamykać. A jeżeli się do niego przekonają, zapraszają go chętnie na kufel piwa do najbliższej gospody i pilnie dopytują, co też w świecie nowego, po czemu jajka i masło, i czy nie będzie gdzie jakiej wojny. Zacne ludziska. W mieście ich mieszka jakaś słoneczna cisza, spokój się rodzi.

Kiedy ono powstało, nie można się dowiedzieć dokumentnie. Rzekomo miał je założyć książę Władysław Opolski w roku 1240.



Śląska kapliczka

Lubił on urządzać polowania w nielicznym towarzystwie w tutejszych puszczech. Według podania zmęczył się raz jednego i usiadł w cieniu na skraju małej polanki. Urzeczony pięknem owego uroczyska rzekł do swych towarzyszy: — Lubi mi się tu kościół i miasto zbudować!... I tak też uczynił. I od owych słów: „lubi mi się“ miała powstać nazwa Lublinieć. Wierzą w to Lubliniacy.

Jak każde miasto śląskie, tak i ono ulegało licznym pożarom i zniszczeniom, najazdom, zarazom i innym dopustom Bożym. Zapuszczali się tu Szwedowie, a przedtem Tatarzy, myszkowali Brandenburczycy, wędrowały wojska napoleońskie, aczkolwiek lasy kryły je przed ich złodziejskim okiem. Niestety te same żywiczne lasy nie chroniły go przed morowem powietrzem, a jedynie tylko drzewa wbród dostarczały po wielkich pożarach, często się one zjawiały.

Z dawnych zabytków budowlanych został tylko kościół parafjalny z wieku XVI i drewniany kościółek świętej Anny. Poza tem kilka krętych, ciasnych uliczek, stary cmentarz i lekka patyna minionych stuleci nadawają temu cichemu miasteczku charakter miłej pamiątki historycznej.

Drugim miasteczkiem lublinieckim, to czysto polskie Woźniki o dwóch tysiącach mieszkańców, jeszcze cichsze i bardziej za światami leżące, aniżeli Lublinieć. Ludziska znają się tam wszyscy



Kościół w Woźnikach

po imieniu, wiedzą wszystko o wszystkich, chadzają spać z kurami, jak twierdzą z przekąsem lubliniacy, a jeżeli ktoś wraca po dziewiątej godzinie do domu, wtedy otwierają się wszystkie okna, a z okien wychylają się zdziwione twarze i jeden drugiego dopytuje się pilnie, cóż to za człowiek może być, który tak późno błąka się po mieście. Sąsiedzka przekora jest powodem częstych dąsów wzajemnych, mianowicie wtedy, kiedy uszczypliwi lubliniacy opowiadają obcym i narządzają się dobrodusznie z woźniczan, że ci jakoby posiadają urzędzenia miejskie, jakie się tylko w sowizdrzalskich bajdach znajdują. Jakiś tam zegar miejski o drewnianych kółkach, sadzawkę z rakami, kozy pasące się na rynku, areszt będący równocześnie wędzarnią i wiele jeszcze innych niezwykłych śmieszności. Woźniczanie gniewają się potrosze z powodu tych przymówek, równocześnie jednak szczycą się swoim starym kościołem z wieku XVI, oraz niemniej podobno starą kapliczką drewnianą pod miastem, zbudowaną przez przodków ku czci świętego Walentego. Poza tem z niemniejszą dumą głoszą szeroko, iż w ich miasteczku spędził ostatnie lata swojego żywota Józef Lompa.

Jak Śląsk Zielony ma swoją Matkę Boską Pszowską, Śląsk Czarny Matkę Boską Piekarską, tak i Śląsk Biały czci szczerze Paniękę



Świątą w Lubecku, której obraz słynie cudami. Świątynia Jej, za lasami i torfowiskami ukryta, nie posiada tego rozgłosu na ziemi śląskiej, co inne miejsca pątnicze. Lecz i tutaj przychodzą co roku liczne procesje pątników z okolicznych miejscowości, zapoczątkowane kiedyś w XVIII stuleciu, by znaleźć ulgę i poratowanie w swej ciężkiej doli. Poza obecnymi granicami, poza Olzą u Czecha i nad Odrą u Niemca, zostały jeszcze ogromne spłachcie śląskiej ziemi i około 600 tysięcy Ślązaków. Było ich tam więcej. Według niemieckich i czeskich historyków, żywioł polski sięgał jeszcze koło roku 1800 daleko poza Wrocław. W wieku XVII odbywały się w Wrocławiu pol-

Rodzina św. Anny w Muzeum Śląskiem

sko-niemieckie nabożeństwa, a jeszcze w roku 1803 pisała pani von Stein do Charlotte von Schiller, że po lewym brzegu Odry spotykała dziewczyny tamtejsze, śpiewające ku jej zdumieniu polskie pieśni ludowe.

Granicą językową zaś między Morawianami a Ślązakami była przez kilka wieków rzeka Ostrawica, świadectwem czego bodaj nazwa Polskiej Ostrawy, zmieniona po wojnie na Śląską Ostrawę. Dzisiaj tamte ziemie, na których żywił polski został pochłonięty przez obcojęzyczny żywił, — przypadły już na zawsze dla Polski. Ta ziemia zaś, na której ostał się lud polski, czeka, aż się wypełnią do reszty sybilingne proroctwa śląskie, i aż krew robotników i chłopów śląskich, przelana dla jej wolności w czterech powstaniach śląskich, wyjedna u Boga tę łaskę, że ziszczą się kiedyś pragnienia i serdeczne westchnienia Długosza, Miarki, Stalmacha, ks. Londzina i wielu, wielu innych.



*Ziemia ta chleba skąpiąca stokrotnego trudu
ludzkiego pragnie*



Wiejska zagroda w powiecie pszczyńskim

CZĘŚĆ PIĄTA
CZŁOWIEK
ROZDZIAŁ PIERWSZY
JAKIM JEST ŚLĄZAK



*Dziewczyna z Dąbrówki
Wielkiej*

Piastowie śląscy zniemczyli się, rozdrobnili, pozwolili się schłonać przez żywioł niemiecki lub wymarli. To samo stało się ze szlachtą śląską. Dzisiaj trudno uświadczyc na Śląsku jednego bodaj polskiego nazwiska szlacheckiego. Pozostały po niej zwierzające herby kamienne na grobowcach cmentarnych, a które nikt się nie przejmuje, wytarte nazwiska i przydomki na płytach w przedsionkach kościelnych i kruchtach, oraz mętne wspomnienia u ludzi i niesamowite podania o pokutujących duchach daw-

nych „panów dziedzicznych“, co teraz na rozdrożach i wydmuchowiskach straszą i o zmiłowanie boskie proszą. Krzywdzili bowiem lud poddany.

Mieszczañstwo śląskie było nieliczne. A to, co było, przemieniło się w ciągu wieków do niepoznaki, zmieszało z przybyszami niemieckimi, co łakomi dostatniego chleba, na Śląsk zbiegli się od niepamiętnych czasów. Pozostali wyłącznie chłopci i robotnicy śląscy zwarła warstwa, nieustępliwa i mocna, którą niesposób był nadkruszyć. Oni to tylko są dzisiaj dziedzicem prawowitym ziemicy śląskiej i jej jedynymi włodarzami, wchodzącymi w skład zróżniczkowanego jesz-



Krajobraz w powiecie rybnickim

cze i dzisiaj narodu polskiego, jako jego świeży, ważki, lecz nieodkryty dotąd i niepoznany element. Poczynając aż od Beskidu hen po północne pobrzeża lublinieckiego powiatu lud ten wistocie swojej jest ten sam, nieodmiennym. Wyróżniają go może jedynie nikłe cechy przy-

padkowe, jako znamię odrębnych wpływów duchowych i materialnych, działających na niego od chwili podziału Śląska na Cieszyński i Górny za Fryderyka II. Rozwijający się zaś przemysł i górnictwo śląskie w ostatnich dziesiątkach lat nie pozostały również bez wpływu na urobienie psychiki pewnej części społeczeństwa śląskiego, psychiki odchylającej się pozornie od swego pierwotnego typu. Mowa tutaj o górniku i hutniku śląskim. Doszło nawet do tego, że robotnik śląski ze wszystkimi swojemi nabytymi cechami stał się synonimem Ślązaka wogólności. W uproszczonym zesumowaniu tych cech Ślązak w pojęciu Polaka z innej dzielnicy ma być szorstkim, nieprzystępnym, uniemożliwiającym współzycie się



Wisła koło Grzawy w powiecie pszczyńskim

z nim, niewdzięcznym i zarozumiałym. Krzywdzący ów sąd polega jednak na nieporozumieniu lub na nieumiejętności przystosowania się Polaka z innych dzielnic do odmiennych warunków, jakie na Śląsku istnieją. Wyrażając się ściślej — ów niesłuszny sąd wydadają ci, co nie umieją żyć się ze Ślązakiem.

Niezaprzecznie człowiek tu twardy, nie mający w sobie nic albo bardzo mało z rozlewności słowiańskiej, ale takim już go urobiła ziemia, z której żyje i owo osamotnienie, na jakie był skazany w ciągu sześciu wieków, i praca. Zamknął się w sobie i twardniał.



Wieś Mokre w pobliżu Pszczyzny

Najbardziej twardym, zamkniętym i szorstkim — to robotnik śląski, górnik i hutnik. Niedziwota zresztą. W ustawicznym obcowaniu z maszynami nabiera jej manier. Maszyna dla niego jest żyjącym stworzeniem. Bodaj, że i myślącym. Maszyny — to przyczajone bestje, dygocące ujarzmioną siłą, które może jednym łagodnym ruchem ramienia wstrzymać w zapamiętany bieg czy pchnąć je do życia. Słuchają człowieka. Lecz umieją się one mścić. Człowiek chodzi koło nich, czujny na każdy ruch; na każdy obrót rozwichrzonego koliska, śledzi zpodobna jej wymierzone drogi, szanuje i nienawidzi. Szanuje, bo pracują za niego, nienawidzi — bo pomniejszają



Kościół w Boronowie

jego zarobek i niszczą życie ludzkie jednym uderzeniem ciężkiego ramieniska, łamią kości rozpedzonymi sprychami, miazdzą stalowymi zębami trybów.

Człowiek bezwiednie nabiera jej manier. Staje się czujny, zimny, wyczekujący. Tak długo, aż przyjdzie czas. Potem znienacka uderza. Jak maszyna. Chytrze, mocno, a w odmierzonej chwili. Tobie śmierć albo mnie śmierć! Potrafi długo czekać na taką chwilę. Tak długo, aż się doczeka. Okazało się to w czterech powstaniach śląskich.

Górnik w podziemiu skupia się w sobie jak zapaśnik szukający słabej strony przeciwnika. Śmierć za nim chodzi krok w krok, wierna towarzyszka jego. Śmierć chytra, podstępna, złośliwa. Górnik musi

umieć przejrzeć jej zamiary, przedbiec jej cios, odparować na zimno, bez zmrużenia oczu, podejść chytrze, a zwyciężoną wykpić serdecznie. Nie lękać się jej, tylko podejść i wykpić. Inaczej nie godziłyby się na miano górnika. Obcowanie z czarną śmiercią urabia z niego człowieka przewidującego,



Dom w Golasowicach



Typ z Dąbrówki Wielkiej

złotym dymem rozwloką się w podziemiu; czasem utajoną żyłę wody nieoczekiwanie roztworzy w odkrywanej caliznie, a wtedy woda pędzi z krzykiem za ludźmi, czarna, wyjąca, ściga ich nieubłaganie, dopędza i pochłania; czasem zaś sypką kurzawką na wieki zagrzebie, linę na pochylni zerwie, by lecące wozy rozgniotły go na miazgę...

Górnik wszystkie jej sposoby musi przewidzieć.

Owa zaciekła walka z przyczajonym wrogiem czyni go innym od spotykanych gdzieindziej ludzi. Wyzbywa się on miękkości w obejściu z bliźnim, bo mu ją praca zabiera. Wstydzi się okazywać swe uczucia nazewnątrz. Prędzej ciężko zapieronuje, aniżeli się roztkliwi. Nie umie się rozczulać ani nad własną ani nad cudzą dolą. Powiedziałyby ktoś, że brak mu serca. Nie, tego nie można powiedzieć! Ma on serce czujące, proste, szczerze, co czyni wrażenie bryły złota przysypanej pyłem. Zetrzeć pył,

zimnego, pozornie brutalnego i bez serca. Podobnie, jak tamten robotnik chodzi koło swej maszyny, tak i on czyni w kopalni. Zjadłość go ogarnia. Jeżeliś ty taka, tom i ja niegorszy!...

Przyczajona śledzi jego kroki. Czasem strop zarwie zniecka, pragnąc go przysypać splekanem rumowiskiem; czasem obluźnioną ścianę węgla w filarze strąca na niego lub pożar nici w opuszczonych gankach i w starych robotach; czasem wybuchające gazy zapala, radując się żniwu, gdy płonący pył węglowy pędzi rozpętanym piorunem po gankach i chodnikach, a pożar się rozszałeje i trujące czady



W góralskiej chałupie

to roziskrzy się złoto w słońcu. Chodzi o to, by umieć ów pył zetrzeć. Wiarę w Boga posiada prostą, swoistą. Bigotem nigdy nie będzie. Przeciwnie — raczej wykpi w swój urągliwy sposób nadmiar zewnętrznej pobożności. W głębi serca ma jednak wiarę w Boga. Chwalić nie lubi się nią, ani publicznie ją wysławiać. Poza tem głęboki sentyment żywi do swej orędowniczki świętej Barbarki, patronki górników. Godnie potrafi uczcić jej święto, bardzo godnie. Z paradą, muzykami i nabożeństwami wystawnymi w kościele. „Niech ta ucieszy się święto Barborka“ — powiada — „niech wie, że ją mamy radzi festelnie!...“ Z duchem Skarbnikiem czy Pusteckim, co pod ziemią mieszka, to on za panbrat. Młodsze pokolenie, to tam bardzo w niego nie wierzy. Lecz star-



Kościół w Boguszowicach

zaświeci i znika. Czasem daje znać o sobie lekkim pukaniem, ba czasem nawet w pracy pomoże, a zawsze stara się ustrzec górnika przed groźącą śmiercią. Nie wolno go tylko gniewać. A gniewa się rzekomo wtedy, gdy ktoś głośno śwista w kopalni. Trochę dziwne wymaganie, ale trudno. Jeżeli jednak śmierć przejdzie i życie komuś zabierze, to widać — ktoś go rozgniewał i dlatego nieszczęśnika nie ostrzegł.

Przyjdzie pożar, zalew lub nastąpi obwał i towarzyszy jego niechybna śmierć podchodzi, staje z nią w zapasy o ich życie. Idzie cichy, spokojny, bez patosu, uważając to za rzecz tak bardzo prostą i naturalną, że się aż sam dziwi, gdy się ktoś obcy temu dziwuje,

si górnicy inaczej o nim sądzą. Na Śląsku Górnym nazywają go Skarbnikiem, w Cieszyńskim, Pusteckim. Jest to stare, krzepkie chłopisko z długą brodą, w ubraniu sztygara, z kilofem i z czerwonym światełkiem w lampie. Siedzi gdzieś w caliźnie i nic. Czasem, to wyjdzie ku ludziom, zmieniając swą postać do niepoznaki, czasem komuś drogę przejdzie, w oczy



U źródeł Wisły pod Baranią

brodzi w duszących dymach, wynosi pobitych braci na powierzchnię, naraża się na tę samą śmierć, którą już oni ponieśli, a częstokroć życiem przypłaca swoje pogardliwe bohaterstwo. W obliczu śmierci jest mu każdy bratem. Niema wtedy u niego nienawiści plemiennej czy klasowej. Chociażby jego największy wróg to był, co kona w pożarze lub w kurzawce lub w zasypanem zawalisku — idzie i ratuje go. A jeżeli sam zginie, to nic. — „Zrobią mi kamraci fajnisty pogrzeb z muzyką, paradą i ze zwonami! No nie?” — powiada. — „Ale swoje musza zrobić!... Choćby pierony były!” — I „swoje zrobić”.

Szczęść Boże!... Takim pozdrowieniem wita się i żegna w podziemiu. Uprzywilejowane to pozdrowienie. W zacności ono bywa i w poszanowaniu wielkiem u braci górniczej. I tak się utarło, że gdy dozorca lub sztygar lub nawet inżynier czy sam dyrektor przyjdą do przodka, to nikt z górników pierwszy nie pozdrowi swego przełożonego. Wszyscy czekają, aż przełożony to uczyni. A wtedy dopiero każdy odpowie mu swoje „Szczęść Boże!” Bo tak zwyczaj każe.

Na powierzchni staje się innym. Jego kanciastość, szorstkość i bezceremonjalność może być rażąca dla obcych, co go nie znają. Zapytać go naprzykład o drogę, popatrzeć na ciebie z podębła, zmierzyć nieufnie przymrużone oczy, otaksuje, coś zacz i powie, jeżeliś mu przypadł jako tako do serca. W przeciwnym razie zbędzie cię krótko: — „A ciś pieronie, bo cie mazna w gęba!”



Na groniu beskidzkim



Wisielka

— i to wszystko. Świadom jest swej wartości, dba o swój honor, i dlatego nie znosi czyjegoś wywyższania się ponad niego lub czyjeś zniżania się do niego, czynionego w formie jałmużny czy dostojnej ofiary. Wykpi takiego niefortunnego „społecznika”, „pieronami” szczerze obdarzy i na tem się skończy. Frazesu nienawidzi. Jeszcze bardziej nienawidzi patosu. Posiada doskonale wycucie miary, gdzie się zaczyna puste, komedjanckie żonglerstwo szumnemi słowami, a gdzie tkwi rzetelna prawda. Na odświętny patryjotyzm z napuszczonymi mowami o „ukochanej ojczyźnie”, „o ostatniej kropli krwi” nie da się nabrać. Wogóle przysłowiowego słomianego zapalu nie posiada. Działa spokojnie, wytrwale a uparcie, jako jednostka świetnie zorganizowanej i zdyscyplinowanej masy, świadoma swych celów i zwycięstwa. Klasycznym tego przykładem trzecie powstanie górnośląskie, gdzie w ciągu jednej nocy stanęła olbrzymia armja powstańcza, wyćwiczona, zgrana, działająca, jak złożony mechanizm. A wszystko to było



Istebnianin

przygotowywane w ukryciu, potajemnie, bez zwrócenia najmniejszej uwagi ze strony obcych.

Ślązak z okręgów rolniczych czy z Beskidów, to człowiek pozornie odmienny. A jednak ten sam. Łagodniejszy on tylko, bardziej uprzejmy, mowa jego nie jest już najeżona „pieronami“, lecz poza tem tak samo zamknięty przed obcymi, twardy, zimny, nie lubiący się rozczulać, wstydzący się okazywać swe uczucia, świadomy swej godności.

Tak samo, jak górnik czy hutnik, nie płaszczy się przed kimś, co wyższy od niego społecznie, nie upokarza się ani nie pozwoli się po-



Grodziec — Zamek piastowski z XIII wieku

niżać z racji swego rzekomo niższego pochodzenia stanowego. Dla niego wogóle kwestja różnicy stanowej nie istnieje, gdyż jej na Śląsku nigdy nie było. Istniały tylko różnice narodowe. Walka klasowa, jaka rozgorzała w okręgach przemysłowych, identyfikowała się zawsze z walką narodową i odwrotnie. Przedstawicielami kapitału bowiem, wyzyskującego śląskiego robotnika, byli tylko Niemcy lub Czesi. Wskutek tego też wszystka walka Ślązaka o utrzymanie swego narodowego stanu posiadania, miała tylko podłoże socjalne, zwłaszcza w okręgach przemysłowych. I tem się też tłumaczy owo zjawisko, że najbardziej narodowo uświadomionym żywiołem na Śląsku,

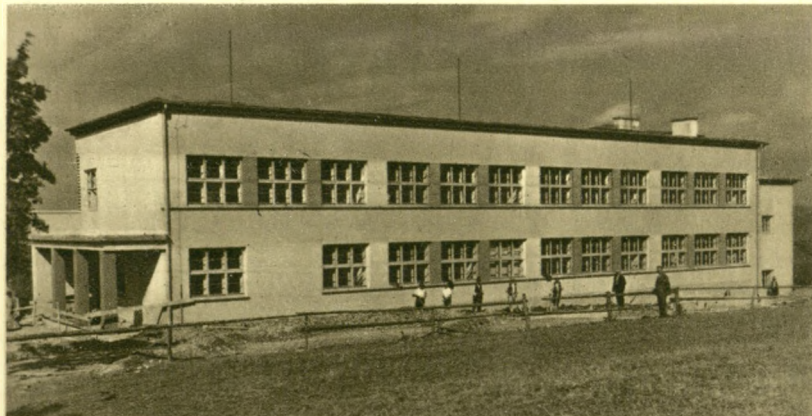


Kościół w Lubczy

i najbardziej zdolnym do ofiarnej walki był robotnik śląski. Robotnik też tworzył najliczniejsze kadry powstańcze, podniecane do walki niejasno jeszcze skryształowaną ideją polskości i nienawiścią do obcej mu narodowo warstwy społecznej, co dotychczas nim rządziła i wyzyskiwała.

Ślązaka nie łączyła z Polską ani tradycja ani wspólnota przeżyć dziejowych, gdyż tych nie było z powodu 600-letniego wyodrębnienia jego ziemi z pod wpływów Polski. Jedynie język był tym łącznikiem. Dlatego też pojęcie polskości nie było u niego tak wysubtelnione i tak głęboko sięgające swemi korzeniami, jak na przykład u powstańców polskich z roku 1863 i czy 1905. A jed-

nakże uczucie to żywione przez niego było tak ogromne, jędrne jakieś, zwarte i prostolinijne, że w rzeczywistości ono było głównym motorem w jego czynie zbrojnym, aczkolwiek wyrosło na podłożu klasowej odrębności. Wylądowało się przez wieki dojrzałe.



Szkoła powszechna w Koniakowie

Poza tem nie mniej ważną rolę odgrywało tutaj uczucie religijne, zagrożone przez Niemców w walce kulturowej, wszczętej przez Bismarcka. Polskość stała się tutaj znowu synonimem atakowanego katolicyzmu, zwłaszcza w okręgach rolniczych Górnego Śląska.

Wszystkie cztery powstania śląskie, jedno na Śląsku Cieszyńskim, trzy na Górnym, są jedynymi powstaniem polskimi o charakterze wybitnie ludowym, a uczestnicy ich składali się w 98 procentach ze Ślązaków.



Melchior Duszka: Koronacja z kościoła w Grzawie

Swój zbrojny trud zakończyli Ślązacy zwycięstwem, aczkolwiek sami nie posiadali stosunkowo odpowiedniej ilości inteligencji, któraby im ułatwiała walkę. Młodzież śląska bowiem, kształcząca się na Górnym Śląsku jedynie w niemieckich szkołach średnich i wyższych, przeważnie ulegała germanizacji. Nieliczne tylko jednostki oparły się procesowi wynaradawiającemu i pozajmowały wyższe miejsca w wojującym społeczeństwie śląskim. Lepiej przedstawiały się stosunki na Śląsku Cieszyńskim, gdzie z gimnazjum polskiego w Cieszynie i z gimnazjum realnego w Orłowej wyszły całe zastępy rodzimej inteligencji. Cechuje ją — podobnie jak inteligencję górnośląską — jakaś młodość i świeżość uczucia patriotycznego, ogromna żywotność, ruchliwość, prostolinijność i szczerłość. Współczesny Ślązak wprowadza w kulturę Polski cenny nabytek, przejmując ją z wdziękiem ciekawego dziecka, szybko przy-

swaja, przetrawia i tworzy nową, odrębną, mocną i zdrową. Żeby użyć porównania, możnaby powiedzieć, iż współczesna kultura polska na Śląsku ulega temu samemu procesowi, co kultura anglosaska w Ameryce. Ze środowiska chłopskiego czy robotniczego wyrasta nowy typ polskiej inteligencji, zajmującej już dzisiaj wybitne stanowiska na katedrach uniwersyteckich w kraju i zagranicą, w sztuce plastycznej, muzyce, literaturze i administracji państwowej.

Ślązak, jeżeli go przenieść poza granice Śląska, zyskuje rychło przychyłość swego otoczenia, uważany bywa — jeżeli to robotnik — za człowieka solidnego, pracowitego i spolegliwego, któremu można poruczyć każdą, choćby najbardziej odpowiedzialną pracę, wymagającą rozzarnienia. Inteligencja śląska zaś, zwłaszcza z Cieszyńskiego liczniejsza od górnośląskiej i wywodząca się już z drugiego pokolenia, cieszy się niemniej zasłużony sławą i do-



Koronacja M. B. ze Starego Bierunia

brą opinią wśród społeczeństwa polskiego. Znaleźć ją można w całej Polsce na odpowiedzialnych i czołowych stanowiskach w przemyśle, handlu, w instytucjach samorządowych i bankowych i t. p. jako ludzi pracowitych, rzetelnych, powszechnie lubianych i cenionych.

Śląska młodzież akademicka, znów liczniejsza ze Śląska Cieszyńskiego, zorganizowana przedewszystkiem w historycznym Stowarzyszeniu Studentów-Polaków ze Śląska Cieszyńskiego Znicz, jakoteż

co rok liczniejsza młodzież akademicka górnośląska, która idzie razem z „Cieszyniakami“, stanowi ciekawy zespół wśród innej młodzieży akademickiej. Garnie się solidarnie do pracy ideowej, urządza rokrocznie Akademje śląskie w Krakowie, Lwowie, Poznaniu i Warszawie (do Wilna i Lublina prawie że już nie dociera) uczy się zawzięcie z tym wrodzonym Ślązakowi uporem, poważna, zrównoważona, mało skłonna do uczestniczenia w typowych studenckich demonstracjach politycznych czy innych, mniej impulsywna od reszty młodzieży polskiej — tworzy zdrowy trzon polskiej młodzieży akademickiej. Jest raczej trzeźwo patrząca na świat i życie, aniżeli zapalna i kierująca się masowymi nastrojami, krytycznie nastawiona do wszystkiego, co przychodzi do niej z zewnątrz. Jeżeli to „przychodzące do niej z zewnątrz“ trafi jej do rozumu, wtedy trafia jej i do serca, a wówczas staje się dopiero entuzjastką i upartym a wytrwałym bojownikiem o jakąś szczytną ideję. Legjony, powstania, współudział w ochotniczych oddziałach w czasie wojny polsko-bolszewickiej, praca społeczna na gruncie życia akademickiego i w instytucjach kulturalno-narodowych — to dziedziny, gdzie wyladowuje swoją młodzieńczą, twórczą energję. Umiłowanie zaś swojszczyzny śląskiej jest u niej wielkie, uważające ów regionalizm śląski jako podłoże realnie i trzeźwo a szlachetnie pojętej miłości Ojczyzny, o której jej ojcowie tak długo śnili i dla niej u siebie pracowali.



Górnicy w Święto Barbarki, swej patronki.



Dom wiejski w powiecie rybnickim

ROZDZIAŁ DRUGI

KULTURA MATERJALNA



*Brama przy kościele
w Komorowicach*

Ślązak nie posiada może tego polotu twórczego w zakresie sztuki i zdobnictwa, co lud podhalański czy łowicki. Cechuje go zmysł praktyczny, co jest powodem, że jedynie przedmioty stanowiące dlań bezpośrednio korzyści uważa za godne zdobienia. Niema u niego naprzykład owych typowych dla wsi łowickiej czy krakowskiej wycinanek czy słomkowych ozdób. To nie przedstawia dla niego żadnej realnej korzyści. Jedynymi przedmiotami, którym poświęca uwagę i zdobi je, to odzież, sprzęt domowy i naczynia. W Jabłonkowie tylko — dziś nie naszym — możnaby znaleźć kolorowe nalepianki z papieru, służące do ozdoby ścian i obrazów w pokojach.

» 137 «

Mimo tego jednak sztuka ludowa, ograniczająca się do wspomnianych przedmiotów, jest bardzo bogata. Objawia się przede wszystkim w stroju kobiecym wałaskim, w wyszywaniach i haftach na żywotku i w koronkach szydełkowych i tiulowych u naczózków czepkowych, oraz w zdobieniu w barwne ornamenty „tróweł“, „olmaryj“ i „kolebek“, a posiada tak wielkie mnóstwo motywów i tyle artyzmu w doborze kolorów i ujęciu ich w precudne prymitywy, że chyba żadna dzielnica Polski nie może się czemś podobnym poszczycić.

Że o tej sztuce jeszcze głucho w Polsce, że skupia się ona jedynie na drobnym terytorjum i jakoby w ukryciu, i że jeszcze nikt nie pokusił się o wydobyć jej i wyprowadzenie w szeroki świat — czyni wrażenie, iż jest niepomiernie ubogą i bez większej wartości. Polska kulturalna nie wie jeszcze dzisiaj o jej istnieniu, a wielka szkoda, gdyż jest to twórczość ludowa najbardziej oryginalna o wybitnym charakterze polskim. Wytworzyła się ona w ciągu wieków nie zasilana w swym rozwoju ani wpływami Polski, gdyż znajdowała się poza niemi, — ani wpływami przodujących warstw kulturalnych Śląska. Skazana była na samodzielny żywot. Od Polski odgraniczała ją nieprzebyta miedza, szlachta śląska zaś, mogąca ją zasilać



Izba górnośląska w Muzeum Śląskiem

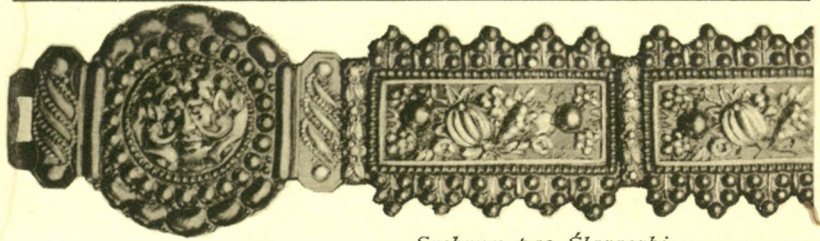


Spichlerz w Simoradzu

swą inwencją twórczą, nie mogła tego czynić, gdyż była obcą ludowi i plemiennie, i duchowo. Zresztą rychło wymarła jak i Piastowie śląscy.

Istnieją wprawdzie drugorzędne wpływy, idące na Śląsk przede wszystkim z południa. Zauważyć to można w kulturze materjalnej i w słownictwie pasterskiem górali beskidzkich, przechowujących ślady kultury wołoskiej. W kulturze „dolańskiej” zaś — być może — dopatrzeć możnaby się na upartej jakichś dalekich wpływów, sięgających od Adryjatyku poprzez południową Słowiańszczyznę, Węgry, Rumunję, Słowaczczyznę w doliny podbeskidzkie. W takim wypadku uległy one tutaj zupełnej przemianie twórczej. Moznaby raczej przypuścić — a co jest bardziej prawdopodobnem — że szły odwrotną drogą: ze Śląska po Adryjatyk, gdyż o ile na tej przestrzeni można znaleźć w sztuce ludowej jakieś wspólne cechy, to na Śląsku rozwinęła się ona najbujniej, jest najbogatszą i najbardziej zbliżoną do sztuki oficjalnej.

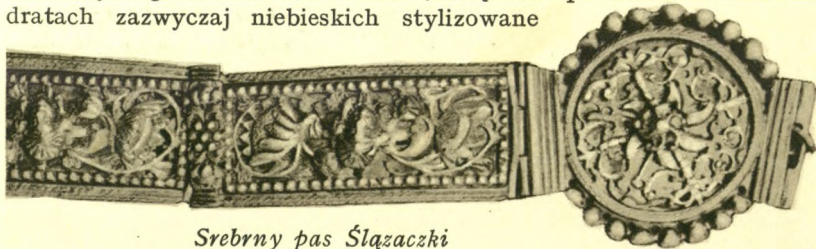
Zaniedbanie kulturalne Polski w stosunku do Śląska jest usprawiedliwione warunkami politycznymi. Upredziali nas wtedy Niemcy i Czesi, skwapliwie matkujący kulturze śląskiej na przekór jeden drugiemu. Inteligencja śląska zaś, nieliczna zresztą, wychowywana była w szkołach austriackich i pruskich w zupełnej obojętności dla



Srebrny pas Ślązaczki

twórczości ludowej. Dopiero w ostatnich latach przedwojennych i powojennych rozbudzony śląski ruch regionalny mający na celu kultywowanie jej i wprowadzenie w dorobek kulturalny całej Polski, wszczął zbożną pracę. Zbiera się pieśni ludowe, w czym ogromną zasługę posiadają robotnik górnośląski Walis, ks. Londzin, Cieńciała i Bystrzeń; nauczycielstwo śląskie wyławia motywy zdobnicze z tróweł i strojów, wyszukuje skrzętnie wszelkie ich okazy i gromadzi w muzeach cieszyńskim i katowickim; w szkołach na lekcjach rysunków i robót ręcznych wykorzystuje motywy ludowe, wydaje kwartalnik regionalny „Zaranie Śląskie” trudzi się ofiarnie często-kroć niedoceniane w swym wysiłku, chroni resztki cennych za- bytków przed zupełnym zatraceniem. To wszystko jednak dopiero początek pracy. Dużo bowiem jeszcze czasu upłynie zanim polski świat artystyczny zainteresuje się śląską sztuką ludową i wykorzysta ją w tym stopniu, co sztukę podhalańską i inne.

A tymczasem po strychach i komorach chałup śląskich butwieją i niszczeją przepyszne „trówły”, zamczone skrzynie z podwójnymi wiekami i przyskrzynkami, zdobione na bocznych i licowych ścianach cudnymi ornamentami od najprostszycch prymitywów aż do skończenie artystycznych malowideł ręcznych, zdobionych w stylizowane liście, kwiaty i ptaszki, o nieprzebranem bogactwie moty- wów i oryginalnych pomysłów. Obok tróweł pyszną się — rza- dziej już — wdzięczne „olmaryje” czyli szafy i „kolebki” dziecięce, niemniej bogato malowane w róże, wiązanki palmetowe i w kwa- dratach zazwyczaj niebieskich stylizowane



Srebrny pas Ślązaczki



Ślązak się nie frasuje

Podbeskidziu małopolskiem.

W architekturze świeckiej Śląsk nie posiada swego wybitnego wyrazu. Znajdując się na rozdrożu, gdzie krzyżowały się wpływy polskie, czeskie, niemieckie, słowackie i węgierskie, nie potrafił wytworzyć swego odrębnego stylu w budownictwie drzewnym, jak na przykład na Podhalu. Chałupy beskidzkie z fryzowanymi szczytami i z da-



Strojnisia

jak w Cieszynie, Bielsku, Tarnowskich Górach zachowały się na rynkach sklepione „podcienia“, a w — czeskim dziś — Jabłonkowie do ostatnich czasów istniały one przy domach dokoła rynku.

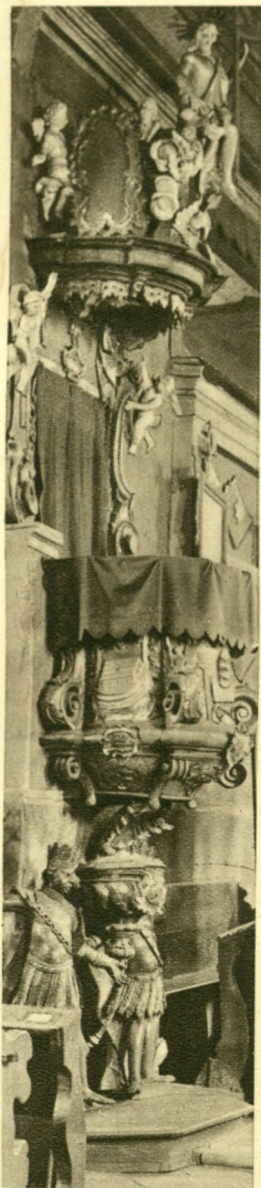
W architekturze kościelnej sztuka ludowa znalazła swój najpełniejszy wyraz w licznych kościołach drewnianych rozsianych po całym Śląsku na przestrzeni odpowiadającej prawie ściśle terenowi zajętemu przez zwarty blok etnograficznie polski. Jest to już tylko szczyłek dawnej śląskiej architektury drewnianej, której

rośliny. W Beskidach zaś do dzisiaj wypalają górale w łyżnikach, stołkach i czerpakach przeróżne ornamenty, posługując się rozpalonym drutem, lub też wystrugują i wycinają na nich ozdobne gwiazdne kompozycje. Ceramika śląska posiadała ornamenty modelowane wypukło na powierzchni naczyń, typem i układem przypominające koronki. Obrazy na szkle zaś bogato reprezentowane w chałupie śląskiej techniką i wykonaniem nie odbiegają od tego rodzaju obrazów na Podhalu czy na

chami, z czołowym dymnikiem i „podcieniami“ posiadają wprawdzie swoją odrębną cechę architektoniczną, lecz nigdy o takim zdecydowanym charakterze jak chałupy podhalańskie. Starsze „murowanice“ zaś, jak zabudowania dworskie i gospody przydrożne posiadają piękne dachy o podwójnej kondygnacji, w niektórych miastach znowu



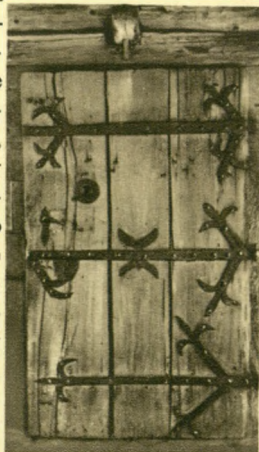
Starosta weselny



*Kazalnica w kościele
międzyrzeckim*

walory artystyczne wynikię z duszy narodu przed tysiącem lat utrzymały się drogą dziwnego plemiennego atawizmu i tradycji mimo odcięcia tej ziemi od pnia macierzystego. Rozrzucone w okolicach rolniczych między zbożami i lasami, na kępach wśród okola starych lip, dębów lub wiązów, otoczone parkanem uczynionym z grubych bierwion nakrytych daszkiem gontowym, wszędzie zwrócone swem prezbiterjum na wschód — kościółki te ożywiają ziemię śląską, nadają jej charakter jakiejś słonecznej, łagodnej ciszy, urzekają wędrowca patyną minionych wieków, stanowią symbol polskości.

W okręgach przemysłowych wypiera je murowana „katedra“ wiejska, bo wzrastająca ludność nie mogła się w nich pomieścić; gdzieindziej znów zgryza je czas, trawia częstokroć pożary, lecz wiele z nich ostało się jeszcze po dziś dzień, chronione już przez wojewódzki Urząd Konserwatorski. Identyczne są one z drewnianymi kościołami w Polsce, nie wykazując żadnych obcych wpływów czy śladów. Budowane są z pni sosnowych lub jodłowych w sposób właściwy polskiej ciesiołce o ścianach z lekko ociosanych okrągłaków, wiązanych w rogach w „jaskólczy ogon.“ Człowiek przejął tutaj typ własnego domu na mieszkanie dla Boga. Najczęściej bywają jednonawowe. Od północy przytula się zakrystja, dachy siodłowe są wysokie, kryte „szędziami“ czyli gontami,



*Boczne drzwi kościoła
w Syryni*



Dwór ziemiański w Górkach Wielkich

przyciesia zaś spoczywające na płaskich kamieniach chronione bywają „sobotami“ przed deszczem. Starsze kościoły poznać po tem, że wieża ich stoi osobno, samotnie. Dwuwieżowych kościołów nie ma. Zakończenia wieży istnieją dwojakie: albo siedzi na nich szpiczasty dach namiotowy, albo też dach ów pod wpływem baroku zaopatrzył się w cebulasty hełm z przeźroczą latarnią. Wieże te przejęte zostały w całości ze średniowiecznych zameczków piastowskich, gdzie pełniły służbę strażnicy. Kościółki zaś — to stylizowane kasztele, z którymi zresztą i tak wspólnie wywodzą swą nazwę. Według niemieckiego uczonego Lutscha „zakrzepła w tych wieżach słowiańska praforma, która wywiódłszy się z namiotów nomadów, podpatrzoną została przez Egipcjan i przekazana wiekom w murach pylonów.“

W urządzeniu wnętrza uwidocznia się styl epoki, w której kościół budowano. Przeważa jednak barok jako najbardziej ozdobny. W ołtarzach zaś zachowały się jeszcze miejscami średniowieczne tryptyki z polskimi Świętymi o cechach szkoły krakowskiej. Ornamentyka skromna, wybitnie polska, w formie gwiazd, serc i rozet, różniąca się zupełnie od wglębnej ornamentyki niemieckiej, oraz jedynie w Polsce istniejące wezwania — stwierdzają polskość



Rzeźba ludowa

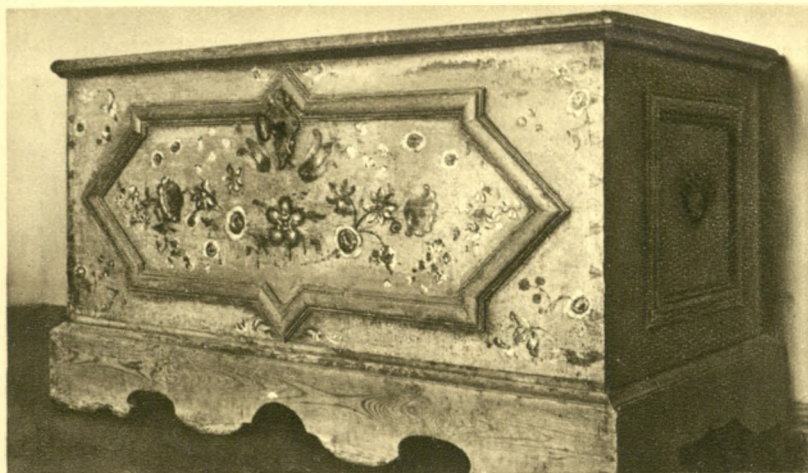
architektury kościelnej Śląska. Poświęcone bywają Matce Boskiej, św. Józefowi, św. Trójcy i Apostołom; patronuje im św. Jan Nepomucen, św. Florjan, św. Jacek, św. Wojciech, św. Czesław, św. Jadwiga, św. Walenty, św. Barbara, św. Stanisław i inni święci zadomowieni w Polsce.

Nauka polska mało dotychczas zajmowała się owym nieocenionym skarbem zabytkowym. I znowu nas ubiegli Niemcy, czyniąc to z myślą, by sztukę śląską przypisać kulturze niemieckiej. Twierdzą więc przeróżni ich uczeni, że w architekturze tej istnieją ślady stylu pangermańskiego czy skandynawskiego, lub że to jest odmiana gotyku, niewielu zaś jest na tyle uczciwych i bezstronnych, że widzą w niej architekturę słowiańską, w ściślejszym znaczeniu — polską.

Nieodparte ich piękno — jak zaznacza dr. Jerzy Dobrzycki w swej monografji p. t. „Kościoły drewniane na Górnym Śląsku“ — polega na umiejętnem pogodzeniu charakteru materiału z względami praktycznymi i celowością, tworząc wartości natury estetycznej. Piękny jest śląski drewniany kościół jako architektoniczna bryła, zwarta i silna; piękne są jego strome dachy, soboty chroniące



Skrzynia z Cieszyńskiego



Skrzynia z Cieszyńskiego

przed wilgocią, przyciesia i te wieże mocno w ziemię zaparte przed uderzeniami wichru. Całość zaś, to obraz skończonej harmonji i rytmu, skarb malowniczości i poezji, rzeźbione pomniki polskości modlącego się w nich ludu śląskiego. Wzdłuż samotnych dróg, na rozdrożach, pod szerokimi „lipami Sobieskiego“ i dębami modlą się stare, nachylone kapliczki, murowane z kamienia polnego, kryte zmurzałymi daszkami z szędziolów. Z wnek ich patrzą w niebo Matki Boskie Boleściwe, frasują się zamyślane Chrystusy w cierniowej koronie na głowie i z szat obnażone, strzegą człowieka przed chorobami i inszemi nieszczęściami święte Jany Nepomuceny, błogosławią polom święte Izydory, mozolące się za pługiem, warują od ognia święte Florjany z płonącemi kościołami u swych nóg, i wiele jeszcze inszych świątków modli się do Boga o szczęsny los dla nabożnego narodu wsiowego. Figury te, rzeźbione przez ludowych artystów z piaskowca lub drzewa gruszowego, pomalowane pstro, pochodzą przeważnie z początku wieku XIX, a pod względem swego charakteru formalnego podobne są do ludowej rzeźby małopolskiej. Dzisiaj znikają z wnek kapliczkowych, przenosząc

*Chrystus frasobliwy z Jankowic*



Misy z Wisły

się do muzeum katowickiego. Na ich miejscach pojawiają się oszklone obrazy święte, zwykle oleodruki, obwieszane papierowymi różami, a czasem w lecie obstawione żywymi kwiatami polnemi.

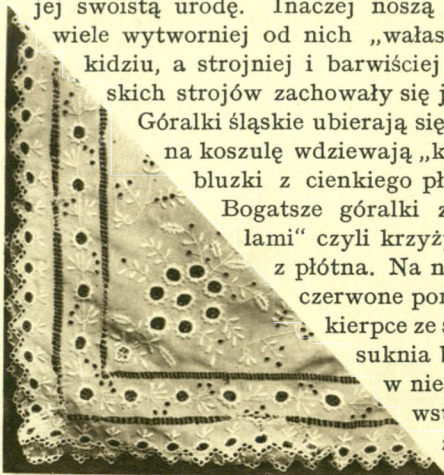
Na obszerną wzmiankę zasługuje ludowy strój śląski.

Kiedy w odpustową niedzielę wyroi się kościół ludźmi, a tłumy rozplyną się szeroką strugą po kościelnej drodze, nie ujrzy się tej barwnej hojności w dziewczęcych i kobiecych strojach, co w takiej podkrakowskiej czy łowickiej wsi. Bo i tutaj człowiek wziął od ziemi jej swoistą urodę. Inaczej noszą się górale i góralki beskidzcy,

wiele wytworniej od nich „wałaszki“ na cieszyńskim Podbeskidziu, a strojnziej i barwiściej znowu Górnoszlazaczki. Z męskich strojów zachowały się jeszcze góralskie i górnośląskie.

Góralki śląskie ubierają się w koszule z domowego płótna, na koszulę wdziewają „kabotek“, podobny do bufiastej bluzki z cienkiego płótna, zwany także „szutką“.

Bogatsze góralki zdobią rękawy kabotka „taczami“ czyli krzyżykowemi haftami. Spodnice są z płótna. Na nogi wciągają długie, zbierane, czerwone pończochy z wełny. Na stopy zaś kierpce ze świńskiej skóry. „Kiecek“ czyli suknia bywa bez stanika, u dołu ujęta w niebieską „galonkę“ czyli szeroką wstążkę. Na głowach noszą czepe z koronkami i „szatki“ czyli chustki, dziewczyny zaś, ucze-



Haft śląski



Rzeźba ludowa
z Dąbrówki

sane na „rozdziół“, nie noszą nakrycia na głowie. W razie deszczu lub w zimie zarzucają na głowy tak zwane „łokutsze“, coś w rodzaju białego obrusa w kwiaty, lub „hacki“; są to duże, grube chusty. Górale zaś noszą lniane koszule, zawiązane pod „lemcem“ czyli kołnierzem czerwoną wstążeczką. Następnie białe „nogawice“ sukienne lub płócienne, na koszuli czerwony „bruclik“ ze srebrnymi guzikami, a na brucliku „gunię“ brunatną, obszywaną u dołu czerwonymi wstążkami. Gunię, chociaż ona z rękawami, nosi się zarzuconą na ramieniu. Na głowie pyszni się czarny „strelak“, na nogach zaś kierpce przywiązane rzemykami. Dawniej jeszcze noszono szerokie pasy skórzane z małymi wypustkami na pistolec, nóż, krzesiwo i fajkę. Chroniły one brzuch górala w czasie walki z wilkami, co się po jego owce zakradły.

Strój wałaski wyróżnia się niezwykłą wytwornością i dystynkcją. Jest to bez przesady jeden z najpiękniejszych strojów ludowych w Polsce, dotychczas jeszcze nieodkryty i niewy-

zyskany, aczkolwiek odznacza się nieprzebranem bogactwem motywów zdobniczych o wysokim poziomie estetycznym. Poza tem jest on tak bardzo „twarzowym“, że każda dziewczyna czy kobieta podbija męskie serca swoją urodą, której nabiera w takim stroju. Inna rzecz, że tak pięknych dziewczyn i kobiet, jak na Śląsku cieszyńskim, trudno by w całej Polsce uświadczyć. Uroda ich jest niejednokrotnie tak subtelna i — że tak powiedzieć — rasowa, że bardzo często bywają posądzane ze strony przybyszów, co po raz pierwszy znaleźli się na Śląsku, iż to są dziewczyny miejskie przebrane po wiejsku. Zresztą i mają po części słuszność, gdyż w Cieszyńskiem i córki i żony inteligencji miejskiej noszą często strój śląski i chętnie w nim pokazują się w słoneczne niedziele letnie na balach i rautach i w teatrze cieszyńskim. Ponieważ wszystka śląska inteligencja pochodzi z chłopów czy robotników, ogromny zaś



Chrystus frasobliwy
w Jaszewie



Kościół w Miasteczku

procent dziewczyn wiejskich kształci się w szkołach średnich w Cieszynie i Bielsku, nie istnieje więc żadna różnica między dziewczyną ze wsi i z miasta. Ta sama u nich uroda, ten sam stosunkowo wysoki poziom intelektualny i ta sama wdzięczna próżność i przemiła załotność, które nadaje im wałaski dystyngowany strój.

Składa się on z szerokiej, fałdzistejsukni granatowej, brunatnej lub i czarnej, obszytej u dołu szeroką niebieską wstążką czyli galonką, a następnie z białego kabotka z krótkimi albo i bufiastymi rękawami i z aksamitnego czarnego lub ciemnoniebieskiego stanika czyli tak zwanego „żywotka“ z



Z ołtarza szafkowego — wiek XIV/XV

przechodzący w dziedzictwie z matki na córkę, a stanowiący prawdziwe arcydzieło śląskiej sztuki ludowej. Która z dziewczyn lub gaździnek nie może sobie pozwolić na taki zbytek przepasuje się szeroką jedwabną wstążką. Strój dziewczęcy dopełnia jeszcze warkocz ze szeroką wstęgą jedwabną, mężatki zaś noszą czepki i chustki jedwabne, wiązane w tak zwany „żurek“.

wyszywane-
mi i bogato
haftowane-
mi motywa-
mi zdobni-
czymi z kło-
sów, liści i
kwiatów. Na
sukni pstrzy
się jedwab-
ny fartuch w
dyskretnych
barwach, ki-
bić obejmu-
je wspaniałe
pas, złożony
lub splecio-
ny z mister-
nie wykony-
wanych zdo-
bionych sre-
brem łusek
i z drobnych
łańcuszków
złoty lub
srebrny —
jest to naj-
kosztowniej-
szy szczegół
stroju, prze-



Brama śląskiej zagrody

Strój ów utrzymuje się, ba nawet rozszerza, docierając w góry i w okolice, gdzie dawniej noszono skromny strój „laski”. I zapewne długo jeszcze utrzyma się na Śląsku. Jest on bowiem tak piękny i tak bardzo wdzięczny, wytworny i szarmonizowany w kolorach, że niedziwota, iż dziewczyny i gaździnki przekładają go nad strój miejski, świadome uroku, jaki wywierają w nim na otoczenie.

Nie tak wytwornym jak malowniczym jest strój górnośląski. Kobiety noszą siedm sukien. Są to: „odziemek“, „wierzchniok“, dwie spodnice, jedna biała, druga kolorowa, „fryzka“, „watówka“, i suknia wierzchnia bogata w fałdy. Na sukni noszą „zopaskę jedwabną“. Jak w stroju wałaskim jest bogaty w gustowne hafty „żywotek“, tak w górnośląskim — „broszlek“. Uzupełnieniem owego stroju jest kilka sznurów koralu ze złotym krzyżykiem, na głowie zaś pyszni się prze-

śliczny koronkowy czepiec z szerokimi skrzydłami lub chustka „purpurka“. Starsze kobieciny noszą zamiast broszleka kaftan, zwany „jakłą“ i odziewają się tureckimi chustami. Mężczyźni zaś noszą spodnie z żółtej skóry jeleniej, tak zwane „jelenioki“



Chłopi górnośląscy

wpuszczone w „kropusy“ czyli buty palone, „kamuzelę“ oraz „kobot“ z granatowego sukna, obszytego czerwonymi i niebieskimi wypustkami i ozdobiony srebrnymi guzikami. Pod szyją zawiązują jedwabną, barwną chusteczkę, na głowie zaś noszą szeroki, czarny kapelusz czyli „kanię“, albo też czapkę „lisicę“.

Jak się wyżej rzekło, strój śląski utrzymuje się mimo niwelującego w tym wypadku wpływu miasta i okolic przemysłowych, zmierzającego, jak zresztą wszędzie, do narzucania ludności ubiorów czy strojów miejskich. Jeżeli pójść w powszedni dzień na śląską wieś, czy w Beskidy, poprawdzie nawet trudno zauważyć, że strój ludowy zachował się w dotyczącej okolicy. Rzecz to zresztą wytłumaczona, jeżeli się zważy, że żaden chyba polski strój ludowy nie jest tak kosztowny, jak właśnie śląski, a zwłaszcza cieszyński czyli wałaski. Jedwabie, aksamit, srebro nie nadawają się na codzień. Zato w słoneczną niedzielę, w jakąś wielką uroczystość kościelną czy narodową, w odpust lub kiermasz, w Boże Ciało, w procesjach i pielgrzymkach do miejsc cudownych, podczas t. zw. uroczystości poświęćki kościoła, a w Cieszyńskim zaś — gdzie stosunkowo duży procent ewangelickiej ludności — w wielkie święta zborowe widzi się nieprzebrane bogactwo stroju śląskiego. Pozornie on bowiem jednakowy, niema jednak wypadku, by jego motywy zdobnicze powtarzały się czy były do siebie podobne. Zwłaszcza w strojach cieszyńskich. Ślązaczki przechwalają się chętnie, że ich strój — to dawny strój odświętny księżniczek śląskich. Ile w tem prawdy — niewiadamo, faktem jednak jest, że mężatka śląska, gaździnka, czyni istotnie wrażenie w swoim stroju nie chłopki, jaką zwykliśmy sobie wyobrażać, lecz raczej podobna ona do zadufalej w sobie jejmości, świadomej swej godności i wartości, nie mającej w swem zachowaniu ani śladu gdzieindziej spotykanego serwilizmu chłopskiego w stosunku do tak zwanych również gdzieindziej panów. Pierwszem uczuciem, jakie budzi widok takiej gaździnki śląskiej u obcego, to szacunek. Jej dostojność, powaga i wspomniana już wyżej świadomość swej własnej godności zniewala częstokroć obcych, nie-Ślązaków, do odzywiania się do niej





Zamek w Grodźcu

przez pani, a co zresztą wcale nie wydaje się tutaj dziwnem, zważywszy, iż lud śląski posługuje się tą formą grzecznościową, jako czemś całkiem naturalnem.

Dziewczyzna śląska zaś, nad podziw wdzięczna i urodziwa, często-kroć o średniem wykształceni u szkolnem, umiejąca strojem podnieść zwykły swój zresztą urok, dowcipna, w miarę zalotna, prosta i szczerza podbija serca męskie, co się na Śląsk zabłąkały przypadkowo. Ta — to już tem mniej zgodziłaby się, żeby do niej przemawiać inaczej, jak przez pani.

Strój męski niestety zanika powoli. Górnoślązacy chętnie się jeszcze w nim poparadzą w wielkie święto, na weselisku lub chrzcinach, poza tem trudno go uświadczyc. Męski strój wałaski całkiem już zanikł. Do tego stopnia zanikł, że nawet w muzeach śląskich nie znajdzie się ani jednego okazu. A jak on wyglądał, wywnioskować można jedynie z dawnych ilustracji i sztychów. Wyróżnia się on przede wszystkim płaszczem z ciemnogramatowego sukna składającym się z właściwego płaszcza i kilku pelerynek, co jedna to dłuższych, z wysokich butów i ciemnego „kłobuka“ o szerokiem rondzie.

Góralski strój męski, najuboższy ze wszystkich strojów śląskich, utrzymuje się dotychczas w niezmienionej prawie formie w Beskidach

śląskich. Górali tych jednak stosunkowo tak mało, że z łatwością możnaby ich policzyć na poczekaniu. Niepowetowana to strata.

Jeżeli przejść Śląsk od Beskidów aż poza Lubliniec, a po drodze zaglądać do mieszkań, zauważy się różnice w urządzeniu wewnątrz



Rwiny zamku w Chudowie

mieszkalnych, zależne od zamożności i poczucia piękna ich ludzi. Najuboższe mieszkania zachodzą się w Beskidach i u proletariatu miejskiego. Najbogatsze — u gazdów na Śląsku Cieszyńskim.

Wnętrze mieszkania góralskiego, aczkolwiek dzisiaj już mniej podobne do wewnątrz mieszkań przedwojennych, posiada jeszcze cechy góralszczyzny. Poznikały już wprawdzie obrazki malowane na szkło, a ich miejsce zajęły oleodruki w ramach i za szkłem, biegnące gęstym



*Św. Anna Samotrzecia
XV w. — Muzeum Śląskie*

rzędem wzdłuż ścian, podparte bieloną listewką, poznikały dawne nalepy z ogniskiem pod szerokim okapem i tradycyjnym kociołkiem, zawieszonym na klucze, i z glinianymi garnkami, poustawianymi wkoło ogniska, poznikały również i dawne olmarje, kolebki i wszelki sprzęt domowy, wytwarzany w domu i zdobiony w domu. Zamiast nalepy jest tam dzisiaj blacha z kominem i piece kafłowe, zamiast ubitej podłogi z gliny białe tarcice, zamiast glinianych garnków emaljowe i aluminiowe naczynia, a na miejsce dawnych sprzętów i mebli w domu sporządzanych, spotyka się już meble wyrabiane przez zawodowych stolarzy na wzór obowiązującej mody, i sprzęt domowy kupowany w składach miejskich. Nawet tradycyjny kołowrotek do przędzy zniknął już częściowo z góralskich mieszkań. Nie opłaci się zresztą dzisiejszemu góralowi na nim wiele pracować. Owiec już bardzo mało hoduje — na palcach można policzyć drobne ich stadka, — a koło lnu także nie opłaca mu się ogawić; może wszystko kupić taniej w mieście: i płótno i bawełniane tkaniny. Ze swego skąpego poletka wydzieli tylko tyle miejsca na len, by mu z niego wystarczyło na wyrób płótna potrzebnego najwyżej na koszule lub galaty.

Mieszkania robotnicze w okręgu przemysłowym posiadają charakter — żeby tak powiedzieć — międzynarodowy. Takie same spotkać można na Zachodzie. O ile nie przeważa wybitnie licha tandeta — a tę znaleźć można jedynie w najuboższych mieszkaniach robotniczych — to widzi się ściany malowane w modne desenie, obrazy oleodruki w złożonych ramach, fotografie w ramach, wyciętych piłeczką, jeden lub dwa obrazy treści religijnej nad łózkami, na podłodze tanie chodniki lub linoleum, meble koniecznie modne z drzewa, imitującego orzech, jesion lub drzewa zamorskie, na komodach lub gablotkach przeróżne figurki i cacka, kwiaty w oknach i kwiaty na stole, a częstokroć na honorowym miejscu aparat radiowy i mniej-

sza lub większa szafka z książkami. Liczne kolonje robotnicze koło kopalni i hut, rozbudowane szczydrze w ostatnich latach, odznaczają się celowymi urządzeniami higienicznymi, posiadają dużo powietrza i słońca, wodociągi i światło elektryczne, ba nawet nieraz łazienki.

Mieszkania chłopu śląskiego zaś prawie że nie różnią się od mieszkań najbardziej kulturalnego chłopu europejskiego, Duńczyka. Mniejszy może tutaj komfort, niż w Danji, mniejsza może schludność w obejściu, bez minjaturowych parków angielskich o strzyżonych trawnikach i krzewach i bez białych ławek pod jabłoniemi i w pękach pelargonij, lecz za to urządzeniem swem w izbie świadczące o stosunkowo wysokim poziomie kulturalnym i materialnym swych właścicieli. Biblioteka, radjo, obrazy, kwiaty, firanki w oknach, chodniki, a przede wszystkim pierzyny — Boże! jakie pierzyny!... — wysokie, grube, pękate, chluba i radość gospodyni, przyszłe wiano jej córek, w całym domu zapach siana, jabłek i razowego chleba — to wszystko

cecha mieszkania gady śląskiego. Ziemię swą uprawia on według zasad współczesnego rolnictwa, stosuje chętnie nawozy sztuczne, drenuje, eksperymentuje, posługuje się najlepszą maszyną; organizuje on Kółka rolnicze, wysyła synów swych do szkoły rolniczej sam niejednokrotnie z ukończonym wykształceniem średnim, pracowity i uparty w swem dążeniu, by skąpą ziemię zmusić do wynagrodzenia mu z nawiązką jego szary trud i wysiłek, jakimi



Oplakiwanie

Rzeźba ludowa z pow. Rybnickiego

ją karmi. W każdej wsi istnieją gospody gminne, dzierżawione przeważnie przez mniejszego rolnika. Niewielki jednak zysk ciągnie z nich dzierżawca i gmina, bo chłop śląski — aczkolwiek za kołnierza nie wylewa — stroni od braci pijackiej. Chętniej on wypije kufel piwa przy nadarżającej się okazji, aniżeli kieliszek wódki. Niedziwota też więc, że pijak we wsi śląskiej zdarza się bardzo rzadko, a jeżeli się już taka gminna zakała znajdzie, co swój majątek w wódce topi, to jest on przedmiotem powszechnej pogardy i pospólnych utyskiwań, i bywa usuwany poza nawias gromadzkiego życia.

Na szczęście mało się znajdzie takich niepodarzonych ludzi między chłopami śląskimi. Warzonka zaś, gotowana na korzeniach, miodzie lub cukrze przez gościnną gaździnkę, używana bywa jako poczęstna gwoli uczczeniu gości, co się w domu z okazji jakiejś uroczystości zebrali.

Za to Ślązak, uważany przez obcych niesłusznie za człowieka skąpego, ściska swój grosz i umieszcza go w swych kasach Raiffeisena lub w Komunalnych Kasach Oszczędności. Nie lubi go trwonić na zbytki, nie szasta nim niepotrzebnie, aczkolwiek z drugiej strony nie skąpi go dla poratowania bliźniego w potrzebie lub dla poparcia swojej Macierzy Szkolnej lub Towarzystwa Czytelń Ludowych czy innych towarzystw o charakterze narodowym lub humanitarnym.

Tak zwanych Domów Ludowych niema prawie na Śląsku. W ostatnich czasach dopiero Tow. Czytelń Ludowych zajęło się ich zakładaniem na Górnym Śląsku. Ślązak wszystkie swoje gromadzkie lub polityczne albo zawodowe sprawy omawiał dotychczas w gospo-



Wisła w okolicy Miedźny



Widok na Cisownicę

dzie gminnej. Po uzyskaniu narodowej niepodległości miejscowa szkoła powszechna otwiera gościnnie swoje przestronne dzwierze, żeby się w niej mogły odbywać zgromadzenia wszelkiego rodzaju z wyjątkiem zgromadzeń politycznych.

Sale szkolne służą też najczęściej do urządzania w nich przedstawień amatorskich. Usuwa się wtedy ławki, stawia wypożyczone ławy i krzesła, buduje improwowaną scenę na katedrze, a kiedy miejscowa młodzież popisuje się swoją sztuką aktorską, widzowie wzdychają rzewnie lub zaśmiewają się serdecznie, zależnie od treści przedstawianej sztuki. Tego rodzaju imprezy są głównym źródłem dochodów przeróżnych stowarzyszeń miejscowych. Czy to Komitet Rodzicielski pragnie urządzić gwiazdkę dla dzieci szkolnych, czy Czerwony Krzyż wysłać chorobliwe dzieci na kolonie wakacyjne, czy Straż Pożarna zamierza sprawić sobie nową sikawkę motorową, lub Macierz Szkolna lub Tow. Czytelni Ludowych rozszerzyć bibliotekę, czy też Związek Młodzieży lub Klub Sportowy kupić nowe przybory sportowe — wszystko to ma swą materialną podstawę w przedstawieniu amatorskiem. Reżyserami zaś, a przede wszystkim inicjatorami, dekoratorami scenicznymi, kasjerami, ba nawet fryzjerami „teatralnymi“ jest przede wszystkim miejscowe nauczycielstwo szkoły powszechnej.

Minie zaś sezon przedstawień amatorskich, a nadejdzie wiosna i lato — przemysłni prezosi przeróżnych miejscowych stowarzyszeń krzątają się żywo koło urzędzenia t. zw. „festynu“ w pobliskim

lesie. Pokażny stąd zysk idzie znowu na cele gromadzkie. Sezon festynowy kończy zazwyczaj uroczysty obchód „dożynek”, zaprowadzony od niedawna na Śląsku.

Nawet zwykłe zabawy karnawału przezwane szumnie balami, wykorzystuje się w celu przysporzenia grosza jakiejś organizacji. Rzadko się na Śląsku zdarza, żeby jakkolwiek zabawa tego rodzaju, połączona z tańcami, miała być inaczej pomyślana, jak gromadzka impreza dochodowa. Właściciel sali tanecznej zadowala się tylko umówioną zgóry zapłatą za użyczoną salę i światło, resztę zaś dochodu ze występów, bufetów i t. p. zabiera dotyczący komitet czy towarzystwo.

I dzięki właśnie tak pojętej i tak zorganizowanej samopomocy nie ma na Śląsku ani jednej miejscowości, w której nie byłoby jakiegoś zrzeszenia, chełpiącego się ze słuszną dumą wspólnym majątkiem, nieraz nawet bardzo sporym majątkiem, stworzonym prawie z niczego. Wyjeżdża na miejsce pożaru Straż Pożarna z motowarową pompą, wyruszy w jakieś święto jedno i drugie towarzystwo z własnym sztandarem, urządza się w szkole gwiazdkę dla dzieci, widzi się w tej samej szkole pękatą szafę z niewielu książkami — bo reszta książek wędruje między czytelnikami, — tworzy się gdzieś na płonych wydmuchowiskach i zapadłych nieużytkach hałdowych czy nadrzecznych obszerne boiska, lub wywozi się w czasie wakacji gromadkę chuderlawych dzieci do Rabki — wszystko to owoc wspólnego wysiłku i wspólnej ofiarności, połączonej z rozrywką. Niedziwota więc, że w sumie to wszystko,



Strój matek w Brzezinach



Strój dziewcząt w Starem Chechle



Chłop z Jastrzębia

myślona, bez względu na to czy ona fizyczna czy umysłowa — posiada dla jej wykonawcy stokroć, ba tysiącokroć więcej szacunku, aniżeli dla ludzi pragnących błyszczeć czemkolwiek innym.

W okresie kryzysu gospodarczego, powodującego bezrobocie, nie narzeka na nędzę, lecz jedynie na brak pracy. Bez niej czuje się człowiekiem nieszczęśliwym. Wychowany w kulcie dla niej od dziecka małego, nie wstydzi się jej, chociaż byłaby ona najbardziej pospolita. Byleby tylko była uczciwa i chleb przynosząca.

I nic dziwnego też, że kiedy dzieci jego, syn lub córka, kształcą się na uniwersytecie, przebywają podczas feryj lub wakacyj w domu, imają się pracy tej samej, którą rodzice spełniają: rozrzucają nawóz w polu, prowadzą pług, zwożą drzewo z lasu, kopią ziemniaki czy żną zboże, doją krowy lub ojców dach naprawiają, inni zaś udają się do fabryk lub kopalni, by jakiś grosz na dalsze studia zarobić. Wieczorem ubiera się syn w frak, córka zaś w wytworną suknię wieczorową i idą naprzykład na jakiś bal reprezentacyjny, o ile to trafi w sezonie karnawałowym, lub choćby na dancing. Niktby ich teraz nie poznał, że to ci sami, co przed kilku godzinami parali się grubą

a więc zdobnictwo, stroje, architektura kościelna i świecka, wysoki poziom kulturalny codziennego życia, zamożność i samopomoc materjalna, wykorzystywana dla celów użyteczności gromadzkiej czynią Śląsk krajem o odrębnym wyrazie, budzącym w obcym człowieku podziw i szacunek dla jego ludzi.

Tę wysoką kulturę szarego dnia i życia zawdzięcza Ślązak wyłącznie swojej pracy. Kocha on bowiem pracę, szczyty się nią, wychwala, człowieka pracowitego zaś szanuje i czczy wysoce, chociażby to był zwykły śmieciarz czy zamiatacz uliczny. Wogóle wartość człowieka ocenia on jedynie według jego pracy. Jeżeli praca ta jest celowa, mądra, zgóry ob-



Góral beskidzki

robotą wraz z ojcem lub matką. Odciski na dłoniach zdradzają ich tyłko, a z czego zresztą są podświadomie dumni, gdyż to pasuje ich na wartościowych ludzi.

I to jest również powodem, że Ślązak, chociażby najbardziej oszlifowany i obyty w salonach, nie będzie nigdy bawidamkiem czy piękno-
duchem, prawiącym wyszukane grzeczności i szermujący obieranemi i słodkawemi słówkami, lecz raczej będzie on tym typowym p i e -
r o n e m, rażącym poniekąd nie — Ślązaków swoją prostotą w obejściu — nie prostactwem, broń Boże!... — i szczerością uczuć.

Owo wyniesienie pracy fizycznej do godności jakiegoś nowocześnie pojętego szlachectwa wywołuje w rezultacie u Ślązaka poczucie własnej wartości, pewność siebie, zadufalność i skłonność do patrzenia z pewną wyższością na wszystko, co nie jest do Śląska i jego rzeczy podobne. Ślązak urażony bywa kanciasty, lecz zbliżyć się do niego z sercem na dłoni — wtedy można go do rany przyłożyć. Przypisywana mu czasem a niesłusznie cecha separatyzmu czy skrajnej dzielnicowości, to tylko objaw jego trzeźwego stosunku do szarego życia.



Zawsze troska o dzieci, o chleb



Wnętrze starego kościółka w Mikolowie

ROZDZIAŁ TRZECI

KULTURA DUCHOWA



*Matka Boska
z Gołkowa*

Ziemia śląska jest tak bardzo piękna, tak bardzo podobna do tego uśmiechu zamyślonej dziewczyny młodej, iż niedziwota, że zamieszkał ją nie tylko człowiek, ale całe grono przeróżnych duszków i bożąt. Zaludniły one rzeki i stawy, zadmowały się po cienistych wądoczach leśnych i na moczarach, pomiędzy szumiącymi zbożami w upalnym słończku, pod ziemią nawet szukają zakątka cichego, czasem tylko na ten świat boży wychylając spojrzenie.

Wszędzie było ich pełno.

Zżyły się z ludźmi i wielkiej krzywdy nie czyniły człowiekowi. Częstość za pan-brat z nim bywały, pozwalały się widzieć w pewnych miejscach i chwilach, a jeżeli się zdarzyło, że komuś jakąś „paskudę“ wywiodły, to ludzie nie gniewali się zbytnio o to. Nawet sam pokrzywdzony, kiedy prerażenie z niego opadło, zaśmiewał się nieraz

do łoż i radował poniewoli, boć mógł innym opowiadać w czas długich wieczorów zimowych, na szkubaczkach lub w gospodzie przy kuflu piwa. A słuchający ludkowie dziwowali się wielce i w głos cudowali, i cmokali z zachwytu, i głowami kiwali z niedowierzenia, a co



Święty Patron czuwa nad miasteczkiem

raz któryś z nich zauważył: „Nale wiecie, ludeczkowie złoci! . . . Tobych nie był powie-dzio! . . .“ „Nale kumedyja grejcarowo! . . .“ Prawdę mówiąc, to już dzisiaj nikt nie wierzy w tamten świat śląskiej mitologii. Postacie te jednakże żyją jeszcze w opowiadaniach matek w czas zimowych wieczorów, ludzie chętnie wspominają, jak to „mamulka, Boże im dej radowanie wieczne, opowiadali, że“ . . ., lub jak to „nieboszczyk starzy-czek“ na własne oczy widzieli utopca, jaroszka lub inakszą stworę. Postacie owe traktują jako istoty przez ich przodków wymyślone, a które dzisiaj przeszły w zaczarowany świat bajki, słuchanej chętnie nawet przez starszych. Każda z tych postaci żyje w owych powiarkach swoim odrębnem życiem, ma te same troski i mierzączki, co każdy człowiek. Słuchając tych przemiłych bajd — odnosi się wrażenie, że Śląsk i jego ludzie — to jakaś reminiscencja pogodnej a słonecznej Hellady wraz z jej bóstwami, faunami i herosami, którzy z Olimpu przenieśli się na ziemię beskidzką.

Do najbardziej popularnych postaci mitologicznych na Śląsku należą utopiec, zwany także „rokitką“. Podobny jest do małego



Przy każdej drożynie Boża Chwała

chłopczyka, siedzącego na dnie Olzy lub Wisły, albo też w stawach w „Żabim kraju“ koło Strumienia. Nie lubi miejsc płytkich. W dzień pogodny, kiedy słonko praży, wywleka swoje pierzyny z głęboczyny i rozściela na brzegu, żeby je ususzyć. Na głowie nosi czerwoną czapkę, pod czapką szczyrzy się chytra małpia mordka, z pod niedopiętego czerwonego kaftanika zwisa ciężkie brzuszysko, a cienkie nóżki, zakończone kopytami, chwieją się pod nim z wysiłku. W błoniastych paluchach wygrywa czasem na fujarce lub wybiera z pod kaftanika różne wodne robaczki i pijawki, co mu srodze dokuczają. Lubi głębokie wody, których dna trudno najdłuższą żerdzią zgruntować. Kąpiących się śmiałków porywa za głowę w wodzie, zapłacze im ręce i nogi w podbrzeżnych korzeniach i wodą dławii. Czasem urządzają i weseliska, kiedy rzeka wzbiera. Płyną wtedy na poobalanych drzewach, wrzeszczą, baraszkują i dokazują, a gdy zobaczą człowieka, znikają wrozbełcie wody „na amen“.



Św. Jan Nepomucen

wloką go za sobą, wymierzają, kołują, zawracają; bez głowy, a z karku bucha ich wiecheć płomieni. Przebiegają swoje dawne „państwo“ od końca do końca, jęczą, narzekają, szukając ludzkiego poratowania.

Nocznice czyli klękanice wałęsają się gromadami w czas ciemnej nocy po barzynchach i topieliskach. Ukazują się zaraz z wieczora, gdy dzwony na Anioł Pański czyli klękanie odzwonią. Biegają chybko w kształcie drobnych, niebieskawych płomyczków, zwodzą pijaków i zabłąkanych podróżnych na manowce, tytłają ich w błocie i wciąż wołają: — Pódź! pódź!... Czasem zupełnie go zamorza, czasem „smykają“ aż do białego rana, pozostawiając go zmordowanego, zbłoczonego, z obłąkaniem w oczach.

W razie przeludnienia w jednym stawie, stary utopiec zabiera swoją babę-utopculę i dzieci-utopczeńta i przenosi się w deszczową nockę do innej rzeki.

Chłopy ogniste — to pokutujące dusze tych panów, którzy krzywdzili chłopów, worując im się w pola. Biegają one teraz po miedzach z ognistym łańcuchem,

Mory czyli sotony nachodzą ludzi po nocach, kiedy są w głębokim śnie pogrążeni i cyskają z nich krew. Są to najzłośliwsze stwory. Jak one wyglądają, trudno powiedzieć, bo ich nikt jeszcze nie widział.

Strzygonie — są to zmarłe dzieci nieochrzczone albo też ludzie niesamowitemi mocami obdarzeni, mający na plecach znak nożyc. Potrafią oni postrzyc ludziom ubrania samem tylko patrzeniem.

Połędnica usypia żniwiarzy, co się pokładli do snu w samo południe, lub też nachodzi parobków, pasących konie po nocy. Przychodzi niewidoczna i zaczyna czarować: — Śpisz!... śpisz!... Wtedy człowiek w okamżeniu zasypia, a połędnice depcą po nim i tarmoszą go.

Duszyczki wychodzą na świat boży, kiedy już ludzie posną i czynią leciuchny szelest na podłodze i pod ławami, a gdy się człowiek zbudzi, przycupną pod ławą i cichną. Krzywdy żadnej nie czynią.

A że to biedne maleństwa, więc litościwa gaździna zawsze przed udaniem się na spoczynek, zamiecie podłogę, żeby która z duszyczek nie zbiła sobie palca u nogi na słonce lub głowy nie przypadła.

Bieda siedzi najczęściej w pustym garnku na nalepie lub też w piecu, kiedy jej krzywda się dzieje.

Meluzyna — to jakaś „morska panna“, co pojawia się nad światem, kiedy nadejdą deszcze jesienne. Szuka wtedy swoich pogubionych dzieci, płacząc i zawożąc w kominach.

Jaroszki, takie małe djabełki, pilnują po lasach i wądolcach zako-



Przy każdej wsi stara kapliczka

panych skarbów zbójnikowych, przesypując je zlekka małą łopateczką i susząc w niebieskawym płomieńku.

Podciepy nachodzą się u tych ludzi, co nie strzegli swojego dziecka nieochrzczonego jeszcze. Przychodzi wtedy zły duch kominem, porywa takie dziecko z kołyski, a na jego miejsce podrzuca swojego bękartą. Wtedy krzyż z takim nabytkiem! Brzydkie to, jak poczwara, wrzeszczy bez przerwy, niechlujne jest i żadnej ludzkiej mowy nie może się nauczyć.

Śpiące wojska znajdują się we wnętrzu każdej większej kępy czy góry śląskiej. Są to wojska świętej Jadwigi, co poległy pod Lignicą, czasem są to husarze Sobieskiego, co pod Wiedniem swe życie pokładli, lub miejscami mają to być Szwedzi, co w czasie wojny trzydziestoletniej na Śląsk przybłąkali się i tutaj na cholere pomarli. Wojska Sobieskiego znajdują się pod Czantorją w Beskidach.

Rosną na Śląsku lipy krwawiące, które nie sposób ścinać, bo wtedy krew z nich cieknie aż do zachodu słońka. Pod Godulą w Beskidach żyje olbrzymi król węży, żab i jaszczurek, złotogłowiec, ze złotą koroną na głowie.

W okręgach przemysłowych nie istnieją tego rodzaju powiarki. Jedynie starsi górnicy opowiadają młodszemu „fuksom“ o duchu Skarbniku, albo Pusteckim — jak go nazywają w kopalniach karwińskich, który nikogo nie ukrzywdzi, chętnie w pracy dopomoże i przed nagłą śmiercią ustrzeże.

Wiele z tych powiarek, to szczątki dawnych, średniowiecznych romansów rycerskich, które dziwnym trafem na Śląsk przez jakichś wędrownych rybaków zabłąkały się, gdy jeszcze Piastowie żyli, a lud je przechował u siebie, ożywił i pokoleniom przekazał.

Ziemia śląska bogata jest

także w przeróżne legendy o zatopionych miastach, gdzie dzisiaj wielkie stawy belkocą, a czasami z dna ich daje się słyszeć żałośliwe dzwonięcie dzwonów kościelnych; i o białych damach, co i nocami błakają się w ruinach zameczka w Chu-



Na odpuszcie w Cieszyńskiem

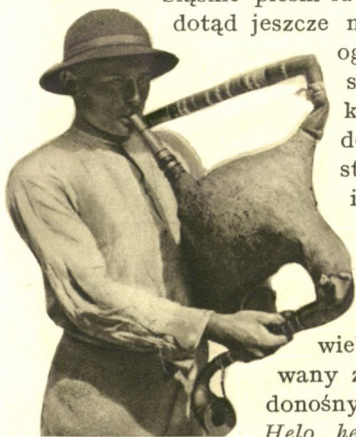


Kościół w Syryni

dowie na Górnym Śląsku; i o Czarnej Księżnie, co ją ziemia po śmierci nie chciała przyjąć, więc złożono ją w trumnie na wóz, zaprzężony w cztery czarne woły i pognano je samopas. Woły zapadły się ze zwłokami Czarnej Księżnej w Cierlicku, gdzie dzisiaj wznosi się kościół; lub o tych trzech braciach Piastowiczach, co znaleźli się po długiej wędrówce na miejscu dzisiejszego Cieszyna, gdzie założyli miasto Cieszyn. Prześliczna legenda opowiada także o zbójniku śląskim Ondraszku, co swobodę ponad wszystko umiłował, zabierał pieniądze wielmożom a rozdawał ubogim, a przedewszystkiem zabierał dukaty węgierskie z żydowskich skrzyń zamczystych na Słowaczyźnie i przechowywał na Łysej Górze w Beskidach, by za nie ufundować kościoł na Mizerowie przy Frysztacie. Nie ufundował go, bo jego druh, co się zlakomił na nagrodę cesarską, zabił roztomilego Ondraszka, pieniądze zaś jego zapadły się po wieki, amen. I do dziś dnia pokazują jaskinię w Beskidach, gdzie się Ondraszek ukrywał i gdzie pono spoczywają pękate beczki złota i drogich kamieni, przywalone olbrzymiemi głazami, na których ogromna ropucha siedzi i strzeże Ondraszkwych skarbów. Jest jeszcze wiele, wiele innych legend, choćby wymienić taką lipę w Kokoszycach z wodą o cudownych własnościach, lub studzienkę w Jankowicach, lub Górkę Klemensową koło Bierunia, świętą górę pogańskich Ślęzan, gdzie wznosi się dzisiaj kościół św. Klemensa.

PIEŚNI.

Śląskie pieśni ludowe, to bogaty dorobek poezji ludowej, dotąd jeszcze niezupełnie opracowany. Temat ich jest ogromnie bogaty. Poczawszy od pieśni pasterskich z ich charakterystycznym helokaniem, poprzez pieśni miłosne, weselne, dożynkowe, pobożne, świeckie, humorystyczne aż do ballad i kolend śląskich i do pieśni żołnierskich i sierocych skarg, poprzez wszystkie te „pieśniczki“ o melodji nieznaney gdzie indziej, przewija się bogaty wątek żywobycia Ślązaka. Po groniach i miedzach przedchodzi człowiek dwuśpiew pasterski, częstokroć podawany z jednego szczytu na drugi i wspierany donośnym głosem trombity góralskiej:
Helo, helo-oo! helo dziouoszko . . . !



Kobziarz



Młodzi Istebniacy

Z pieśni pogrzebowej zaś szczerzy zęby drwina nawet z śmierci:
Umrzyła gorolka, gorol był rod, gorol był rod, gorol sie śmiał,
Jeszcze ji po śmierci na huślach groł.

Do najpiękniejszych pieśni beskidzkich należy poważna a smętna pieśniczka góralska, w której pięknie odmalowany góral i jego świat:
Szumi dolina, szumi groń, pasie tam owce miły mój.

A niechże tam pasie, gdy je mo, niech go tam Pónbóg pożegno!...

Jest i pokrewna pieśń góralska, sławiąca zbójnicką swobodę ondraszkową. Zaczyna się od słów wyrażających tęsknotę za wolnością:

Ej swoboda, swoboda, swobodziczka,

Co mi wykłodała mamuliczka,

Jeszcze mnie w kolebce kolebała,

Już mi o swobodzie śpiewowała...

Jest dużo pieśni jowialnych jak na przykład o rechorce, co poszła do Cieszyna a kazała rechorowi doić krowy doma, i tym kumorze, co z drzewa spod, i o rannijszych roratach, i o kaczycach za stodołą i jeszcze wiele innych. Bogaty jest dział pieśni ballado-

Helo, helo, dziouszko, jak sie tobie pasie?...

Helo, helo-oo!...

wędruje ponad dolinami miłosne wdzięczenie się i przymilanie. Nawiązuje się słodkie miłowanie, lecz niedługo ono trwa. Zawiedziona dziewczyna bezradna w żalności szeptem nuci żałośliwie:

Świecie, świecie, świecie marny,

Odeszoł mnie synek szwarny...

Towarzyski jej zawodzą zaś litujące się nad dolą nieszczęśliwej:

Szła dziewczeczka przez wodę,

przez zieloną zagrodę.

Jak wodziczki nabrała,

żałośnie zapłakała...

W pieśni weselnej zawodzi młoda męzatka niepocieszona po świeżej stracie:

Zaszeł miesięczek za las malinowy,

Straciłach jo wioneczek rozmaryjonowy...



Pas góralski z Koniakowa



Wiosna na Śląsku

wych, wspólnych treścią balladom w całej Polsce. Najradziej bywa śpiewana ballada o trzech Turkach, przekrasnych młodzieńcach, co w drzewo jaworowe cięli, a drzewo zapłakało i przemówiło. Następnie znana wszędzie ballada o ludowym królu Learze, co miał trzy córki, a żadna go nie chciała, prócz tej najmłodszej, a którą był sam poprzednio ukrzywdził; o pani, co zabiła pana; potem o panu, co zabija niewierną żonę; o dziewczynie, co truje brata; o niewiernej kochance i wiele innych.

Pieśni te nie były dotychczas znane w Polsce. Powoli jednak zaczynają je odkrywać polscy kompozytorowie, a urzeczeni ich krasą, wprowadzają je powoli w repertuar polskich pieśni ludowych. Proces ten jednak odbywa się powoli, wskutek czego na tem polu, pozwoliliśmy się uprzedzić Czechom, co nietylko swoje, nieliczne zresztą pieśni morawskie na Śląsku opracowali, i wprowadzili do sal koncertowych i radja, lecz i nasze polskie pieśni ludowe na Śląsku zaanektowali dla siebie, zmieniając ich gwarowy tekst polski na morawski.

MOWA.

Dziwnie piękną jest gwara śląska. Pominąwszy naleciałości niemieckie i czeskie, które wkradły się w mowę Ślązaka, a które tak łatwo usunąć i zastąpić wyrażeniami gwarowemi, nic nie uchylbia jej urodzie. Zapytać o coś napotkanego gazdę, odpowie ci językiem, w którym ongiś Mikołaj Rey swój „Żywot człowieka pościwego“ spisywał. Ma się wtedy wrażenie, że ktoś przed tobą stary foljał o pergaminowych kartach roztworzył i czyta ci z nich językiem, którym ludzie w Polsce przed wiekami mówili, językiem dostojnym a na-

maszczonym, bo po Piastach w spadku otrzymanym. Jest to jedyna gwara polska niemazurząca i dlatego też może — jak pisze Prof. Nitsch — Śląsk jest bodaj jedyną w Polsce dzielnicą, w której narzecze ludowe nie zostało zepchnięte do roli pogardzanego kopciszka, zrzadka tylko i sztucznie przywoływanego do artystycznego pokazu; tu żyje ono jeszcze nieraz w swobodnej mowie ludzi wykształconych. Narzecze w Cieszyńskim, mniej zachwaszczone germanizmami, posiada wszystkie cechy archaicznej mowy polskiej; narzecze zaś na Górnym Śląsku wyróżnia się od cieszyńskiego twardszą wymową niektórych spółgłosek oraz zamianą końcówki „ę“ na samogłoskę „a“. Mówią więc w ten sposób: „Jo pójda na woda bez droga i przyniesia z sobą trocha.“

NAZWISKA.

Odrębną a niezmiernie ciekawą pozycję w językoznawstwie stanowią nazwiska śląskie, różniące się mocno od nazwisk w innych dzielnicach Polski. Bardzo wiele z nich powstało z imion własnych, tak że dzisiaj mamy na Śląsku przeróżnych Barteczków, Janeczków, Morcinków, Kubiców itp. Wywodzą się z pokrewieństwa rodzinnego, jak Chowaniec, Szura, Dziadek, Stryczek, — następnie z rzemiosła, którem dotyczący człowiek się parał, dużo przypomina pańszczyznę i prace z nią połączone, wiele jest wziętych od miejsca zamieszkania, tyśiące ich powstało od przymiotów i właściwości ciała, niektóre z nich wskazują na cechy psychiczne pierwszych ich właścicieli. Wszędzie przeważają



Dożynki w Cieszyńskim

tutaj formy proste, pierwotne. Nazwisko śląskie wykazuje brak kulturalnych wpływów Polski. Nie ulegało bowiem przemianom jak w Polsce, nie przybierało końcówek -ski i -cki, a jeżeli takie nazwisko znajdzie się, to miało ono raczej charakter przycinka jakiegoś, ironicznego przezwiska, a nie cechy szlacheckiego rodu. Form na -icz nie zna nazwisko śląskie, lecz za to bardzo dużo kończy się na -ek: Polaczek, -ik; Gaździk, -yk; Waclawczyk i -ok; Kubalok, Funiok itp. Poza tem dużo ma zakończenia na -ko: Mocko, -ol: Szpernoł, Gorol, -oł: Musioł, -ala: Gębala, Tomala i -ała: Smykała, Szkubała itd.

TANIEC.

Kiedy nadejdzie czas zabaw odpustowych czy dożynkowych, wodzą się młody Dziadek z Tomalanką, a Gębala z Kubicówną w tańcach półskocznych — półsmętnych przy muzyce w gospodach lub na groniach beskidzkich w pospólnej zabawie. Tańczą przeróżne „trojoki“ z niefrasobliwemi przyśpiewkami, uciészne „kaczoki“, zabawne „kocurki“, połączone z łapaniem dziewczyny-myszki przez chłopca-kocura ze wspólnem klaskaniem, chichotaniem i nuceniem reszty taneczników, czekających swej kolei, idą potem „krzyżoki“ z parami nakrzyż tańczącemi, „żebroki“ z udawaniem kaleki-



W kramie na odpuscie



Zabawa w Cieszyńskim

żebraka, który przemienia się w gibkiego chłopca, by zdobyć upatrzoną dziewczynę. Tańczą „mietlorza“, tańczą „kowola“, podczas którego tanecznik kuje jakoby żelaza na kolanie-kowadło.

Do najpiękniejszych tańców śląskich zalicza się „zogrodnik“, tańczony chętnie na całym Śląsku. Staje do niego ośm dziewczyn i czterech chłopców. W pierwszej części tańczą go powoli w formie kadryla z ukłonami, posuwaniem i przymilaniem się; w drugiej zamienia się w szybkie tempo tańca wirowego. Migocą wtedy barwne wstążki, szumią szerokie spodnice, wicher czynią barwny i gorący, chłopcy zaś w środku tego szumnego wiru przytupują raźnie do taktu, szaleją, zapamiętali w radosnym rytmie.

„Kołomajki“ przypominają swem ognistym tempem zbójnickie tańce tatrzańskie. „Kozoki“ zaś z przyśpiewkami:

— *Kozokabych tańcowała, kozoka mi grejcie,
Kierego jo bydym chciała, tego wy mi dejcie!...
Dowali ji pierszego — Jo nie pójdę za niego!
Bo ten pierszy barzo pyszny, nie pójdę za niego!...*

tańczono ongiś przed 30 laty w formie kadryla. Dzisiaj taniec ów jest połączeniem polki naprzemian z podskokami przez ośm taktów. Klaskanego“ tańczą i klaskają z przyspiewką czasem taką:



Panna młoda

*Jeśli ty mnie chcesz, to ja ciebie też.
Pani nam pozwolili, a pón tata też!*
Chłopiec i dziewczyna uderzają się naprzemian dłońmi o swoje kolana i o dłonie, a po odśpiewanej zwrotce następuje — jak prawie w każdym tańcu — ulubiona, żywa polka.

Poza tem istnieje jeszcze dużo tańców, mających charakter tanecznej zabawy towarzyskiej, jak „grożony“, gdzie w czasie tańca chłopiec i dziewczyna grożą sobie nawzajem i przygadują w takt melodji, jest także „świniok“, „djობo-łek“, „straszok“, „kłaniany“, „żegnany“, „gąsiór“, „szłapok“, „owięziok góralski“ i wiele innych.

Zasadniczo każdy taniec składa się z dwóch części. Pierwsza część bywa poważna, śpiewana, połączona z odpowiednimi ruchami, ilustrującymi treść pieśni. Druga zaś przechodzi w szybkie tempo tańca wirowego, w polkę czy nawet jakiegoś oberka. Każdy taniec posiada też swoją melodję i tekst kilkuzwrotkowej pieśni, śpiewanej przez tańczących i przypatrujących się gości. Młodzież kształcąca się w miastach lub udająca się za pracą do fabryk, przynosi z sobą na wieś nowoczesne tańce wirowe i jazzbandowe. Dawne tańce jednak utrzymują się; tańczą je starsi gazdowie i gaździnki, porywając za sobą młodszych, a melodje ich przechowują wiejscy muzycanci, grywający po weselach i zabawach.

ZWYCZAJE.

Ślązak lubi osłodzić sobie znój szarego żywobycia, jakie musi wieść na płonych wydmuchowiskach górskich, gdzie się zaledwie chudy owies mizernie obrodzi, lub na „ślinowatych łaniokach“ podgórskich i dolańskich, w które włożyć musi sporo pracy, by je zmusić do „urody“. Ślązak lubi się więc zabawić przy sposobności, żeby zapomnieć w czas niefrasobliwej radości o codziennych zgrzyotach i „mierziączkach“. Najwięcej uradowania dostarczają mu weseliska, połączone z radosną obrzędowością, pieśniami i zwyczajami, podobnymi do zwyczajów weselnych w całej Polsce.

Zanim urządzi się wesele, muszą się najpierw chłopiec i dziewczyna „galanić“. Zdarzy się, że dziewczyna „wpadnie chłopcu w oko“, że mu się „uzdo“ gdzieś przy kościele, na odpuszcie czy zabawie tanecznej; wtedy nawiązuje się znajomość. Chłopiec „chodzi“ wtedy do niej, wyczekuje na drodze, idzie z nią na przechadzkę, a rodzice tymczasem przewidują przyszłe wypadki, ważą je w głowie, zastanawiają się i albo w duchu zgadzają się na ich „galanienie się“, lub też sprzeciwiają się ostro. Po pewnym czasie następują „zmowy“. Zbierają się rodzice młodych i umawiają co do majątku, jaki obie strony wniosą z sobą w małżeństwo. A gdy się „ujednąją“, co dzieje się uro-



Chorzowianin

czyście z gościnnem raczeniem, umawiają się następnie, kiedy młodzi pójdą „na naukę“ czyli „na katelmus“ do księdza proboszcza. A gdy się to stanie, następują „ogłoszki“ z ambony. Samo wesele odbywa się hucznie, uroczyście, ze starostami, biegłymi w oracjach weselnych i w Piśmie świętem, z muzyką, tańcami i gościna. Reżyserami

całej tej uroczystości, pełnej starodawnych obrzędów, są starostowie. Oni mają w opiece „żenicha“, starościny zaś „młoduchę“. Młoducha kryje się, płacze, wyrzeka na swą niešťczęsną dolę, „odpytuje ojcom“, żenich zaś musi ją szukać, wykonywać szereg obrzędowych czynności, a do których przywiązuje się jakowąś przepowiednię na przyszłość, po ślubie zaś następują „zaczepiny“ z sadzaniem młoduchy na dzieżę, z zakrywaniem jej twarzy chustką, z oracjami, płaczami, śpiewem i chichotaniem.



Dziewczęta ze Starego Chechła

„Obrodzi“ się pszeniczka lub „reż“ na gazdowem polu, ma gazdoszek „piękną urodę“ w polu, następuje radosne żniwobranie, zakończone „dożynką“. Schodzą się ludziska z całej wsi i sąsiedzi roztomili, przychodzą dziewczyny i pacholcy z muzyką, kładą ostatnie snopy na „drabinioki“, a potem jadą z paradą wielką do dom, ze śpiewaniem rozgłosnem, helokaniem i harmonikowem wygrywaniem. Gazdoszkowie nie skąpią takim miłym gościom słod-



Kołodnicy

kiej „warzonki“, co smakuje wszystkim, a kiedy się nią niezgorzej pokrzepią, następują tańce na gazdoszkowem podwórzu. Gazda zaś zawiesza w izbie nad drzwiami wieniec dożynkowy, uwity wdzięcznie z pszenicznego i reźnego „kłosa“, ozdobiony szklanymi perełkami i wstążkami barwnymi, co mu go „najszwarniejsze“ dziouchy“ ze wsi przyniosły. Wielkie to jest święto zawsze i radosne.

Na „odpust“ radują się najbardziej dziewczyny i chłopcy. Dziewczyny spodziewają się najpiękniejszego serca z piernika, które po-



Zabawa weselna w Chełmie

winien jej kupić „zoletnik“, chłopcy zaś obiecują pozyskać nieprzychylną sobie dziewczynę tem właśnie piernikowem sercem, które musi być i duże, i ładne, malowane w przeróżne różyczki i kwiaty, a na środku powinien posiadać nalepiony obrazek, przedstawiający dwa całujące się gołąbki.

Do najpiękniejszych zwyczajów należą „pobaby“. Przyjdzie jakiś dzień klęski, powódź, grad nadchodzący, pożar — nadejdą żniwa, zwóz z lasu, idą ochotnie ludziska i pomagają sobie nawzajem a bezinteresownie. Obecnie pobaby na Śląsku pod zaborem czeskim przybrały charakter radosnej ofiary narodowej, podczas której cała wieś bierze udział w pracy, ażeby postawić u siebie... polską szkołę powszechną lub wydziałową, gdzieby dzieci śląskie nie były narażone

na czechizowanie. Dużo zwyczajów połączonych jest z obchodzeniem „święt godowych“ oraz z okresem wielkanocnym. W Wielką Sobotę chodzą dzieci po wsi z „Judoszem“, na Górnym Śląsku zwanym także „Marzanną“, którą następnie wynoszą za wieś i topią w rzece. Małe dziewczynki zaś wędrują po wsi z „moiczkiem“. Jest to choinka, ustrojona wstążkami i malowanymi jajkami.

W noc świętego Jana, kiedy paproć zakwita, rożegają się gronia i wzgórza ogniami świętojańskimi. Palą się na szczytach stopy drzewa, a zebrana młodzież wydziwia koło ogniska, tańczy, śpiewa, raduje się i skacze ponad płomieniami. Ludzie powiadają, że to chłopczyska „chromego“ palą, bo gdy się znajdzie ktoś między nimi, co kulawy, wysyłają go do ogniska, tłumacząc mu, że ogień go uleczy. A obok paproci rozkwitających niepostrzeżenie rozkwita młoda miłość między dwojgiem dorastających dużych dzieci.



Haft na gorsecie



Z nad Przemszy

ROZDZIAŁ CZWARTY

ZAKOŃCZENIE



Rynek w Żorach

Przedziwną ziemią jest Śląsk i przedziwny jest człowiek, co na niej mieszka. Z jednej strony zakrzepła polskość w archaicznej formie swych kościołów drewnianych, w staropolskiej mowie, legendach, podaniach, pieśniach, tańcach i sztuce, wszystko owiane wspomnieniem minionych wieków, wrosnięte w ziemię do ostatka, nierozdzielne z nią i piękne jak piękną jest sama ziemia; z drugiej strony spiętrzony i zestokrotniony rytm pracy mięśni ludzkich i stałych, potworne kotłowisko, spieniony war wytężonego życia, jego za-

wrotne, gorączkowe tempo, zawzięta walka o kęs czarnego, skąpego chleba, dymy, czeluście hut rzygających pożarami, przewłóczona ziemia do głębi, rozorana i jakoby przez Boga zapomniana, dymiące hałdy i czarne zbiorowiska fabryk, kopalń, kominów i szarego pogłowia ludzkiego, rude koszarowe domy obok magnackich i książęcych pałaców, przeraźliwa nędza obok jaśniepańskich przepychów, szare i zimne żrenice, sękaty, spracowane dłonie i złote serca, do kanciastego kształtu kęsa rudy żelaznej podobne i pyłem przyprószony; gdzieindziej znowu łagodne słoneczne wzgórza i doliny beskidzkie, uroczyska leśne, cieniste wądolce z dzwoniącymi strumykami, korzenne i żywiczne zapachy leśne, senna cisza i smętek opuszczonych, bezludnych dróg, jałowe piachy i grząskie mokradliska, soczysta zieleń łąk i mroczne wnętrza lasów ogromnych, i przestrzeń woniejąca słońcem, chlebem i rozkwitłymi lipami — to wszystko treść ziemi śląskiej i treść jej człowieka.

Śląsk dzisiejszy — to nietylko kominy, kopalnie, ziemia szczerniała, Beskidy i uroczyska leśne. To tylko wtórny obraz jego człowieka. Śląsk dzisiejszy, to przedewszystkiem człowiek, będący dziedzicem buntowniczej myśli swoich przodków, hardych chłopów pańszczyźnianych.



Kościół w Moszczenicy



Pasterstwo w dolinach

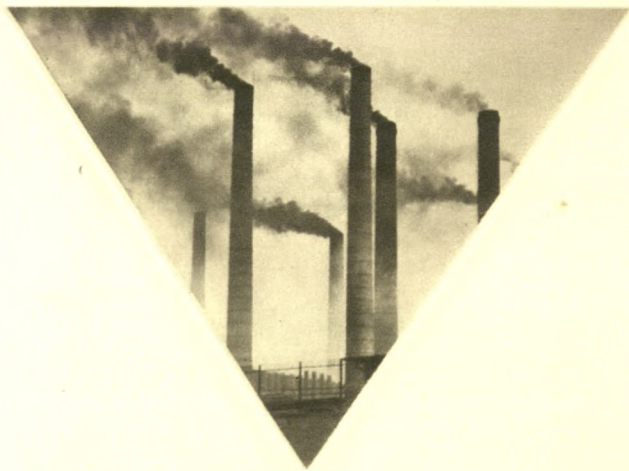
Od XV wieku aż do czasów ostatnich buntował się Ślązak przeciwko swej chłopskiej doli, nie godził się na jarzmo pańszczyźniane, pisywał na pergaminie memorjały do cesarzy rakuskich ze skargą na swych panów, skarżył się, domagał sprawiedliwości, wysyłał swoich delegatów aż do tronu cesarskiego, strajkował, tworzył drużyny zbójckie w Beskidach, a chociaż jego wystawnicy, jak słynny wójt Foltyn z Darkowa, ginęli w podziemiach Spielbergu na Morawach, nie ustawał w swym proteście przeciwko niewoli. Zakończył go czterema powstaniem i wolność wywalczył.

W zmaganiu się z przemocą obcych panów, w upartej walce z nieurodzajną ziemią, w trudzie nie ludzkiej pracy w kopalni i hutach, w borykaniu się z wykorzystującym go obcym kapitalizmem — zbiorowa dusza Ślązaka przetapia się na szlachetny metal, dzwoniący jak dzwon złoty, ostry jak klinga.

Ślązak stał się człowiekiem o stalowych nerwach, o twardych dłońiach, mocny, szorstki, zwycięski, i o czującym sercu. Stworzył ze swej ziemi środowisko nawszkroś demokratyczne i zdemokratyzowane, z którego wyrasta nowy typ Polaka o niezwykłych walorach społecznych i narodowych. Zorganizowany w zwartą i karną masę o wielkiej dyscyplinie wewnętrznej, nie znający kompromisów, prostolinijny, świadomy swej godności ludzkiej, bez cienia serwilizmu wobec wyższych społecznie, obcy zróżniczkowanej gdzie indziej hierarchji społecznej — buduje nową Polskę. I te typy, które się już może gdzie indziej przyżyły — on tutaj tworzy na nowo. Przedewszystkiem w ciągu wieków kształtował z siebie nowoczesny typ

dawnego rycerza kresowego, co przyrzekł sobie stać opornie na swej ziemi, zamieniając ją jakoby w warowny bastjon polskości, o który załamuje się napór niemiecki i czeski. Plewy są wszędzie obok ziarna pszenicy. Plewy są i na Śląsku. Kiedy je wyrzucić poza wrota narodowego życia śląskiego, zostanie zdrowe a liczne ziarno. Plew tych na szczęście nie tak dużo. Za to zwarty trzon śląskiej polskości jest mocny, bardzo mocny. Boć chociaż — jak pisał Wincenty Pol, urzeczony niegdyś Śląskiem —

*— od sześciu wieków rozeszły się dzieje
Piastowej Polski — to wiara ta sama,
Ta sama mowa, te same nadzieje,
Ta sama wielka do przyszłości brama,
Przez którą przejdzie na pole ludzkości
Krew ze krwi naszej i kość z naszej kości.*



SPIS RZECZY

	Str.
Przedmowa: CUD NAD ODRĄ	VII
Część pierwsza: DZIEJE LUDU I ZIEMI	1
Część druga: ŚLĄSK ZIELONY	
Rozdział I: Uroda ziemi	17
Rozdział II: Pokrzywdzone miasto	41
Rozdział III: Inne miasta	49
Część trzecia: ŚLĄSK CZARNY	
Rozdział I: Ziemia i podziemie	67
Rozdział II: Praca	79
Część czwarta: ŚLĄSK BIAŁY	115
Część piąta: CZŁOWIEK	
Rozdział I: Jakim jest Ślązak	123
Rozdział II: Kultura materialna	137
Rozdział III: Kultura duchowa	161
Rozdział IV: Zakończenie	179

Materiału ilustracyjnego dostarczyli:

E. BOIDOL W KATOWICACH

(str. VII, 6, 12, 30, 31, 41, 55, 56, 62, 63, 64, 65, 66, 70, 76, 96, 104, 105, 106, 108, 109, 110, 111, 113, 114, 115, 117, 119, 120, 123, 124, 125, 126, 127, 129, 131, 137, 142, 151, 153, 156, 158, 159, 161, 166, 176, 179),

INŻ. CZUDEK W KATOWICACH

(str. 78),

ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY „ELIOS“ W USTRONIU

(str. 19),

G. FIERLA W ORŁOWEJ

(str. 150),

ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY Z. I R. HUBERÓW WE LWOWIE

(str. 141),

W. JAMRÓZ W SKOCZOWIE

(str. 9, 28, 37, 168)

K. JEIKNER W SKOCZOWIE

(str. 36, 47, 122, 160, 170, 172, 173).

W. KASPERLIK W KATOWICACH

(str. I, VII, 2, 13, 22, 33, 42, 44, 46, 48, 50, 51, 60, 73, 79, 81, 83, 84, 85, 89, 109, 112, 120, 130, 133, 136, 137, 139, 141, 159, 163, 176, 181),

J. KONHEISER W SKOCZOWIE

(str. 38, 40, 162),

KOPALNIA DOŚWIADCZALNA „BARBARA“

(str. 77),

KUBISZ I ŚWIĘCH W CIESZYNIE

(str. 8, 17, 18, 21, 23, 24, 26, 27, 35, 37, 38, 41, 43, 44, 45, 46, 54, 91, 92, 115, 116, 117, 157, 169),

Z. MARCINKOWSKI W WARSZAWIE

(str. 10, 13, 49, 60, 68, 77, 93, 108, 116, 117, 118, 127, 150, 175, 180),

C. MORCINEK W SKOCZOWIE

(str. 4/5, 11, 14, 25, 28, 30, 43, 49, 51, 61, 106, 115, 144, 171),

MUZEUM ŚLĄSKIE W KATOWICACH

(str. 1, 7, 8, 11, 32, 52, 58, 67, 82, 113, 121, 123, 134, 135, 138, 140, 142, 144, 145, 146, 147, 148, 149, 154, 155),

PHOTO-PLAT W WARSZAWIE

(str. III, VIII, 20, 29, 39, 67, 68, 69, 79, 80, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 93, 94, 95, 97, 100, 102, 103, 114, 182),

T. RYBOTYCKI W BIELSKU

(str. 29, 206, 219),

M. STECKEL W KATOWICACH

(str. VI, 34, 61, 70, 71, 72, 73, 74, 75, 98, 99, 174, 176),

ŚLĄSKI URZĄD WOJEWÓDZKI

(str. VII, 15, 16, 84/85) i

ZAKŁAD ARCHITEKTURY POLSKIEJ POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ W WARSZAWIE

(str. 3, 53, 107).